

T. M. PLAUTUS

(250—184 prz. Chr.)

BRACIA (MENAECHEMI)

Osoby: Pomyślność, bogini. Menechmus I i Menechmus II, bracia bliźniacy. Erotjum, hetera. Messenjo, niewolnik Menechma II. Żona Menechma I. Teść Menechma I.
Rzecz dzieje się w Epidamnus, na ulicy, przed domami Menechma I i hetery Erotjum.

Prolog

Pomyślność (*wchodzi na scenę i mówi do widzów*)

Pomyślność — zaraz z miejsca nasamprzód obwieszczam,
Mnie jest wielce przychylna — no i wam, widzowie!
Plauta wam tu przynoszę, nie ręką, lecz mową,
I proszę, byście chcieli łaskawie dać ucho.
Teraz treść wam opowiem, zechciejcie uważać,
Rzecz przedstawię najkrócej, jak tylko potrafię.
A poeci to zawsze tak robią w komedjach:
O wszystkim zwykli twierdzić: «działo się w Atenach»,
Żeby wam się to zdało jeszcze więcej greckie —
Ja nie podam inaczej, tylko tam, gdzie było.
Otóż treść tej komedji wprawdzie «greczyzuję»,
Lecz nie «attycyzuję» — ba — «sycylizuję»!
To wszystko, com rzekł dotąd, to był wstęp do treści,
Teraz z treści odmierzę, co wam się należy:
Nie garncem, lub trójgarncem, lecz całym spichlerzem.
Takim dla was jest szczodry, gdy daję treść sztuki!
Był sobie w Syrakuzach pewien stary kupiec,
Któremu się dwóch synów bliźniąt urodziło,
Chłopaków tak podobnych, że aż własna mamka,
Co im piersi dawała, rozróżnić nie mogła,
Ani matka, ta sama, co ich urodziła.
(Tak mi mówił przynajmniej ten, co chłopców widział,
Ja ich sam nie widziałem, niech nikt z was nie myśli.)
Gdy już mieli lat siedem, wtedy jakoś ojciec
W duży statek władował wielką moc towarów;
Zabrał potem na statek jednego bliźniaka
I wziął w podróż handlową z sobą do Tarentu,
A drugiego zostawił razem z matką w domu.
W Tarencie właśnie były igrzyska, gdy przybył,
I — jak to na igrzyska — moc ludzi się zbiegła:
Chłopak ojcu się zgubił, zabłąkał się w ciżbie.
Lecz był tam pewien kupiec z miasta Epidamnus,
Ten wziął chłopca i zawiózł ze sobą do domu.
Ojcu zaś, skoro syna w ten sposób postradał,
Chęć do życia odeszła, i w kilka dni później

Zmarło mu się w Tarencie, poprostu ze żalu
 (Mówił mi to ten, który na pogrzeb go sprawiał).
 Skoro więc do Syrakuz wieść o tem nadeszła
 Do dziadka tych bliźniaków, że chłopca ktoś porwał
 I że umarł w Tarencie ojciec tego chłopca,
 Dziadek zmienia drugiemu bliźniakowi imię
 (Bo tak kochał tamtego, którego porwano);
 Jego imię — Menechma — nadaje więc temu,
 Co jest w domu. Toż imię miał ten, co zaginął.
 I dziadek sam miał również tak samo na imię.
 (A tem lepiej pamiętam, że tak się nazywał,
 Bo widziałem, że głośno tak za nim wołali.)
 Byście w błędzie nie byli, już teraz zapowiem:
 To samo imię mają obaj bliźni bracia.
 (Teraz wracam — piechołą — znów do Epidamnus,
 By wam całą tę sprawę dokładnie wyłożyć.
 Jeśli ktoś z was chce może, by mu w Epidamnus
 Coś sprawić, nuże, śmiało niech mówi i każe —
 Lecz tylko, gdy da na to, co chce, by mu sprawić;
 Bo gdy nie da pieniędzy, to wszystko jest nanie,
 Ale gdy da — to wtedy dopiero jest nanie!
 Lecz wracam, skądem odszedł — a stoję na miejscu.)
 Ten tedy z Epidamnus, jak to już się rzekło,
 Ten, co porwał tamtego drugiego bliźniaka,
 Prócz bogactw, żadnych prawie dzieci nie posiadał:
 Adoptuje więc tego chłopca porwanego
 Jako syna — i żonę daje mu posażną,
 I robi go dziedzicem, gdy mu umrzeć przyszło.
 Bo kiedy raz szedł na wieś po gwałtownym deszczu,
 Przechodząc potok rwący jakoś tuż pod miastem —
 Temu, co porwał chłopca, prąd nogi poderwał,
 I tak porwał człowieka gdzieś do wszystkich djabłów.
 Tak temu więc przypadły olbrzymie bogactwa.
 Ten zatem tutaj mieszka, ten bliźniak porwany.
 Teraz znów tamten bliźniak, co jest w Syrakuzach,
 Przyjdzie do Epidamnus, dziś, ze swym służącym,
 Szukając tego właśnie brata bliźniaczego.
 Gród ten, to Epidamnus — na czas tej tu sztuki,
 Bo w innej znowu sztuce będzie innym miastem.
 Tak samo się zmieniają tutaj i mieszkańcy:
 Raz mieszkał tutaj rajfur, raz młokos, raz staruch,
 Dziad, czy żebrak, król, wieszczbiarz albo i pasorzyt.

Akt IV

(Menechmus II, żona Menechmusa I, teść tegoż. Menechmus II pierwszy raz widzi kobietę, żonę swego bliźniaka, a ona uważa go za swego męża; stąd nieporozumienia, bo żąda od niego sukni, którą jej prawdziwy mąż, zabrawszy żonę, darował kochance.)

Menechmus II (*wraca z miasta, suknię ma na ręce*):

Strasznie głupio zrobiłem, że Messenjonowi
 Powierzyłem przed chwilą tę kiesę z pieniędzmi.
 Musiał wsiąknąć z pewnością gdzieś w jakąś garkuchnię.

Żona (*wychodzi z domu z chłopcem Decjonem*):

Popatrzę, jak też prędko mąż wróci do domu.
 A otóż i on właśnie. Ślicznie! Suknię niesie.

Menechmus II:

Ciekawym, gdzie też teraz łązi ten Messenjo.

Żona (*do siebie, potem do Menechma*):

Podejdę i powitam tak, jak się mu patrzy.

Więc czy ci nie wstyd tera przyjść mi tu na oczy,

Ty ohydny człowieku, z tą szalą?

Menechmus II (*zdziwiony*):

Co znowu?

Co cię nosi, kobieto?

Żona:

Więc jeszcze, bezczelny,

Śmiesz pisać jedno słowo, lub mówić coś do mnie?

M. II:

Com takiego zawinił, żebym nie śmiał mówić?

Żona:

Mnie pytasz? Ależ to bezwstydna bezczelność!

M. II:

Ty wiesz chyba, kobieto, dlaczego Hekubę

«Suką» Grecy nazwali?

Żona (*zaczyna zawodzić*):

Wcale tego nie wiem,

M. II:

Bo ona to zrobiła, co ty teraz robisz:

Kogo tylko ujrzała — z pyskiem na każdego.

I słusznie ją dlatego «suką» nazywali.

Żona (*dalej beczy*):

Nie — już tego wszystkiego nie mogę wytrzymać,

I wolę całe życie już wdową pozostać,

Niżli wszystko to znosić, co ty tu wyrabiasz!

M. II:

A co mnie to obchodzi, czy chcesz z twoim mężem

Wytrzymać, czy też odejść? Czy tu taki zwyczaj,

Żeby obcym przybyszom bajki opowiadać?

Żona (*jak wyżej*):

Jakie bajki? Toć mówię, że już nie wytrzymam

I wolę wdową zostać, niżli ciebie znosić.

M. II:

No, jeśli o mnie chodzi, to bądź sobie wdową

Nawet dotąd, dopóki królem będzie Jowisz.

Żona (*j. wyżej*):

Takęś wpierw mi wymawiał, żeś mi ją nie ściągnął,

Teraz mi ją na oczach tutaj trzymasz. Wstydź się!

M. II:

Ależes ty, kobieto, i zła, i zuchwała:

Śmiesz mówić, żeś mi ściągnął, co mi ją tu dała

Całkiem inna kobieta, hym ją dał odświeżyć?

Żona:

Nie, dalibóg — ja ojca mego przywołam,

Jemu wszystko opowiem, co ty tu wyrabiasz.

Idź, Decjo, szukaj ojca — proś, niech razem z tobą

Przyjdzie do mnie; i powiedz, że tak sprawy stoją.

(*chłopiec biegnie*)

Już ja mu tu opowiem o tych twoich sprawkach!

M. II:

Masz rozum? Jakie sprawki?

Żona:

Suknie i klejnoty

Kradniesz z domu twej żonie — i twej przyjaciółce

Zanosisz. No, czy dosyć wyraźnie to mówię?

M. II:

Ja cię proszę, kobieto: jeśli wiesz, to powiedz,

Co mam zażyć, by ścierpieć tę twoją bezczelność?

Kogo we mnie ty widzisz? Ja nie mam pojęcia;

Ja ciebie znam tak samo, jak... jak Portaona!

Żona (*wskazuje na zbliżającego się ojca*):

No, więc jeśli kpisz ze mnie, to z niego nie będziesz,

Z ojca, który tu idzie. Przecież się obejrzyj!

No, czy jego też nie znasz?

Menechmus II (*ogląda się*):

Znam tak, jak Kalchasa.

W ten sam dzień go widziałem, co i ciebie przedtem.

Żona:

Więc mówisz, że mnie nie znasz? Nie znasz mego ojca?

M. II:

Jeśli dziadka przywiesz, to samo ci powiem.

- Żona: To tak samo, dalibóg, jak wszystko, co robisz.
 Teść (*nadchodzi od strony miasta, strudzony, wspierając się na lasce; mówi*):
 Tak, jak wiek mój mi pozwala i jak rzecz wymaga,
 Idę, śpieszę — lecz nie taję, że mi to niełatwo.
 Żwawość znikła, starość gniecie i ciężkie już ciało.
 Sił już brak; o, wiek niedobry, niedobry to towar!
 Bo przynosi, gdy przychodzi, moc rzeczy najgorszych;
 Gdybym chciał wyliczać wszystko, za długobym gadał!
 Ale to mnie niepokoi i w sercu mnie trapi,
 Co to jest, że mnie ma córka tak nagłe tu wzywa,
 Nic nie mówi, o co chodzi. Pocóż mnie przyzywa?
 Lecz już prawie się domyślam, co to jest za sprawa:
 Pewnie jakaś kłótnia z mężem. Bo one tak zwykle:
 Chcą, by mąż im zawsze służył, przez swoje posagi
 Pewne siebie i zuchwałę. Choć i oni często
 Nie ustrzegą się od winy. Jest przecież granica,
 Pokąd żona winna znosić, ni też córka nigdy
 Nie przyzywa swego ojca, gdy nie ma przyczyny,
 Czy z przewiny, czy też z kłótni. Lecz już się tu dowiem.
 Otóż ona tu przed domem i jej mąż, coś chmurny,
 To jest to, co przypuszczałem. — Więc do niej przemówię.
- Żona: Więc podejdę. O, mój ojczu, witaj!
 Teść: I ty witaj!
 Więc przychodzę w dobrą chwilę? W dobry czas mnie wzywasz?
 Czemuś chmurna? Cóż on znowu, zły, zdala od ciebie?
 Posprzeczczaście się o coś między sobą. Powiedz,
 Kto z was winien, ale krótko, nie lubię mów długich!
- Żona: Ja bynajmniej nie nie winna, nie a nie — to pierwsze;
 Ale tutaj żyć nie mogę, ni wytrwać niesposób!
 Więc mnie zabierz stąd!
- Teść: Co znowu?
 Żona: Tu kpią ze mnie, ojczu!
- Teść: Kto?
 Żona: Ten, komuś ty mnie oddał — mój mąż.
 Teść: Otóż kłótnia!
 Wielem razy ci nakazał, byście mi się strzegli,
 By z was żadne nie szło do mnie ze skargą?
- Żona: Mój ojczu,
 Jakże ja się mogę ustrzec?
- Teść: Mnie się o to pytasz?
- Żona (*urazona tem ofuknięciem*):
 No, jak nie chcesz...
- Teść: Wielem razy tobie przykazywał,
 Byś dla męża była dobra i nie szpiegowała,
 Ni co robi, ni gdzie chodzi?
- Żona (*wybuchła płaczem*): Lecz on tu się kocha
 W tej heterze zaraz obok...
- Teść: Ma rację, a nawet
 Ja ci na złość tu pokażę, że się jeszcze więcej
 Kochać będzie!
- Żona (*dalej zawodzi*): I tam pijel!
 Teść: No, więc on dla ciebie
 Mniej pić będzie, czy to u niej, czy gdzie mu się zachce?
 Co — do licha — za bezczelność! Tak samo zażądaj,
 By zaproszeń nie przyjmował, lub gościa żadnego

- Sam nie przyjął! Lub tak samo wyznacz mu robotę:
Każ, niech siedzi pośród dziewczek i wełnę grępluje!
- Żona (*zirytowana*): Nie dla siebie więc przywiodła obrońcę, mój ojcze,
Lecz dla męża. Jego bronisz, stając po mej stronie!
- Teść: Jeśli on znów coś zawini, to go jeszcze ostrzej
Skarzę, niżli ciebie nawet. Lecz jeśli dba dobrze
O twe stroje i klejnoty, dostarcza, jak trzeba,
Czy służących, czy zapasów, to lepiej, kobieto,
Miej ty rozum!
- Żona: Lecz on właśnie klejnoty mi kradnie
I me suknie ze skrzyń w domu — i mnie tak obdziera,
Moje stroje potajemnie do heter wynosi!
- Teść: To źle robi, gdy tak robi, lecz jeśli nie robi,
Ty źle robisz, pomawiając człeka niewinnego.
- Żona: Toż on, ojcze, teraz jeszcze ma w rękach tę suknię
I ten naramiennik właśnie, który do niej zaniósł,
A żem ja się dowiedziała, więc teraz odnosi.
- Teść: Już ja dowiem się od niego, jak to wszystko było.
Więc podejść i zagadam. (*do Menechma II*) Powiedz-no, Menechmie,
O cóż to wy się spieracie? Niech wiem. Czemuś chmurny?
Cóż ta znowu zagniewana zdaleka od ciebie?
- M. II: Więc kimkolwiek jesteś, starcze, jakkolwiek się zowiesz,
Klnę się na Jowisza władcę, na bogów...
- Teść (*przerzywa*): Lecz o co?
Poco? Naco?
- Menechmus II: ...żem ani jej nie złego nie zrobił,
Tej kobiecie, co mnie skarży, żem jej suknię z domu
Ściągnął, porwał —
- Żona (*przerzywa*): Toż on kłamie!
- Menechmus II: Więc jeśli ja kiedy
Nogą wstąpił do jej domu, niech będę ze wszystkich
Nieszczęsnych najnieszczęśliwszy!
- Teść: A gdzie ty masz rozum,
Że się tutaj tak przysięgasz i przeczysz, żeś nigdy
Nogą tu w ten dom nie wstąpił, gdzie mieszkasz, warjacie?
- M. II: Więc ty twierdzisz o mnie, stary, że mieszkam w tym domu?
- Teść: Może nie?
- Menechmus II: No nie, dalibóg!
- Teść: To kłamiesz, dalibóg;
Chyba, żeś się wyprowadził dzisiaj w nocy.
(*do córki, biorąc ją nabok*): Chodź-no!
Czyście się wyprowadzili?
- Żona (*na stronie*): Ależ gdzie — i poco?
- Teść: Ja sam nie wiem.
- Żona (*na stronie*): On wyraźnie kpi z ciebie. Nie widzisz?
- Teść: No, Menechmie, już dość żartów! Więc teraz do rzeczy.
- Menechmus II (*w ostatecznej pasji*):
Co masz do mnie? Skądeś przylazł? Lub coś ty za jeden?
Ty, czy ona, co mnie tutaj zadręcza bez końca!
- Żona (*do ojca, przerażona wyglądem pseudomęża*):
Patrz, zielenią mu się oczy! Zieloność mu bije
Z skroni, z czoła — popatrz tylko, jak mu oczy płoną!
- Menechmus II (*z nagłą decyzją do siebie*):
Wiem, co zrobię! Skoro oni warjatem mnie robią,
Udam szal — i ich w ten sposób od siebie odstraszę!
(*Zaczyna rozdziawiać usta, toczyć oczyma, rzucać się i t. d.*)

Żona (z przerażeniem):

Co za usta! Jak nim rzucal! Ojczel! co tu robić?

Teść: Chodź tu nabok, moja córko, najdalej od niego.

Menechmus II (*patetycznym tonem, udając nieprzytomnego*):

Eú-ho-e, Eú-ho-e, Bromju! Gdzież mnie to w las wołasz?

Słyszę, lecz nie mogę odejść z tych tutaj okolic,

Bo mnie tu od lewej strzeże wściekła suka ludzka,

A tu znowu kozioł stary, co nieraz w swem życiu

Zabił człeka niewinnego fałszywem świadectwem!

Teść (*zamierza się laską*):

Idź, bo jak cię...

Menechmus II: A Apollon każe mi wyrocznia,

Bym ja oczy jej wypalił płonąca pochodnią!

Żona (*chowa się za ojca*):

Ratuj, ojczel! on mi przecież oczy chce wypalić!

M. II (*na stronie*): Aha, mówią, żem ja warjał, a sami warjują!

Teść (*na stronie*): Córko!

Żona: Co?

Teść (*jak wyżej*): Co robić teraz? Może wezwać służbę?

Pójdę po nich, niech go wezmą i w domu skrepują,

Zanim jeszcze tu narobi więcej zamieszania.

Menechmus II (*do siebie*):

Wpadłem! Gdy coś nie poradzę, do domu mnie porwą!

(*na głos*): Każesz, bym jej na tej gębie nie szczędził mych pięści,

Jeśli z oczu mych nie zejdzie na karku złamanie!

Zrobię tak, jak chcesz, Apollo!

(*posuwa się ku żonie*)

Teść (*do córki*): Zmykaj, co masz siły,

By cię nie zbil!

Żona: Już uciekam — strzeż go, mój ojczel,

By się stąd gdzieś nie oddalił. Jakażem ja biedna!

(*zawodząc, wchodzi do domu*)

Menechmus II (*do siebie*):

No, tej nieźle się pozbyłem. A teraz do tego

Obrzydłego, brodatego, drżącego Tytana,

Co za ojca miał Cyknusa (*na głos*): Tak mi rozkazujesz,

Bym mu członki razem z kośćmi i wraz ze stawami

Poprzetrzącał własną laską!

Teść: Możesz sam oberwać,

Gdy mnie tkniesz, lub jeśli tylko do mnie się przybliżysz!

Menechmus II (*dalej w «natchnieniu»*):

Spełnię rozkaz: schwycę topór dwusieczny — i tego

Na kawalki tu posiekam starucha z kośćmi!

Teść (*trochę w strachu, do siebie*):

Ej, tu chyba lepiej strzec się i trochę uważać;

Bo naprawdę się go boję, by mi coś nie zrobił

Tak, jak grozi.

Menechmus II: Apollonie, liczne twe rozkazy!

Teraz każesz mi pochwycić czwórkę koni dzikich

I ognistych — i wsiąść na wóz, by zetrzeć lwa tego

Zgrzybiałego, smrodliwego, całkiem bezzębnego.

I już stoję na tym wozie, trzymam lejce, bodzicie,

Nuże, konie! Niechaj zagrzmie tętent waszych kopyt,

A od pędu niech się wygną wasze chyże nogi.

Teść: Więc mnie grozisz czwórką koni?

Teraz, proszę, zważcie, jaki zarzut robią:
 O! Menander napisał Andryję i Peryntję;
 Kto choć jedną z nich widział, jakby widział obie,
 Bo nie treścią się różnią, lecz mową i stylem.
 Więc poeta przyznaje, że to wziął z Peryntji
 Do Andryji, co się zdało, i użył jak swoje.
 To oni tedy ganią i obstają przy tem,
 Że nie godzi się sklejać z dwóch jedną komedję;
 A chcąc mądrość pokazać, brak jej pokazują,
 Ganiąc tego poetę, ganią i Newjusza,
 Ganią Plauta, Ennjusza, poprzedników jego,
 Których on woli sobie przyswoić swobodę,
 Anizeli tych ciemną, niewolniczą ścisłość.
 Ja nareszcie radzę im, ażeby milczeli
 I przestali zlorzeczyć, aby się o sobie
 Nie dowiedzieć, że błędy ich my dobrze znamy.
 Ale wy mu sprzyjacie; bądźcie mu przychylni,
 Wysłuchajcie z uwagą, byście osądzili,
 Czy jest jaka nadzieja dla jego komedyj,
 Które później napisze, czy warto je widzieć,
 Czy raczej bez widzenia zgóry je odrzucić.

Końcowa partja komedji.

(Scena rozpoznania). *Osoby: najpierw Kryton, Chremes, Simo, Pamfil; potem Charinus, Pamfil; wkońcu Dawus, Pamfil, Charinus.*

Simo: Nie prosz; każda z tych przyczyn już dla mnie wystarcza;
 Czy ty sam, czy co prawda, przyjaźń Glicerji.

Chrem: Czy to Kryton Ateńczyk? Tak, to on, witajże!
 Rzadkiś ty gość w Atenach. Co cię tu sprowadza?

Kryton: Interes tak wypadł. Czy to jest Simo?

Chrem: Tak, to on.

Simo: O mnie pytasz? Czy to ty powiadasz,
 Że Glicerjum jest z Aten i obywatelką?

Kryton: Chcesz przeczytać?

Simo: Toś namówion.

Kryton: Czemu?

Simo: Pytasz jeszcze?

Czy sądzisz, że bezkarnie będziesz tu młodzieńców
 Uczciwie wychowanych, skromnych, oszukiwał?
 Namawiał, obietnicą pozyskiwał sobie?

Kryton: Czyś oszalał?

Simo: I śluby kojarzył nierządne?

Pamfil: Zginałem! Obawiam się, by zniósł to ten obcy.

Chrem: Gdybyś znał, mój Simonie, lepiej tego człeka,
 Nie sądziłbyś tak o nim, bo to dobry człowiek.

Simo: Ma być dobry ten człowiek? A przybywa dzisiaj,
 Tak na sam dzień wesela, choć nigdy tu dawniej
 Nie był jeszcze! Chremesie, czyż można mu wierzyć?

Pamfil: Gdybym się nie bał ojca, miałbym coś takiego,
 Cobym ci na to słusznie zdołał odpowiedzieć.

Simo: Oszuście!

Kryton: Co?

Chrem: Krytonie, daj pokój i wybac.

Kryton: Niech się strzeże, bo jeśli nie przestanie gadać,
 Co mu ślina przyniesie, to i mnie usłyszy.

- I mnie wasze tu sprawy obchodzą niemało.
 A ty tego nieszczęścia nie zniesiesz spokojnie?
 Bo czy to, co ja mówię, prawdą jest, czy fałszem,
 Dowiedzieć się nietrudno. Przed kilkoma laty
 Ateński obywatel pewien po rozbiciu
 Okrętu wyrzucony został na brzeg Andros,
 Z nim ta mała dziewczyna. W biedzie i niedoli
 Najprzód prosi Chryzydy rodzica o pomoc...
- Simon: Ot wymyśla bajeczkę!
- Chrem.: Pozwól.
- Kryton: Ty mi przeczysz?
- Chrem.: Mów dalej.
- Kryton: Że Chryzydy ojciec był mym krewnym,
 Który go w dom swój przyjął, więc nieraz słyszałem
 Od niego, że ateńskim był obywatelem.
 Tam on umarł.
- Chrem.: Nazwisko?
- Kryton: Tak ci prędko wiedzieć?
 Fanjasz.
- Chrem.: O, zginąłem!
- Kryton: Tak się zwał zaiste;
 O tem wiem jak najpewniej, a pochodził z Ramnus.
- Chrem.: Na bogi!
- Kryton: To samo wielu innych słyszało,
 Mój Chremesie, na Andros.
- Chrem.: Niech będzie, co myślę!
 O, powiedz mi, Krytonie, czy mówił ten człowiek,
 Że to jest jego córka?
- Kryton: Nie.
- Chrem.: A czyjaż przecie?
- Kryton: Brata ją mienił córką.
- Chrem.: Więc to córka moja!
- Kryton: Co mówisz?
- Simon: Co? co mówisz?
- Pamfil: Słuchajże, Pamfilu!
- Simon: Jakże wierzysz?
- Chrem.: Ten Fanjasz, tak, moim był bratem.
- Simon: Znałem go i wiem o tem.
- Chrem.: Unikając wojny,
 Wypłynął stąd do Azji i za mną on jechał;
 A zostawić tu córkę moją się obawiał.
 Co później z nim się stało, dziś dopiero slysze.
- Pamfil: Ledwo żyję, tak bardzo przejętą mam duszę
 Obawą i nadzieją, radością, podziwem,
 Tak nagłego i dla mnie tak wielkiego szczęścia.
- Simon: Z wielu względów się cieszę, żeś w niej znalazł córkę.
- Pamfil: Wierzę temu, mój ojcze.
- Chrem.: Lecz jedna wątpliwość
 Jeszcze mnie niepokoi.
- Pamfil: Nieznośnyś z wątpieniem;
 Widzisz cień, gdzie go niemasz.
- Simon: Jakaż to wątpliwość?
- Chrem.: Ot, imię się nie zgadza.
- Kryton: Prawda to, że innym
 Imieniem ją wołali, kiedy była małą.
- Chrem.: I jakimże imieniem, nie pomnisz, Krytonie?

Kryton: Myślę nad tem.

Pamfil: Czyż miałbym dozwolić, by pamięć
Słaba tego człowieka radość mą wzburzyła?
Nie dozwolę; Chremesie, ja wiem: Parybula...

Kryton: Tak, tak jest!

Chrem: To jest ona!

Pamfil: Od niej to słyszałem
Tysiąc razy.

Simo: Chremesie, sądzę, że mi wierzysz,
Iż my wszyscy z twojego cieszymy się szczęścia.

Chrem.: Tak mi Boże dopomóż; wierzę, bardzo wierzę.

Pamfil: Cóż, ojcze, pozostaje?

Simo: Już mnie sam wypadek

Dawno z tobą pogodził.

Pamfil: O, kochany ojcze!
Co do żony, wszak Chremes nic z tego nie zmieni,
Bym ją miał, jak mam teraz.

Chrem.: Nic się nie sprzeciwiam,
Jeśli ojciec się zgadza.

Pamfil: Zgadza się?

Simo: Tak, zgadzam.

Chrem.: A posag jej, Pamfilu, jest dziesięć tysięcy.

Pamfil: Przyjmuję.

Chrem.: Śpieszę do niej. Chodź ze mną, Krytonie,
Gdyż nie sądzę, by ona jeszcze mnie znać miała.

Simo: Czemuż jej tutaj dotąd przenieść nie rozkażesz?

Pamfil: Dobrze mówisz; Dawusowi dam to polecenie.

Simo: On go podjąć nie może.

Pamfil: Czemu?

Simo: Bo rzecz większą
I inną ma przed sobą.

Pamfil: Cóż?

Simo: Jest związany.

Pamfil: Ojcze mój, to niesłuszne.

Simo: Nie mów tak; kazałem.

Pamfil: Każ go puścić, błagam cię!

Simo: Dobrze, niech się stanie.

Pamfil: Lecz się śpiesz.

Simo: Idę do dom.

Pamfil: O, ty dniu szczęśliwy!

(Kryton, Chremes i Simo odchodzą; zostaje Pamfil, nadchodzi Charinus, potem Dawus).

Charin.: Zobaczę, jak z Pamfilem. A! i on tu.

Pamfil *(myśli)*: Może

Kto sądzić, że mi się tu prawdziwem nie zdaje,

Ale ja to uważam za istotną prawdę:

Uważam, że bogowie przez to żyją wiecznie,

Iż stałe ich rozkosze. I jam nieśmiertelny,

Jeżeli żadna troska rozkoszy nie przerwie.

Lecz komużbym to wszystko najchętniej powiadał?

Charin.: I jakaż radość twoja?

Pamfil: Otóż Dawus idzie!

Nikt teraz pożądanym nie jest mi od niego,

Wiem bowiem, że on szczerze radość mą podzieli.

Dawus: Gdzie tu Pamfil będzie?

Pamfil: Dawus!

- Dawus: Kto to?
 Pamfil: To ja jestem.
 Dawus: Pamfilu!
 Pamfil: Nie wiesz tego, co mi się zdarzyło?
 Dawus: Nie wiem, ale zato wiem, co mnie się zdarzyło!
 Pamfil: Ja wiem także.
 Dawus: Zwyczajem stało się to świata,
 Iż złe, co mnie spotkało, prędzej ci wiadome,
 Niż mnie dobre, co ciebie.
 Pamfil: Wiesz, Glicerjum moja
 Swych rodziców znalazła.
 Dawus: A to szczęście wielkie!
 Charin.: Co?
 Pamfil: Ojciec jej jest naszym dobrym przyjacielem.
 Dawus: Któż to?
 Pamfil: Chremes.
 Dawus: Co mówisz?
 Pamfil: Już niemasz przeszkody,
 Bym się zaraz ożenił.
 Charin.: Czyż on marzy we śnie,
 Czego pragnął na jawie?
 Pamfil: Co do dziecka, Dawus?
 Dawus: O, nie mów, bo ten chłopiec w czepku się urodził.
 Charin.: Jak wielka radość moja, jeśli to jest prawda!
 Zaraz się o tem dowiem.
 Pamfil: Ktoś tu jest! Charinie!
 W sam czas mi tu przychodzisz.
 Charin.: Prawdziwe to szczęście!
 Pamfil: Co? Słyszałeś?
 Charin.: Słyszałem. A pamiętaj o mnie,
 Kiedy sam jesteś w szczęściu. Chremes już jest twoim;
 Wiem, że wszystko uczyni, co tylko chcieć będziesz.
 Pamfil: Pamiętam. Lecz za długo na niego mam czekać;
 Pójdź ze mną, gdyż on teraz jest u mej Glicerjum.
 Ty, Dawusie, idź do domu; śpiesz, ludzi przywołaj,
 Coby ją stąd przenieśli.
 Charin.: Cóż stoisz i czekasz?
 Dawus: Idę, ale wy tutaj przecież nie czekajcie,
 Ażby wyszli, gdyż w domu tu ślub się odbędzie,
 I wszystko się załatwi. Przykłaśnijcie, proszę.

Tłum. Jan Wolfram.

LUKRECJUSZ KARUS

(um. w r. 55 przed Chr.)

INWOKACJA DO WENERY

(Ks. I ww. 1—25)

Eneadów rodzicielko! Jasna Wenus!
 Tyś dla bogów, tyś dla ludzi upojeniem!
 Tyś jest w niebie pośród gwiazdnych dróg,
 Tyś jest w morzu wśród pędzących naw,
 Tyś jest w ziemi wśród rosnących traw!
 W tobie stworzenia poczęły się żywe,
 Słońca nam dajesz oglądać blask,

Chyłą się trawy przed tobą, Władczyni,
 Chmury spływają, na przyjście twe,
 Ziemia porasta łąkami barwnymi,
 Morska cię wita uśmiechem toń,
 Niebo bezkresne promienie rozsiewa,
 Jasność wiosenna blaskiem lśni,
 Żywych zapładnia życiem wiatr;
 Płactwa rozbrzmiewa w przestworzu śpiew,
 Skoro poczuje w krwi twoją moc.
 Skoro nadchodzisz, władna Pani,
 Trzoda radosna ugania po łąkach,
 Dzikie zwierzęta przez rzeki wezbrane,
 Czarem twym tknięte, w twe ślady mkną!
 Chuć życiodajna, miłosne pragnienie!
 Przyszłość zapładniasz na łąkach i w górach,
 W głębi zielonej i w rwącym strumieniu,
 W ptasich siedzibach, w gęstwinie kniej.
 Tyś jest jedyna; podlega ci wszechświat;
 Jesteś początkiem tego, co jest;
 Znaczysz radością, rozdajesz kochanie...
 Gdy o wszechrzeczy przeto pieśń układam,
 Proszę cię, Pani, pomocną mi bądź!

Tłum. M. St. Popławski.

BEZMYŚLNE TROSKI LUDZKIEGO ŻYCIA

(Ks. III ww. 975—1000)

W życiu naszym, na ziemi, wszystek ów ból,
 Co rzekomo wypełnia śmierci podziemny kraj.
 I nie Tantal drży, jak o tem głosi wieść,
 Zdjęty czczym strachem, że nań spadnie wiszący głaz:
 Nas, żyjących, chwyta przed bogami próżny lęk,
 Każdy obawia się tego, co mu przyniesie los.
 I nie Tytjos, obalony, leży jako żer,
 I nie szarpie go w krainie śmierci żaden sęp;
 Bowiem nie dostarczy nawet jego wielka pierś
 Ptactwu jądła dosyć na bezkresny przebieg lat;
 Leżąc, niech nie dziewięć obejmuje Tytjos włók,
 Niech przykryje sobą nawet cały ziemi krąg;
 Wszelki ogrom niech przerasta ciała jego kłęb —
 Zawsze sił mu zbraknie znosić wieczny ból;
 Ogromnego nie starczy ciała na wieczny żer.
 Tytjos pośród nas jest: ten, kogo ogarnia chuć,
 Kogo gniecie zmora, niezaspokojonych żąd
 Dręczy płomień — temu piersi szarpie sęp.
 W życiu również mamy obraz Syzyfowych mąk:
 Ten, kto pragnie od ludu uzyskać władzy znak,
 Kogo ogarnęła siekier konsularnych chęć —
 Oto smutny, zawiedziony idzie precz.
 Bowiem władzy pragnąć — jest to próżnej mary chcieć;
 Dla tej złudzy znosić zawsze znojny trud,
 Jest to właśnie w górę ciężki kamień pehać,
 Głaz, który ze szczytu wnet się toczy wdół,
 By w gwałtownym pędzie dążyć na równinę pól...

Tłum. M. St. Popławski.

FIZYKALNA STRUKTURA ISTNIEJĄCYCH RZECZY

(Ks. I ww. 418—598)

Żeby zaś teraz powrócić do zaczętego wątku i snuć go dalszemi słowami, to cała, jak nią jest natura, składa się z dwóch rzeczy. Oto są ciała (to zn. atomy) i próżnia, w której się one mieszczą i gdzie się ruszają w rozbieżnych kierunkach. Że bowiem ciało przez się istnieje, o tem świadczy zmysł wszystkim wspólny; jeśli zaś mu nie dać pierwszej i niezachwianej wiary, to w sprawach zakrytych nie będziemy mieli gdzie się odwołać i nie będziemy mogli niczego stanowić na podstawie rozumowania. A gdyby dalej nie było miejsca i przestrzeni, którą zwiemy próżnią, to ciała (to zn. atomy) nie mogłyby nigdzie się mieścić, ani też wogóle zdążać w rozbieżnych kierunkach, jak to już wyżej wykazaliśmy. Niema zresztą niczego, cobyś mógł nazwać zupełnie odłączonym od ciała i oddzielonem od próżni, coby się okazało trzecią niejako liczebną naturą. Cokolwiek bowiem będzie, będzie musiało być czemś w każdym razie. Jeśli mieć będzie choćby najłżejsze i najskromniejsze dotykane, to mniejsza o to, sporym czy szczupłym przyczynkiem, byleby było, przyczyni się do pomnożenia liczby ciała i pójdzie za całością. Jeśli zaś dotknąć się nie da i jeśli żadnej, przez się przechodzącej, rzeczy nie potrafi w przejściu przeszkodzić, to będzie oczywiście tą właśnie pustką, którą zwiemy próżnią. Cokolwiek zresztą przez się będzie istnieć, będzie musiało albo samo coś działać, albo poddawać się cudzym działaniom, albo też rzeczy będą w niem mogły być i dźiać się. Atoli żadna rzecz nie może ni działać, ni poddawać się bez ciała, miejsca zaś pustka jedynie i próżnia używa. Więc oprócz ciał i próżni nie można zostawiać w liczbie rzeczy żadnej trzeciej samoistnej natury, ani któraby kiedykolwiek podpadła pod nasze zmysły, ani którąby mógł ktoś rozumowaniem uchwycić.

Bo wszystko zaiste, co ma jakieś imię, stanowi — jak docieczesz — albo przynależność tych dwóch rzeczy, albo jest — jak zobaczysz — ich wydarzeniami. Przynależne jest to, co bez zgubnego zerwania nie da się nigdzie ani odłączyć, ani oddzielić. Tak przynależy ciężar do glazów, gorąco do ognia, a ciekłość do wody; natomiast niewolę, ubóstwo, dostatek, wolność, wojnę, pokój oraz resztę tych rzeczy, za których przybyciem, jako też odejściem, natura zostaje nietkniętą, zwiemy naszym obyczajem, jak każe słusność, wydarzeniami. Czas przez się również nie istnieje, lecz tylko po rzeczach zmysł dochodzi, co się odbyło w przeszłości, jaka rzecz potem nastaje i wreszcie, co dalej nastąpi. I wyznać należy, że nikt nie odczuwa samoistnego czasu poza ruchem rzeczy i ich spokojnym wypoczynkiem. Wreszcie, kiedy mówią, że córka Tyndara została porwana, i że trojańskie plemiona zostały ujarzmione w wojnie, trzeba dobrze zważać, aby te rzeczy nie wymusiły na nas przypadkiem wyznania, że istnieją same przez się, «jako, że te pokolenia ludzkie, które miały owe wydarzenia, dawno już uniosła bezpowrotna przeszłość». Wszakże o wszystkim, cokolwiek się stanie, będzie można powiedzieć, że zdarzy się albo na szerokiej ziemi, albo w pewnych tylko okolicach. Gdyby wreszcie nie było żadnego tworzywa rzeczy i żadnej przestrzeni, ni miejsca, w którym się wszystko dzieje, to nigdy żar miłosny, wzniecony krasą córki Tyndara i buchający pod frygijską piersią Parysa, nie byłby rozpalit okrutnej pożogi wojennych zapasów, ani też koń drewniany, w tajemnicy przed Trojanami, porodziwszy nocą Greków, nie byłby zażęgl pożaru Troi. Przeto poznać możesz, że wszystkie bez wyjątku dokonane czyny nie są i nie istnieją przez się tak, jak ciała, ani też nie zyskują sobie imienia tem samem prawem, co próżnia, lecz raczej tak, że można je słusnie nazywać wydarzeniami ciała i miejsca, w którym się wszystko dzieje.

Ciałami są dalej częścią zarodki rzeczy, częścią to, co polega na skupieniu zaczątków. Atoli onych zarodków rzeczy żadna siła nie zdoła zniweczyć, ponieważ ostatecznie odnoszą zwycięstwo dzięki swemu nieprzenikliwemu ciału, chociaż trudno jest wierzyć napozór, by w rzeczach mogło być coś o ciele nieprzenikliwym. Oto przez ściany domów przechodzi grom niebieski, tak jak krzyk i głosy. Żelazo bieleje w ogniu i pękają kamienie, rozpalone srogim żarem. Gorącemu daje się porazić i topić zimny hart złota. Topnieje potem lodowa opoka śpiżu, zwyciężona przez płomień.

Przez srebro przenika ciepło i przenikliwie zimno, ponieważ, trzymając w dłoni pułhary wedle obrządku, czujemy i jedno, i drugie, kiedy się wleje zgóry wodną rosę. Aż do tego stopnia niema, zdaje się, niczego nieprzenikliwego w rzeczach. Ponieważ jednak prawdziwe rozumowanie i natura rzeczy taki mus nakłada, to posłuchaj uważnie, póki ci w kilku wierszach nie wyluszczymy, że istnieją ciała o ciełe nieprzenikliwem i wiecznem, które my w naszej nauce nazywamy ziarnami rzeczy, oraz zarodkami (to zn. atomami), i z których zrodził się i składa cały świat terażniejszy.

Przedewszystkiem, skoro się okazało, że istnieje dwojaka i to zgola niepodobna do siebie natura dwóch rzeczy, a mianowicie ciała i miejsca, w którym wszystko się dzieje, to jedna i druga musi być samą w sobie i czystą. Gdzie tylko bowiem zaleje przestrzeń, którą nazywamy próżnią, tam niema ciała, a gdzie tylko znowu zalega ciało, tam żadną miarą niema pustej próżni. Więc ciała pierwotne są nieprzenikliwe i bez próżni. Skoro zresztą w rzeczach zrodzonych jest próżnia, to dookoła musi być nieprzenikliwa materja, bo o żadnej rzeczy nie da się wykazać prawdziwem rozumowaniem, żeby w swoim ciełe kryła i żeby miała wewnątrz próżnię, jeżeli tego, co dzierży, nie zostawia się nieprzenikliwem. Tem, co może dzierżyć próżnię rzeczy, nie może być dalej nic innego, jak tylko skupienie materji. Więc materja może być wieczna, składając się z ciała nieprzenikliwego, choć reszta idzie w rozsypkę. Gdyby zaś skądinąd nie było ciałek istotnych, wypełniających wszystkie miejsca przez się zajęte, to całość wszystkiego byłaby pustką i próżną przestrzenią. Skoro jednak nie jest ani wyłącznie pełną, ani też pustą, więc oczywiście ciało i próżnia przenikają się naprzemian. Są tedy ciała istotne, co mogą przenikać próżną przestrzeń pełną. Nie mogą ich roztrzaskać zewnętrzne uderzenia, nie może nic wnikać do ich wnętrza i rozmotać przędzy, ani też żadne inne zapędy nie mogą przywieść ich do upadku, jak ci to już wyżej wykazaliśmy. Albowiem jasną jest rzeczą, że nie bez próżni nie może być ani strzaskane, ani złamane, ani rozłupane na dwoje od cięcia, że nie może chłonać wilgoci, a tak samo wsiąkającego zimna, lub przenikliwego ognia, od czego wszystko niszczeje. I im więcej próżni coś wewnątrz zawiera, tem niezawodniej pada łupem tych rzeczy. Jeżeli zatem ciała pierwotne są nieprzenikliwe i pozbawione próżni, tak jak powiedziałem, to muszą także trwać wiecznie. Gdyby zresztą materja nie była wieczna, to już dawno rzeczy wszelakie obróciłyby się w nicość, i wszystko cokolwiek widzimy, byłoby wskrzeszone z nicości. Ponieważ jednak wykazałem wyżej, że nie może rodzić się z niczego, ani to, co powstało, nie może wniwecz się obracać, przeto nieśmiertelne ciała mieć muszą zarodki, by na nie mogło się wszystko rozpraszać w chwili ostatecznej i żeby starczyło materji do wskrzeszania rzeczy. Zarodki są więc jednolite i nieprzenikliwe i tylko w ten sposób mogą, zachowawszy się przez wieki, od nieskończonego już czasu sprawiać rzeczy na nowo.

Gdyby wreszcie natura nie ustanowiła żadnego kresu w kruszeniu rzeczy, to pod naporem ciągle kruszącej przeszłości doszłyby już ciała do takiego stanu, że nie z nich od pewnego czasu nie mogłoby zrodzić się i przekwitać, przezywając progi doczesnego bytu. Albowiem widzimy, że wszystko daje się rychlej zniszczyć, niż sprawić na nowo. Dlatego to, coby dotąd pokruszyła, burząc i niszcząc, cała długa i nieskończona przeszłość ubiegłych dni, nie dałoby się już nigdy sprawić na nowo w pozostałym czasie. Skoro jednak widzimy, że każda rzecz się odradza, oraz że wedle rodzaju są ustalone dla rzeczy okresy, w których mogą osiągnąć kwiat swego żywota, to kres kruszenia trwa oczywiście niezłomnie. Da się przytem wytłumaczyć mimo nieprzenikliwości ciałek materji, jakim sposobem wszystkie miękkie ciała, powietrze, woda, ziemia i ogniste żary, stają się miękkie i jaką mocą wszystko się dzieje, skoro raz próżnię domieszać do rzeczy, a wytłumaczyć natomiast się nie da, skąd mogą powstawać potężne krzemienie i żelazo, albowiem cała ich natura utraci swą główną ostoję, jeżeli miękkie są zarodki rzeczy. Mają więc moc nieprzenikliwej jednolitości, a w razie ich przygęstszego skupienia wszystko może się zacieśnić i ujawnić potężne siły.

Jeżeli dalej niema żadnego kresu w kruszeniu ciał, to w takim razie wszelakie ciała musiałyby od nieskończonego czasu jeszcze teraz ostawać się dla rzeczy i ucho-

dzieć za takie, których jeszcze nigdy nie spotkało żadne niebezpieczeństwo. Lecz skoro mają kruchą naturę, to z tem się nie zgadza, żeby mogły trwać wiecznie w udręce nieprzeliczonych uderzeń przez wieki. A wreszcie, ponieważ rzeczy mają wedle swoich rodzajów ustalone granice rozwoju i długości życia, tudzież ponieważ nic się nie zmienia, lecz wszystko do tego stopnia pozostaje sobie wierne, że wszystkie pokolenia różnobarwnych ptaków ukazują plamy swego rodzaju na ciele, to ciała muszą mieć także z niezmiennej materji. Bo gdyby zarodki rzeczy dało się w jakiś sposób zmóc i zmienić, to byłoby już także niepewne, co może powstać a co nie może, z jakiej poprostu przyczyny każda rzecz ma moc ograniczoną i kres głęboko tkwiący, tudzież nie mogłyby pokolenia wedle swoich gatunków tylokrotnie wskrzeszać natury, obyczajów, sposobu życia i ruchów rodziców.

Tłum. A. Krokiewicz.

WSZECHPOTĘŻNA BOGINI ZIEMIA

(Z ks. II)

Ma w sobie ziemia ciała pierwotne, dzięki którym źródła, tocząc zimne nurty, skrętnie odnawiają niezmierzone morza. Ma, dzięki którym powstają ognie, albowiem na wielu miejscach płonie żarem łono ziemi, a osobliwemi już ogniami szaleje wybuch Etny. Ma następnie takie, dzięki którym może dostarczyć dla dzikiej zwierzyny górskiej rzek, liści i bujnych pastwisk. Przeto wielką matką bogów i matką dzikich zwierząt i rodzicielką naszego ciała została nazwana ona jedna. O niej starzy, uczeni pieśniarze Greków śpiewali, że, siedząc na rydwanie, popędza lwy w podwójnem jarzmie, przez co uczyli, że wielka ziemia buja w powietrznej przestrzeni i że nie może sama na sobie spoczywać. Wprzęgli dzikie potwory, ponieważ nawet najdziksze potomstwo musi złagodnieć i ulec staraniom rodziców. Ze zaś na swych warownych wyżynach dźwiga grody, ogrodzili szczyt głowy bogini wieńcem z wieżyczek. Z tą oznaką obnosi się teraz wizerunek bożej rodzicielki po rozległych ziemiach i budzi świętą grozę. Różne narody nazywają ją wedle starego obrządku idajską Matką i przydają frygijskie rzesze za orszak, gdyż od owego najpierw kraju, jak mówią, poczęły rość zboża po całym świecie. Przyczinają jej kapłanów-eunuchów, ponieważ chcą zaznaczyć, że tych, co pokalali świętość matki i wobec rodziców okazali się niewdzięcznikami, ma się uważać za niegodnych, by wydawali żywe potomstwo na brzegi jasności. Grzmią pod dłonią napięte bębny i dęte talerze dookoła, chrapliwym głosem grożą rogi, a pusty flet podnieca umysły frygijską pobudką. Przodem niosą noże, godła gwałtownego szału, zdolne przejąć niewdzięczne dusze i bezbożne serca tłumu mrowiem i strachem przed mocą bogini. Skoro więc tylko, odbywszy wjazd przez wielkie miasta, obdarzy milcząca śmiertelnych niemem błogosławieństwem, zaraz jej zaścielają szpizem i srebrem całą drogę, bogacą sutą jałmużną i chmurą różanego kwiecia zasypują Matkę, wraz z rzeszą czcicieli. Tutaj zbrojna gromada kapłanów, których Grecy nazywają imieniem frygijskich kuretów, o ile igra między sobą bronią i, złana posoką, podskakuje miarowo, potrząsając chybkim ruchem straszliwemi czubami na głowach, przedstawia diktejskich kuretów, którzy mieli niegdyś zagłuszyć na Krecie owo kwilenie Jowisza, gdy jako zbrojne chłopięta wkoło chłopięcia uderzali miarowo w wytrwałym płasie o szpiz szpizem, żeby go też nie dostał Saturn w swe zachłanne szczęki i nie zadał sercu Matki wiekuistej rany. Z tego powodu towarzyszą wielkiej Matce zbrojni. Albo mają w ten sposób zaznaczać, że bogini przykazuje bronią i cnotą bronić ojczystej ziemi ochotnie i być dla rodziców chętną podporą i chlubą. Dobrze te jednak i znakomite wywody niemniej daleko odbiegły od prawdy. Bo przecie wszelka natura bogów i odsunięta od spraw naszych, i odłączona daleko, musi mocą swego przyrodzenia zażywać nieśmiertelnego bytu z najwyższym pokojem. Wolna zaiste od wszelkiego bólu, wolna od niebezpieczeństw, mając dość mocy we własnych zasobach, a nas nie potrzebując zgola, ni zasługami ując się nie daje, ni na gniewy zważa. Ziemia przynajmniej trwa w wiecznej nieczułości. Ponieważ zaś posiada zarodki wielu rzeczy, przeto wiele i na wiele sposobów wydaje na światło słoneczne. I jeśli ktoś tutaj postanawia sobie morze zwać Neptunem,

a Cererą zboża, i jeśli woli używać imienia Bachusa, niż wymieniać właściwą nazwę winnego płynu, to pozwólmy mu nazywać ziemski krąg Matką bogów, byleby tylko sobie w istocie oszczędził kalania ducha podłym zabobonem.

Tłum. A. Krokiewicz.

KATULLUS

(87—55 przed Chr.)

ŻAŁE NAD SKONEM WRÓBLA (l. 3)

Płaczcie, boginie, płaczcie, Kupidyny,
I wszyscy, których nadobność okrywał
Umarł, niestety, wróblak mej dziewczyny,
Wróblak, ta rozkosz kochanki prawdziwał
Co go wolala nad własne źrenice,
Gdyż był milutki, znał dobrze, kto ona,
Jako córeczka zna swej matki lice.
Ani odlatał z jej śnieżnego łona,
Lecz skacząc wkoło, swawoląc bez miary,

Dla pani tylko świergotliwie nucił.
Ach, on już poszedł w te ciemne pieczary,
Skąd nikt nie wraca, ani kto powrócił.
Bądźcież przeklęte, wy, piekła otchłanieł
Przed których paszczą nie się nie ostanie:
Mnie tak ładnego wzięłyście wróbelkał
O, biedny ptaszku, co za szkoda wielkał
Teraz się z twojej czerwieni przyczyny
Splakane oczki mej lubej dziewczyny!

Tłum. Szymon Baranowski.

DO LESBII (l. 5)

Żyjmy, o Lesbjo, i stale kochajmy!
Że starcy zrzedzą, my na to nie dbajmy,
Gdyż i szeląga nie warta ich praca;
Słońce zachodzi i znowu powraca:
Nam, gdy zagasną krótkie życia chwile,
Noc jedna, wieczna, uśpi nas w mogile.
Daj mi całunków tysiąc, sto tysięcy,

Znów drugi tysiąc i z tem jeszcze więcej,
Potem znów tysiąc, znów sto, moja miła:
A gdy tysiąców naliczymy siła,
Zmieszamy wszystkie, ażebyśmy sami
Byli w obłędzie z prawemi liczbami;
Lub żeby złośnik zawiścią nie dyszał,
Gdyby o tylu pocałunkach słyszał.

Tłum. Szymon Baranowski.

DO SAMEGO SIEBIE (l. 8)

Biedny Katullu, rzuć brednie na stronę,
A co przepadło, miej już za stracone.
Niegdyś ci błogie płynęły godziny,
Gdyś biegł ochoczo na rozkaz dziewczyny
Tak ukochanej, jak żadna nie będzie.
Rosły swawole w miłosnym zapędzie,
Któreś ty lubił, którym skłonna była.
Wtedy ci zorza dni błogich świeciła.
Dzisiaj ona nie chce, ty pokaż moc duszy,
Nie ściągaj marzeń i chroń się katuszy:

Znieś raczej wszystko mężnie i wytrwale.
Dziewczę, bądź zdrowe: Katull stłumi żale,
Ni cię poszuka, ni prośbami znudzi.
Lecz ty zapłaczesz samotna wśród ludzi!
Pomyśl, okrutna, co grozi twej głowie!
Któż ci odwiedzi? Kto, żeś piękna, powie?
Kogo ukochasz? Otoczysz ramieniem?
Czyjem się teraz poszczycisz imieniem?
Lub czyich ustek będziesz przygryzała?
Lecz ty, Katullu, bądź twardy jak skalal

Tłum. Szymon Baranowski.

DO LESBII (l. 49)

Jeśli się z ludźmi bóstwo równać godzi,
Oto mi bożek, co bożków przechodzi,
Kto ciebie, Lesbjo, zasiadłszy przy tobie,
Słucha w każdej dobie,
I na twój uśmiech czarowny spoziera,
Który mi zmysły biednemu odbiera:
Bo skoro twoje napotkam wejście,
Wpadam w osłupienie.

Język drętwieje, lotny płomień goni
Po stawach ciała, nad uszami dzwoni
Głośnie brzęczenie, a zdumiałe oczy
Noc podwójna mroczy.

Tobie, Katullu, swoboda ciężarein,
Przez nią zbytkujesz pustoty nadmiarem:
Przez nią i królów, i grodów niemało
Zguby już doznało.

Tłum. Szymon Baranowski.

DO LESBJI (l. 70)

Mnie tylko dawniej lubiłaś wzajemnie,
 Aniś Jowisza wolała ode mnie.
 Wtedy cię kochał, nie jak gmin poczyna,
 Lecz jak zwykły ojciec kochać zięciów, syna.
 Dziś cię poznałem: więc choć silniej gorę,
 Za nikczemniejszą w kochaniu cię biorę.
 Jak to być może? Bo krzywda niniejsza
 Powiększa miłość, lecz szacunek zmniejsza.

Tłum. Szymon Baranowski.

DO SAMEGO SIEBIE (l. 81)

Nienawidzę i kocham; pytasz czemu? nie wiem.
 Czuję tylko i płonę miłości zarzewiem.

Tłum. Szymon Baranowski.

DO LESBJI (l. 83)

Nikt zaiste nie kochał z tak silnym zapalem,
 Z jakim ja ciebie, Lesbijo, kochałem.
 Nigdy taką wiernością świat nie był zdziwiony,
 Jakąś w kochaniu widziała z mej strony.
 Dziś, Lesbijo, twą winą me serce się zwraca,
 I świętą skłonność na zawsze utracą:
 Ni cię zdołam szacować, choćbyś wierna była,
 Ni przestać kochać, byś wszystko czyniła!

Tłum. Szymon Baranowski.

DO SAMEGO SIEBIE (l. 84)

Jeśli pamięć przeszłości jest miłą czelkowi:
 Że był cnolliwym, gdy się zastanowi,
 Że wiary nie pogwałcił, ani w żadnej sprawie
 Nie wzywał bogów ku ludzi obławie:
 Więc niejedna, Katullu, pociecha cię czeka,
 Którą niewdzięczność miłości przyrzeka.
 Bo co ludzie dobrego i świadczą, i plotą,
 Tyś zawždy mówił i świadczył z ocholą.
 Lecz to wszystko przepadło w obłudnej kobiecie:
 Czemu się dręczysz, że zdrajcy na świecie?
 Nielepiejże skamienieć, mimo bogów woli,
 I cofnąć stopę z otchłani niedoli?
 Ciężko wrychle porzucić przydługie kochanie:
 Ciężko, lecz, bądź co bądź, niechaj się tak stanie.
 W tem jedyny ratunek, przemóc, co wypada.
 Czy możesz lub nie, daremna tu rada!
 Bogowie! Jeśli litość jest w waszem działaniu;
 Jeśliście kogo wsparli przy skonaniu —
 Tu spojrzycie: a jeślim wiódł życie bez skazy,
 Raccie mię wyrwać od zgubnej zarazy,
 Która, krążąc po stawach strapionego ciała,
 Wszystkie pociechy z mej piersi wygnała.
 Nie błagam o wzajemną kochanki życzliwość,
 Lub, co nie może, by wdziwała wstydlivość:
 Pragnę złożyć chorobę, a uzyskać zdrowie.
 Tak mi pobożność zawdzięczcie, bogowie!

Tłum. Szymon Baranowski.

DO JULJUSZA CEZARA (l. 90)

Zyskać twe względy, to kłopot zbyt marny!
Ani chcę wiedzieć, czyś biały, czy czarny...

Tłum. Szymon Baranowski.

DO DIANY (l. 32)

Czyste chłopcy i dziewczęta, nas Diana strzeże święta!
Więc dziewczęta i młodziany, nućmy pieśni dla Diany!
O Latonko, wielki płodzie największego w bogów rodzie —
Ciebie matka w Delos miła wśród oliwnych drzew powiła,
Abyś wzięła pod obronę góry, lasy i zielone
Niedostępnych gajów boki i szumiące wód potoki.
Juno, czy Lucyno — ciebie tak niewiasty zwą w potrzebie;
Ty, Hekate, mienisz lica na poświętną twarz księżycal
O bogini, rok dzieląca odległością dróg miesiąca,
Ty napelniasz wiejskie chaty, dając z roli plon bogaty.
Jakie zechcesz brać imiona, pod takimi będziesz czczona:
Ratuj tarczą twej opieki lud Romula w dalsze wieki!

Tłum. Szymon Baranowski.

ATYS (l. 61)

Atys nawą polotną przebiegłszy mórz tonie,
Nawiedza gaj Frygijski i ciche ustronie,
Kędy leżą tajniki świętego przybytku.
Tam, szaleństwem miotany, w obląkania zbytku,
Odciał sobie krzemieniem zbyteczne ciężary
I pozostał kapłanką...
Kapłanka wzięła tubę i lekki bębenek,
Owe godła bogini, cenione wysoce.
A bijąc paluszkami po wzdętej powłoce,
Zanuciła drżącemi towarzyszkom słowy:
«Nuże, dalej kapłanki, w Cybeli dąbrowy!
«Pośpiesz, błędna gromadko, do pani Dyndymu,
«Co rzuciwszy kraj obcy, z dalekich stron Rzymu,
«Spełniłaś me zamiary, posłuszna mej woli;
«A zniósłszy groźne fale i mnóstwo niedoli,
«Odjęłaś męskość ciału przez wzgardę Wenery.
«Niechże wodza pocieszy głos radości szczerzy:
«Nuż do gajów frygijskich, za mną bez odwłoki!
«Ku świątyni Cybeli skierujcie swe kroki,
«Kędy dzwonią tymbały i huczne bębenki,
«Kędy fletni frygijskiej brzmią donośne dźwięki,
«Kędy trzęsą głowami Menady, w bluszczy strojne,
«Kędy z wyciem sprawują obrzędy dostojne,
«Kędy rzesza ruchoma dla bogini bieży:
«Dokąd i nam z płasami pośpieszyć należy!»
Ledwie Atys do swoich przemowę skończyła,
Nagle tłuszcza rzeźniców straszliwie zawyła;
Znowu huczy bębenek, znów dzwonią tymbały
I na Idę zieloną pośpiesza chór cały.
Właśnie, by jałowica jarzma niecierpiąca,
Pędzi Atys szalona, w bębenek potraça
I prowadzi kapłanki przez cieniste gaje.
Lecą za przewodniczką prędkonogie zgraje.

Przybywszy w dom Cybeli, znużona gromada
 Bez użycia pokarmu w objęcia snu pada,
 Który skleił uśpieniem zemdlone powieki.
 Wtedy ów szal umysłu był od nich daleki.
 Lecz słońce złotouste, gdy promiennem okiem
 Przejrzało ląd i morza, gdy koni poskokiem
 Rozpędziło na niebie mrok nocnej ciemnicy,
 Natychmiast sen ucieka z Atysa żrenicy
 I śpieszy do boskiego swej małżonki Iona,
 Nagle z marzeń spoczynku kapłanka ockniona,
 Stygnie w szale i w sercu swe czyny odkrywa,
 A poznawszy, gdzie bawi i na czem jej zbywa,
 Znow ku morskim wybrzeżom pobiegła szalenie.
 Skąd, łzawemi oczyma mierząc wód przestrzenie,
 Te bolesne wyrazy ojczyźnie przesłała:
 «Ojczyzno, ziemio droga, coś mi życie dała!
 «Którą, jako niewolnik zwykł porzucać pany,
 «Porzuciłem, do gajów gór Idy zagnany,
 «Abym zwierząt drapieżnych zwiedzając łożyska,
 «Jak szaleniec przebiegał te mroźne siedliska!
 «Gdzie jesteś, ma ojczyzno? W jakiej leżysz stronie?
 «Ku tobie w mej żrenicy chęć powrotu płonie,
 «Gdym ukoił na chwilę szaleństwa katusze.
 «Jaż to zdala od domu w tych gajach żyć muszę,
 «Tracąc dobra, rodziców, kraj i przyjaciół?
 «Bez gonitw i zapasów, i rycerskiej szkoły?
 «O jakżem nieszczęśliwy! Biada mi, o biada!
 «Alboż tego, co rozkosz różnych wieków składa,
 «Jako chłopezyk i młodzian, i mąż nie użyłem?
 «Ja, gonitw i zapasów cną ozdobą byłem,
 «Jak u drzwi przyjaciół, tak w progu kochanki,
 «A ściany były strojne kwiecistemi wianki,
 «Gdym ze wschodu promykiem wychodził z pościeli.
 «Jaż to mam być kapłanką i sługą Cybeli?
 «Jaż w niemocy, część siebie, Menadą zostanę?
 «Mamże góry zamieszkać, śniegami odziane?
 «Mamże w grodach Frygiji pędzić żywot marny,
 «Kędy dzicy tulacze, kędy leśne sarny?
 «Ach, żal mi, niestety! żal tego, com zrobił!»
 Gdy głos ten z ust różanych w powietrzu się obił
 I doszedł po zakrętach do uszu bogini,
 Wyprzęgając lwy z jarzma, Dyndymu władczyni
 Lewego w grzbiet uderza i tak się odzywa:
 «Nuże, w pogoń, drapieżco! Niechaj tu przybywa,
 «Niechaj wraca do gajów w namiętym zapale,
 «Ten, co z mego królestwa ucieka zuchwale,
 «Nuże, bij grzbiet ogonem, znoś twe razy mściwe
 «I na karku mięsistym wstrząsaj zdrową grzywę;
 «Spraw, by wszystka twym rykiem zagrzmiiała kraina».
 To mówi groźna Ksieni i jarzmo rozpina.
 Lew, dyszący rozbojem i dzikością srogą,
 Idzie, ryczy, zarosła błędną łamie nogą,
 A wstąpiwszy na krańce brzeżnego przestworza,
 Skoro postrzegł Atysa nad falami morza,
 Natarł silnie. Szaleniec pędzi w gęste lasy,
 Gdzie pozostał kapłanką aż po wszystkie czasy.

O bogini Dyndymu, pierwsza w bogiń rzędzie,
Niech ode mnie dalekim podobny szal będzie!
Innych serca rozpalaj; niech inni szaleją!

Tłum. Szymon Baranowski.

JULJUSZ CEZAR

(100—40 przed Chr.)

WOJNA Z GALLAMI

Zwyczaje Gallów i Germanów (z ks. VI)

W całym kraju Gallów lud, który bodaj jakakolwiek ma wagę i uszanowanie, na dwie warstwy się dzieli: jedni są druidowie, a drudzy szlachta; bo pospólstwo niemal za niewolników jest uważane i nic nie znaczy, i urzędów nie sprawuje, i w żadnej radzie nie bierze udziału; i siła ich jest, którzy albo długami, albo wielkimi daninami i podatkami, albo władzą możnych są gnębieni i oddają się w zależność szlachcie, a szlachta tak się z nimi obchodzi, jak panowie z niewolnikami. Druidowie boskie tajemnice w pieczy mają, ofiary zwykle i uroczyste odprawują, wiary uczą; do nich na naukę bardzo wiele młodzieńców przyjeżdża i w wielkiem poważaniu Gallowie tych ludzi mają, albowiem niemal o wszystkich wątpliwościach i sprawach, tak ogólnych, jak i osobistych, decydują i, jeśli kto się czego dopuścił, jeśli zabił, jeśli o ojczyznę, albo o granice spór się toczy, oni to sądzą, wyznaczają kary i nagrody, skazują. A jeśli kto na urządzie będąc, albo też wolny od urzędowania, ich dekretu nie wysłuchał, nie przypuszczają go do ofiar i przeklinają go — a jest to najcięższa kara u Gallów. Na kim klątwa zaciążyła, tych za bezbożnych i złoczyńców mają, wszyscy im z drogi ustępują, do nich chodźcie unikają i rozmawiać z nimi, żeby się od nich nie zarazili i szkody jakiej nie ponieśli; jeżeliby tacy na kogo u sądu skarżyli się, to ich nie słuchają, żadnych obowiązków im nie świadczą. Druidowie jednego nad sobą przelozonego mają, który między nimi największą ma władzę, a ten, gdy umiera, który z pozostałych jest godny, następuje po nim; jeśli więcej takich jest w zacności sobie równych, tedy go druidowie kartkami albo tabliczkami obierają, czasem też o to zwierzchnictwo toczą się bitwy. Mają pewien termin w każdym roku i w tym terminie w kraju Karuntów w środkowej Galji na miejscu poświęconem zasiadają i tedy zewsząd, którzykolwiek jakie sprawy mają, zjeżdżają się i przedstawiają je władzy ich i decyzji.

Przypuszczają Gallowie, że wiedza druidów została w Brytanji odnaleziona, a stamtąd do Galji była przyniesiona, jakoż i teraz, kto czego chce pewniej dowiedzieć się, częstokroć do Brytanji jedzie. Druidowie na wojnę nie chodzą, ani danin wraz z innymi nie płacą i mają przywilej, że od wojowania i od wszystkiego są wolni. Tak tedy przywilejami ich znęcani, często też i własną dobrą wolą pobudzeni, zjeżdżają się gromadnie na naukę; innych rodzice i krewni tamże do druidów posyłają i podobno bardzo dużo wierszów tam napamięć muszą uczyć się. Otóż niektórzy lat dwadzieścia na nauce takiej trwają i uważają, że nic tego spisywać nie godzi się, a we wszystkich innych rzeczach, w spisach i w sprawach, tak powszechnych, jak i osobistych, greckiego pisma używają. Sądzę, że dla dwóch przyczyn tak postanowili, iż nie chcą, żeby do pospolitego ludu nauka przedostała się, a nadto, żeby ci, którzy się uczą, mając na piśmie i ufając jemu, nie przestali tak pilnie uczyć się napamięć, bo to prawie zawsze się zdarza, że, mając napisane, ludzie mniej pilnie uczą się i pamięć ich słabnie. Nadewszystko tę naukę uczą, że dusze nie umierają, ale z ciał, gdy jedni ludzie umierają, dusze do drugich przechodzą, w nie wstępują; uważają, że jest to pobudka do cnoty i pogardzają bojaźnią śmierci. Dużo okrom tego o gwiazdach i o świata i ziemi wielkości, i o naturze rzeczy, i o bogów nieśmiertelnych potędze dysputują i młodzież uczą.

Jest drugi stan w narodzie Gallów, to znaczy ludzie możni, którzy, gdy potrzeba i jaka wojna wypadnie — co przed przybyciem Cezara niemal każdy rok się zdarzało,

że albo sami najeżdżali, albo od najazdów się bronili — ci możni wszyscy pod znaki jadą i wojną się zabawiają, a im który między nimi rodem i bogactwy jest znaczniejszy, tem więcej okolo siebie niewolników i podwładnych ma, i jest to jedna tylko możliwych prerogatywa. Nacja cała zewszeczmiar do nabożeństwa skłonna i pilnuje go, i dlatego, którzy bardzo schorowani leżą, albo którzy są na wojnie i w jakich niebezpieczeństwach, ludzie nie co innego czynią, tylko ofiarę biją, albo ślubują, że taką ofiarę uczynią: to wszystko druidowie odprawują, gdyż rozumują tak, że nieśmiertelnych bogów niepodobna ubłagać inaczej, jak tylko oddając życie ludzkie za inne życie ludzkie, jakoż ofiary takie jawnie mają ustanowione. Drudzy mają ogromnie wielkie posągi bogów i oplatają je i okrywają gałązkami, i potem żywych ludzi w wnętrze tego kładą, a gdy gałęzie te zapalą, owi ludzie, ogarnięci płomieniami, giną. Uważają, że dla bogów nieśmiertelnych przyjemniejszą bywa ofiara z niegodziwych, z ludzi oskarżonych o kradzież, albo o występki. Z bogów najbardziej Merkurjusza chwalą, którego też najwięcej u nich jest bałwanów; twierdzą o nim, że jest wynalazcą wszystkich nauk, a także zwą go przewodnikiem na drogach i na ścieżkach, i za opiekuna poczytują go w kupiectwie i w każdym zysku. Po nim chwalą bogów Apollina, i Marsa, i Jowisza, i Minerwę i mają o nich te same wierzenia, co inne narody: że Apollin choroby odgania, że Minerwa sztuki i rzemiosła wynajduje i pokazuje, że Jowisz na niebie panuje, a Mars wojenne rządy sprawuje. Gdy wojnę uchwalają, Marsowi łup i zdobycz częstokroć poświęcają i oddają, zwierzęta na łowach zdobyte na ofiarę jemu biją, ostatek rzeczy na jedno miejsce znaszają, i wiele jest miast, w których widzieć każdy może z tych zdobytcy poczynione kurhany na poświęconych miejscach, i czasem zdarza się, że kto sobie lekceważy bojaźń bożą, albo utaja swoje zyski, albo już odłożoną część waży się skraść, takim złoczyńcom prawa Gallów nader ciężką śmierć i wielkie katusze ustanowiły.

Gallowie wszyscy twierdzą, że pochodzą od Disa, to znaczy od boga bogactw i podziemnego życia, i powiadają, że wiedzą to od druidów; z tego to powodu wszelki czas mierzą i określają liczbą nocy a nie dni, i narodzenia swego dni, miesiące i roku początek tak określają, że pierwszej noc, a potem dzień kładą. W czem innem ich sposób życia tem się od innych narodów różni, że własnego potomstwa do siebie nie przypuszczają aż do tego czasu, gdy ten potomek żołnierską służbę pełnić może, a syn w chłopięcym wieku przed ojcem przy obecności ludzi stać nie może, bo to za sromotę poczytują. Mężowie od żon, o ile wielkie pieniądze w posagu biorą, tak samo wielkie z dóbr swoich, szacunek uczyniwszy, przynoszą, i obydwie te sumy wspólnie używają i wspólny zysk zbierają; gdy która strona umrze, na pozostałą obydwie części wraz z zyskiem i ubiegłymi dochodami przechodzą. Mężowie mają moc żony i dzieci śmiercią karać, albo im darować i, gdy jaki gospodarz domu znaczniejszego umiera, jego krewni schodzą się, a jeżeli jest jakie podejrzenie, żony, nieczem niewolnice mężczyzn, a jeżeliby zdrady doszli, zabijają je, ogniem i wszelkiemi katuszami skazane i zbiedzone. Pogrzeby w zwyczajach Gallów są okazałe i kosztowne; wszystko to, co zmarły za życia kochał, w ogień kładą, i zwierzęta, a trochę przed nadejściem Rzymian, także i niewolników, także i podwładnych lub pod opieką zmarłego będących, o których była pewność, że ich miłował, obchody pogrzebowe odprawiwszy, pospółu palili. Miasta, które starannie swoje państwoowe sprawy wykonują, te mają obwarowane prawem, że jeśliby ktoś coś o rzeczypospolitej od pogranicznych sąsiadów dowiedział się, aby do pełniących urzędy doniósł, a zaś nikomu innemu tego nie powiedział; gdyż częstokroć ludzie tępi i nierozumni trwożą się, posłyszawszy nowinę niepewną i fałszywą, i do czego wielkiego a złego pochop biorą, o rzeczach najważniejszych narady czynią, jako się do tego doszło. Urzędy natomiast, jeżeli osądzą o czemś, że należy przemilczeć — milczą; a co za pożyteczne uważają — pospółstwu do wiadomości podają; o sprawach państwowych nie pozwalają mówić Gallowie, chyba na radzie, albo na zgromadzeniu.

Germanowie daleko od tych zwyczajów odeszli, albowiem ani druidów, ani przełożonych duchownych nie mają, ani ofiarami się bawią; bogi te tylko chwalą i za bogów mają, których widzą i których darami i dobrami widomie się ratują i wspierają: Słońce, Ogień, Księżyc, a o innych ani słyszeli. Życie ich całe upływa w łowach i w zabawach

żołnierskich i od najmłodszych lat przyuczają się do znoszenia niewygód, niewczasów i pracy i, którzy nierychło zarastają, ci między nimi największe mają uznanie, gdyż uważają, że z tego idzie wzrostu i sił pomnożenie, żył utwierdzenie i wzmocnienie. Za największą rozpustę poczytują obcowanie z kobietą, jeżeli się jeszcze lat dwudziestu nie doszło; stosunku swego kryć nie zwykli, bo w rzekach z kobietami nie oddzielnie, lecz wspólnie kąpią się i myją, i skórami albo małemi kozuszkami baraniami ciało okrywają, ale w większej części nagie je zostawiają. Roli niebardzo pilnują, więcej mleka, sera i mięsa używają, i nikt stałych posiadłości, albo granic własnych nie ma; ale władza i możni na każdy rok plemionom i rodom, które do jednego miejsca skupiły się, ile się im zda i gdzie, tyle ziemi wyznaczają, a rok przeżywszy, do innego miejsca im się przenieść rozkazują. Dużo przyczyn takowego zwyczaju i uchwały ich dają, by ustawicnością pobytu niezniećni, chleb żołnierski na chleb rolników i oraczów nie przefrymarczyli; by nie dbali o rozszerzenie swoich posiadłości, a zaś potentaci żeby uboższych z siedzib nie spędzali; by dla zimna, ani dla upału letniego tem dostatniej i okazalej się nie budowali; by z osiedlenia i pieniędzy chęciwość nie przyszła do nich, bo z tej stronictwa i niesnaski domowe zazwyczaj rodzą się; by tym sposobem w skromności człowieka pospolitego utrzymać, gdyż tyle u siebie w domu ma- jętności widzi, ile u największych potentatów.

Te plemiona są najsławniejsze u Germanów, które jak najszerzej granice splon- drowawszy, pustynie dookoła siebie mają: to właśnie za dzielność uważają, żeby po- graniczne osady spędzić i żeby nikt nie ośmielał się w pobliżu ich osiedlić się, a z tego bezpieczeństwo sobie obiecują i wolni są od bojaźni nagłego najazdu. Gdy plemię jak- kie od nabiegu nieprzyjacielskiego broni się, albo też samo przeciwko komu wojnę podnosi, ustanawiają taki najwyższy urząd, który ma prawo na gardle karać lub da- rować życie winowajcy. W czasie pokoju żadnego stałego księcia nie mają, ale ci, którzy rządzą plemionami i gminami, oni między swoimi czynią sprawiedliwość, a sprawy i spory rozstrzygają własną powagą. Rozbój i lotrostwo, którem się zagranicą kto bawi, sromotne nie jest, lecz owszem, powiadają, że to dla ćwiczenia młodych dzieje się, dla uchronienia od gnuśności. Gdy który z możnych panów orzeknie na zgroma- dzeniu możnych, że chce w tej i takowej potrzebie, o której się mówi, hetmanić, a kto chce mu w tem dopomóc, ten niech mu się stawi i zgłosi, zaraz powstają ci, co mu to na głos bardzo chwalą i wysławiają go, i pomoc obiecują; tamże i pospól- stwo pana owego chwali; jeśli którzy o takich nie dbają, a pomocy im swojej nie dostarczają, takowych mają wszyscy za zdrajców i potem w niczem im nie wierzą i nie ufają. Uważają za rzecz ważną i niesprawiedliwą gościa w czem ukrzywdzić i kto do nich w jakiej sprawie przyjechał, od krzywdy go wielkiej bronią; uchodzi, że jest pod opieką bożą i ma przywileje według prawa i ustawy; dla niego wszystkie domy otwarte są i wolne i wszędzie go przyjmują.

Był dawniej taki czas, że Gallowie dzielnością przewyższali Germanów i pro- dowali, i owszem sami do ich ziemi najazdy czynili, dla ludności i mnóstwa własnego i trochę dla uprawnej roli lud swój za Ren na osiedla wysyłali; jakoż miejsca te, które są w germańskiej ziemi najobfitsze i pod lasem Hercynją leżą — o nim to Eratoste- nes i niektórzy Grecy z opowiadań wiadomości mieli i Arcynją nazwali — miejsca te Wolcy Tektosagowie zajęli i tam się osiedlili; ten naród tamże i do naszych lat sie- dzi, a ze sprawiedliwości i z rycerstwa wielką ma sławę; także niedogody, niedostatek i cierpliwość, co i germańskie plemiona, także pokarmy, także odzienie, co i one ma, chociaż sam galijski. Gallom sąsiedztwo z zamorskimi narodami i stosunki z niemi wielkie dostatki przynosi i bogactwa, i potrzeby; w wielu wojnach pouczeni i przyzwy- czaiwszy się do przegranej, nie ośmielają się w męstwie z Germanami równać.

Las Hercynją, o którym wyżej była mowa, lekko się wybrawszy, można przejść w szerokość w dziesięć dni; prędzej go nie można przebyć, kędy nie wiedzą nic o gościńcach, ani są ich świadomi. Poczyna się od granic helweckich, od nemetskich i rawrackich, a kierując się wprost do Dunaju, do granic Daków i Anartów docho- dzi; stąd na lewo idzie przez tę rzekę, a dla wielkości swojej i rozciągłości, granic wielu narodów sięga, i niemasz człowieka w tej germańskiej ziemi, któryby stwierdził, że, idąc dni sześćdziesiąt, do krańców tego lasu doszedł, albo posłyszał kiedy, gdzieby

się kończył las. Wiele ma w sobie zwierząt rozmaitych, jakich w inszych lasach nie masz, ani nie widziano; różnią się od wszystkich i zdaje mi się, że zasługują na opisanie dla dalszych wieków. Jest tam wół z postacią jelenia, który między uszami w polowie czoła ma jeden róg, daleko dłuższy i prostszy, niżeli są owe rogi, co je widzimy; na wierzchu samym dopiero ten róg, niczem dłoń ludzka, rozkrzewia się w szerokość; takież jest wygląd samca i samicy, takież postać i wielkość rogów. Są tam również te, co zwiemy je łosiami, do sarn podobne postacią i wyglądem, ale przecie wzrostem je przechodzą; rogi mają niezupełne, golenie też bez rozdzielenia, to znaczy prosto zrosłe z drugą częścią nogi, z której to przyczyny, ani gdy mają spać, na ziemi nie kładą się, ani kiedy im przytrafi się upaść, więcej wstać, ani podnieść się nie mogą. Otóż drzewa są im zamiast legowiska; o drzewa się wspierają i tak trochę się wsparłszy, śpią; lowcy, wypatrzywszy z śladu takowe ich legowiska, zaraz w tychże miejscach drzewa wszystkie albo od korzenia samego podkopują, albo cokolwiek wyżej tak podcinają, że tylko na ostatniej niemal korze stojące drzewa zostawiają; do których, gdy losie przychodzą i wedle zwyczaju się wspierają, ciężarem je swoim wałą i razem z niemi na ziemię upadają. Trzeci rodzaj zwierza, jaki jest w tym lesie, żubry się zowią; mniejsza to jest trochę bestja niżeli słoń, a postacią, sierścią, kształtem, jako byk, jest wielkiej siły i wielkiej prędkości i ani człowiekowi, ani drugiemu zwierzęciu, jeżeli je dojrzy, nie przepuści. Żubry łowią do dolów poło wykopanych i biją. Taką pracą młodzież wciąga się do wszelkich niewczasów i ćwiczy się w tych lowach, a którzy więcej ubili, rogi na świadectwo przed wszystkimi położywszy, wielką chwałę mają; ale i maluczkie jeszcze żubry wzięte nie dadzą się żadnym sposobem ugłaskać i swej dzikości nie utracą. Wielkość rogów, kształt ich i wygląd daleko odbiega od rogów naszych wołów; starannie je obrobiwszy, około krawędzi w srebro oprawiają i na wielkich ucztach, zamiast kubków, używają.

Tłum. Andrzej Wargocki.

MAREK CYCERO [MARCUS TULLIUS CICERO]

(106—43 przed Chr.)

SEN SCYPJONA [SOMNIUM SCIPIONIS]

(De republica I. VI)

[1] Przybyłem do Afryki, do konsula Manljusza Maniljusa, jako dowódca czwartego legjonu; wiecie o tem zresztą; pierwsza rzecz, której chciałem, było to jak najprędzej odwiedzić króla Masynisę, szczerego przyjaciela naszej rodziny. Gdy się udał do niego, starzec zapłakał z radości, uściskał mnie, a potem zaczął dziękować bogom: «Dzięki ci, Dobre Słońce, i wam, niebianie wszyscy, żeście mi dali przed śmiercią, w domu moim, w kraju moim powitać Publjusza Scypjona; samo to imię przywraca mi życie: przecież w pamięci mojej nigdy nie zatarta się postać wspaniałego i szlachetnego zwycięzcy Hannibala, postać Scypjona Starszego». Nawzajem wypytywaliśmy siebie, on — o nasze publiczne sprawy, a ja — o jego królestwo; tak gawędziliśmy bez przerwy cały dzień. Masynisa podejmował mnie z یشcie królewskim przepychem, a rozmowa nasza trwała dopóźna w noc; stary król o niczem innem nie mówił, jak tylko o Scypjonie Afrykańczyku; przypominał wszystkie postęпки jego i czyny, i nawet słowa; potem poszliśmy spać. Znużony drogą i rozmową do późnej nocy, zasnąłem mocniej, niż zazwyczaj. Często się zdarza, że dzienne rozmowy i myśli wywołują w nas specjalne marzenia; Ennjusz opowiada o sobie, że za dnia stale myślał i rozmawiał o Homerze, a w nocy widział go we śnie; otóż i mnie to przytrafiło się: całodzienna rozmowa o Afrykańczyku Scypjonie spowodowała, że ujrzałem go we śnie, takim zresztą, jakim go znałem z pośmiertnych portretów i podobizn. Gdy go tak ujrzał, przestraszył mnie ogarnął, a on na to: «Nie lękaj się, Scypjonie, oprzytomnij i zachowaj w pamięci, co ci powiem:»

[2] «Spojrzyj na to miasto: zmusiłem je do posłuszeństwa narodowi rzymskiemu i do uległości; a przecież nie chce ono uspokoić się i znowu wznawia dawny spór» — mówiąc

te słowa, wskazał mi Kartaginę; stał Afrykańczyk przede mną gdzieś wysoko, w miejscu pełnem gwiazd, w przestworzu jaśniejącem blaskiem. «Przybyłeś teraz tu do zdobywania Kartaginy dopiero jako podkomendny, ale po dwóch latach zdobędziesz ją już jako naczelny wódz, zdobędziesz także i przydomek Afrykańczyka, który narazie nosisz po mnie w spadku. Potem, już po zburzeniu Kartaginy, sprawisz obrzęd triumfu, zostaniesz cenzorem, a w charakterze posła zwiedzisz Egipt i Syryję, Azję i Grecję, i znów zostaniesz obrany na konsula, i to pod nieobecność twoją w Rzymie, zakończysz uciążliwą wojnę i zburzysz w Hiszpanji Numancję. Gdy jednak na wozie triumfalnym wjedziesz na Kapitol, urazisz Rzeczpospolitą, wzburzoną reformami mego wnuka, Tyberjusza Grakcha. Wówczas to, Afrykańczyku, będziesz musiał ukazać ojczyźnie blask genialności twojej i rozumu; niestety, drogi przeznaczeń w tym właśnie momencie są dla mnie spowite mgłą. Albowiem w czasie, gdy życie twoje ośm razy spełni siedmiokrotne powroty słońca, to dwie te liczby, ósemka i siódemka, każda z innych powodów doskonała, przez naturalne swoje połączenie się stworzą dla ciebie fatalną liczbę lat. W tym to czasie do ciebie i do nazwiska twego zwróci się całe państwo; będzie cię wzywał senat i obywatele, wszyscy podwładni i całe łacińskie plemię; ty będziesz tym, na którego barkach spocznie dobro państwa; streszczę się: jako dyktator będziesz musiał zreformować Rzeczpospolitą, ale dopiero w tym wypadku, jeżeli unikniesz śmierci, jaką ci zechcą zadać twoi bliscy». Na te słowa Leljusz oburzony zakrzyknął, a wszyscy obecni niespokojnie poruszyli się; Scypjon natomiast uśmiechnął się łagodnie i powiada: «Proszę, nie przerywajcie mego snu; uciszcie się i posłuchajcie dalej».

[3] «Afrykańczyku Młodszy — powiedział do mnie — bądź, jak najbardziej gorliwy w państwowotwórczej pracy. Pamiętaj o tem, że dla tych ludzi, którzy przyszli z pomocą ojczyźnie, którzy przynieśli jej dobro i powiększyli jej potęgę, dla tych ludzi w niebie przygotowane jest miejsce, gdzie wieczne życie staje się udziałem błogosławionych. Dla przedwiecznego Boga, który rządzi wszechświatem, ze wszystkich ziemskich rzeczy najmilsza jest państwowość, to znaczy zgromadzenie ludzi i społeczeństw, spojone praworządnością; kierownicy i organizatorowie państw zstępują na ziemię z nieba i zpowrotem wracają do nieba». Przy tych słowach ja, wzburzony nietyle strachem śmierci, ile zdradą moich krewnych, zapytałem jednak, czy żyje on sam, Afrykańczyk Starszy, i ojciec mój Emiljusz Paweł, i inni, o których my mówimy, że umarli. «Naturalnie — rzecze Scypjon — żyją oni; są wolni od cielesnych więzów; są niby z więzienia wypuszczeni. Albowiem to, co wy, mieszkańcy ziemi, zwiecie życiem, w istocie rzeczy jest śmiercią. Spójrz, nadchodzi ojciec twój Emiljusz Paweł». Gdy zobaczyłem ojca, załamałem się łzami, a on uściskał mnie, pocałował i zabronił płakać; osuszyłem łzy, odzyskałem panowanie nad sobą i zapytałem ojca: «Powiedz mi, dobry, najdroższy ojcze, skoro jest tak, jak mówi starszy Afrykańczyk Scypjon, że dopiero tutaj jest prawdziwe życie, dlaczego mam dłużej pozostawać na ziemi? Dlaczego nie miałbym przyspieszyć mego przybycia do was?» — Ojciec na to: «Nie wolno, nie możesz przyjść do nas, zanim nie zwolni cię z więzów ciała Bóg, którego świątynią jest cały ten wszechświat. Ludzie są stworzeni poto, by życie swoje spędzali na tym globie, który znajduje się w środkowym punkcie przestworza i zwie się Ziemią; ludzki natomiast duch wywodzi się z tych przedwiecznych płomieni, które wy nazywacie gwiazdami, ciałami niebieskimi; one są okrągłe, kuliste, ożywia je boska myśl; one z przedziwną szybkością przebiegają kręgi swoje i orbity. Oto, dlatego, Publjuszu, ty i każdy uczciwy człowiek musicie pilnować swego ducha w ciele, niczem w więzieniu, albowiem nie wolno wam wyzwać samowolnie ducha, bez przyzwolenia Boga, który to życie dał; nie wolno zrzucić z siebie obowiązków, które sam Bóg nałożył na człowieka. Scypjonie Afrykańczyku, czyn tak, jak czynił dziad twój, Starszy Afrykańczyk, jak czyniłem ja, twój ojciec Paweł: uwielbiaj uczciwą sprawiedliwość; umiej stosować ją zawsze względem rodziców i bliskich twoich, ale przede wszystkim, względem ojczyzny twojej: to właśnie jest drogą do nieba, do pobytu razem z tymi, co już przeżyli ziemskie życie i, uwolnieni od ciała, zamieszkują miejsce, na które spoglądasz; nauczeni przez Greków, zwiecie to miejsce Mleczną drogą» — a był to jaśniejący blaskiem krąg, otoczony mnóstwem płomiennych światel. Gdy z tego

miejsca oglądał całość, widziałem, że wszystko jaśnieje blaskiem, że jest cudowne. Były tam gwiazdy, których nigdy nie dostrzegamy z naszej ziemi; były one tak wielkie, jak tego wcale nie przypuszczamy; najmniejsza z nich wszystkich, najbardziej oddalona od niebieskiego przestworza, zarazem najbliższa Ziemi, świeciła zapożyczonym światłem. Gwiazdne bryły ogromem swoim przewyższały Ziemię, a ta była tak mała, że zawstydzil się znikomości naszego Imperjum, które w dodatku na samej Ziemi było tylko małym punktem.

[4] Gdym tak starannie przyglądał się Ziemi, Starszy Afrykańczyk znów przemówił: «Proszę, dlaczego myślą uporeczywie tkwisz przy padole ziemskim? Czyż nie dostrzegasz, w jakie to błogosławione przestworza wszedłeś? Patrz: wszechświat składa się z dziewięciu kręgów, lub raczej sfer; jedna z tych sfer, najdalsza, tworzy niebo. Niebo zawiera w sobie wszystkie inne sfery; ono jest najwyższym Bogiem, który wszystko ogarnia sobą i otacza; tu, w niebie, tkwią gwiazdy i nieustannie, w wiecznym ruchu mkną; niebo zawiera w sobie siedm innych sfer, a obracają się one w odwrotnym kierunku, aniżeli sfera nieba. W jednej sferze tkwi owa gwiazda, którą na Ziemi zwą Saturnem; poniżej, życzliwej i przyjaznej dla pokoleń ziemskich, jaśnieje blaskiem Jowisz; następnie Mars, straszny dla ludzi, krwawy; potem, już prawie w środku tej części przestworza, zajmuje swoje miejsce Słońce, będące królem i władcą, i sprawcą wszelkiego światła; będące rozumem i duszą wszechświata; ogromne i promienne, wypełnia wszystko swoim blaskiem; Słońcu towarzyszą sfery Wenusy i Merkurego, a już ostatnie miejsce zajmuje sfera Księżyca, który jaśnieje światłem otrzymanem od Słońca. Ponad Księżycem wszystko jest wieczne; poniżej księżyca nic wiecznego, nic niezmiennego, wyjąwszy dusze, dane śmiertelnym ludziom przez bogów. Ziemia, która jest w środkowym punkcie i jest dziewiątą sferą, Ziemia jest ostatnia w rządzie sfer i nie porusza się, a wszystko zdąża do niej, popychane siłą własnego ciężaru».

[5] Oczarowany, spoglądałem na wszystko; po chwili przyszedłem do siebie i znów zapytałem: «Cóż to za potężne i harmonijne brzmienia, które słyszę?» Scypjon rzecze: «Jest to brzmienie, jakie powstaje z obrotu i stykania się sfer; nie są one bowiem jednakowo od siebie odległe, niemniej odstępów te ulegają ścisłym prawom; ostre i niskie brzmienia łączą się w taki sposób, że nawzajem siebie uzupełniają i stwarzają harmonję. Tak wspaniałe obroty niebieskich ciał nie mogą odbywać się w zupełnej ciszy, a elementarne prawa sprawiły, że zewnętrzne granice sfer rozbrzmiewają wysokim tonem, gdy wewnętrzne wydają tony niskie; wypływa z tego, że najwyższa sfera, to znaczy gwiazdziste niebo, które najszybciej mknie w swym biegu, rozbrzmiewa szeregiem tonów wysokich i rozgłosnych; najniższa sfera, księżycowa, grzmi niskim brzmieniem; Ziemia, będąca dziewiątą sferą, tkwi niezmiennie w środku świata. Ponad Ziemią mknie ośm sfer, a dwie krańcowe dają jedno wspólne brzmienie; siedm pozostałych, zachowując należne interwale, wytwarzają siedm różnych brzmień. Liczba ta, siódemka, jest podstawową liczbą wszechrzeczy; ludzie nauczyli się naśladować brzmienia sfer na strunach i w pieśni i tą drogą zdobywają sobie dostęp do wszechświata, podobnie jak inni, blaskiem własnej genialności, w ziemskiej swej wędrówce jednoczą się z majestatem Boga. Uszy śmiertelnych ludzi, wypełnione zawsze brzmieniem sfer, nie słyszą nic, bo ludzki zmysł słuchu jest ułomny; przypomnij sobie plemię, mieszkające nad Nilem w okolicy Katarakty: rzeka przepływa tam przez wysokie góry i tworzy ogromne wodospady, a potężny loskot wody ogłusza mieszkańców nadbrzeżnych okolic. Rozgłosna melodia, grzmiąca we wszechświecie z obrotu sfer jest niedostępna dla ludzkich uszu, tak samo, jak dla oczu jest niedostępny pełny słoneczny blask, gdyż siła jego oślepia zmysł optyczny».

[6] Pełen zdumienia i zachwytu, raz po raz jednak spoglądałem na Ziemię; wtedy Afrykańczyk: «Widzę, że wciąż wracasz myślą do swej ziemskiej siedziby; widzisz z tego miejsca, jaka ona jest mała — zatem naucz się zawsze tęsknić do nieba i nie przywiązuj zbytnej wagi do znikomej ludzkiej natury. Zrozum, proszę, jak nikła jest sława, którą ludzie mogą cię obdarzyć; jak mała jest chwała, którą możesz dla siebie zdobyć na Ziemi! Spójrz na te zaludnione miejsca na waszym globie; niewielkie, są one zrzadka tylko porozrzucane po globie; są to drobne plamki, otoczone ze wszystkich stron wielkiem pustkowiem; mieszkańcy Ziemi nie tylko tak są oddzieleni od siebie,

że nie mają z sobą żadnej łączności, lecz w stosunku do was, mieszkańców Italji, jedni chodzą pochyleni pod ostrym kątem, inni zaś głową są zwrócenii w przeciwną zgoła stronę, aniżeli wy: zależy to od punktu globu, który zamieszkuje. Czy możesz spodziewać się, że sława twoja będzie tkwiła wśród tych ludzi? Zwróć uwagę na to, że ziemia jest podzielona na strefy, które ją otaczają niczem pasy; dwie takie strefy podbiegunowe zajmują krańce globu i są pokryte śnieżnym całunem; środkowa natomiast strefa, największa, jest wystawiona na działanie upalnych i skwarnych słonecznych promieni. Dwie strefy są zaludnione; jedna jest południowa, a jej mieszkańcy w stosunku do was, Rzymian, są antypodami i nie mają z wami nic wspólnego; druga, którą owiewa wiatr z północy, jest zajęta przez was — spojrzij jednak, jak w małym stopniu należy do was. Cały ten ład, który zamieszkuje, u góry pod biegunem jest zwężony; po bokach rozszerza się, ale stanowi tylko małą wyspę: ze wszystkich stron jest otoczony morzem, które wy zwiecie Atlantykiem lub Oceanem, lub wreszcie Wielkim morzem; spojrzij: aczkolwiek nazywacie go Wielkim, jest jednak ten ocean bardzo mały. Nawet w granicach całego tego terytorjum, które jest ci znane i jest zaludnione, nawet w tych granicach nie możesz spodziewać się, by twoja sława, lub sława jakiegoś innego Rzymianina, przekroczyła ten łańcuch górski, który się zwie Kaukazem; by mogła przepłynąć przez ową wielką rzekę Ganges. Któryż mieszkaniec Wschodu lub Zachodu, jaki człowiek z północnych krańców waszego ładu lub z południowych posłyszy o tobie? Pamiętaj więc, Afrykańczyku: doczesna sława, zamknięta w małym kraiku, odcięta od dalszych krajów, ogranicza się wyjątkowo małym terenem. Zresztą ci, którzy pamiętają o nas, czy długo będą pamiętali?

[7] A nawet gdyby przyszłe pokolenia chciały przechować naszą chwałę i imię każdego z nas przekazać potomności, to i tak nie osiągnęlibyśmy wiecznej sławy; wskutek powszechnych pożarów i potopów, ogarniających co pewien czas ziemię, możemy w pamięci ludzkiej osiągnąć tylko krótkotrwałe życie. Zresztą, co jest warta sława u potomnych pokoleń, skoro najmniejszej nawet wzmianki o sobie nie potrafimy dla siebie zdobyć u pokoleń, które poprzedziły nas w życiu i które wysunęły ludzi tak samo zasłużonych, jak my, albo i bardziej od nas. Co więcej, czy dużo jest warta taka sława, której nie mogą przechować dłużej, niż przez jeden tylko rok ci, co chcieliby i mogli ją przechować? Ludzie zazwyczaj mierzą rok obrotem samego tylko słońca, to znaczy jednego niebieskiego ciała; w istocie rzeczy prawdziwy, pełny rok dopiero wtedy się kończy, gdy wszystkie gwiazdy przebiegną swoje orbity i wrócą do tego samego punktu i po długim przebiegu lat i stuleci przywrócą niebu układ ciał niebieskich identyczny z tym, co był ongi w jakimś momencie. Nawet nie potrafiłbym ściśle określić, ile to ludzkich stuleci zawiera w sobie taki gwiazdny rok; w dniu, kiedy duch Romulusa wstąpił w błogosławione przestworze, gdzie teraz znajdujemy się, w tym dniu wydało się ludziom, że słońce zamiera i gaśnie; otóż w przyszłym czasie, gdy znów w tem samym miejscu nieba i o tej samej porze dnia słońce zacznie gasnąć, a wszystkie ciała niebieskie i wszystkie gwiazdy ponownie zajmą to samo miejsce, jakie zajmowały w chwili, kiedy Romulus opuszczał ziemię — oto dopiero wtedy spełni się pełny rok — a przecież od śmierci Romulusa nie przeminęła jeszcze nawet dwudziesta część gwiazdowego roku. Afrykańczyku Młodszy, jeżeli zwątpisz o powrocie swoim w te przestworza, które są siedzibą wielkich, bohaterkich ludzi, to pomyśl o tem, jak bezwartościowa jest doczesna sława, która najdłużej może trwać jakąś maleńką część jednego roku. Jeżeli natomiast pragniesz spoglądać w głąb wysokości, jeżeli chcesz poznać siedlisko wiecznego życia — nie szukaj w doczesnych rzeczach nagrody za trud swego życia; zawsze myślą wznosić się ponad łatwy rozgłos. Idź zawsze za wołaniem samych tylko moralnych rozkazów, a one niech będą dla ciebie jedną jedyną nagrodą; ludzie sami już będą wiedzieli, co o tobie należy mówić, i z pewnością będą mówili. Nie zmienia to faktu, że wszelka ludzka sława jest ograniczona małym kraikiem, jak to sam widzisz, a w dodatku żaden człowiek nie zdobył na ziemi wiecznej sławy, albowiem sława gaśnie w pamięci potomnych i ginie wraz z całą ludzkością».

[8] Gdy to powiedział, odrzekłem: «Afrykańczyku Scypjoni! Od najmłodszych lat usiłowałem iść przez życie drogą, wskazaną mi przez ciebie; przez ojca mego Pawła. Teraz wiem, że szczerą i pożyteczną pracą dla narodu i państwa otwiera przed czło-

wiekim bramę do nieba — o ileż bardziej będę się oddawał tej pracy, która przyniesie mi taką nagrodę!» Afrykańczyk na to: «Zawsze się staraj i pamiętaj o tem, że to nie ty jesteś śmiertelny, lecz twoje ciało; twój kształt doczesny nie jest jeszcze tobą: człowiekiem jest duch jego, a nie to ciało, które możemy dotknąć ręką. Bogiem jesteś, albowiem bogiem jest ten, kto ma energję i czucie, kto pamięta i przewiduje, kto porusza, kieruje i rządzi podwładnem sobie ciałem tak, jak wielki Bóg rządzi wszechświatem; podobnie jak cały wszechświat, który jest do pewnego stopnia doczesny, Bóg przedwieczny wprawia w ruch, tak również nieśmiertelny duch człowieka porusza własnem jego ciałem. To, co zawsze jest w ruchu, jest wieczne; natomiast to, co pobudza wprawdzie do ruchu, lecz samo się porusza ruchem otrzymanym skądinąd, z chwilą kiedy ten ruch skądinąd otrzymany ustaje, musi zakończyć swe życie. Zatem tylko to nigdy nie ustaje w ruchu, co samo siebie wprawia w ruch, jako że samo siebie nigdy nie opuszcza; co więcej, staje się źródłem i pierwszą przyczyną ruchu wszystkich rzeczy, jakie tylko poruszają się. Pierwsza przyczyna nie ma swego początku, gdyż wszystko z niej powstaje, a ona z niczego nie powstaje, tylko zawsze jest, albowiem nie byłaby pierwszą przyczyną, gdyby powstała z czegoś innego; skoro więc nigdy nie miała początku, również i końca nigdy nie zazna. Gdyby pierwsza przyczyna ustalała, to w żaden sposób nie powstałaby na nowo i nie już nigdy nie mogłoby jej odrodzić; albowiem, cokolwiek istnieje, jest tylko wynikiem działania pierwszej przyczyny. Z tego wypływa, że pierwsza przyczyna ruchu jest treścią istoty, która sama siebie wprawia w ruch, która zatem nie może mieć w czasie ani początku, ani końca, gdyż inaczej zapadłby się, zatrzymałby się cały wszechświat, całe przestworze nieba i nie powstałaby już żadna moc, która świat na nowo wprawiałaby w ruch.

[9] Skoro jest rzeczą niewątpliwą, że to, co samo się porusza, jest przedwieczne i wieczne, zatem nie ulega wątpliwości również i to, że taki właśnie jest duch. Albowiem wszystko, co się porusza ruchem zapożyczonym, jest bezduszne; natomiast to, co jest uduchowione, porusza się z własnej i wewnętrznej przyczyny, która jest istotą i nieodłączną cechą ducha. Jeżeli więc z wszystkich rzeczy, jakie istnieją, sam tylko duch siebie samego wprawia w ruch, zatem sam tylko duch jest wieczny, sam tylko nie ma początku ni końca. Ducha swojego uszlachetniaj zawsze, a szlachetnością jest troska o dobro państwa i narodu; w takiej trosce uszlachetniony i wyćwiczony duch przybywa do tej siedziby, która jest dlań jego domem; przybędzie tutaj tem prędzej, im bardziej będzie niezależny od cielesnych pobudek w tym czasie, kiedy tkwi zamknięty w ciele; im bardziej będzie tęsknił do swej niebiańskiej ojczyzny. Dusze tych ludzi, którzy ulegają cielesnym namiętnościom, którzy są posłuszni żądzom, pobudkom zmysłowej rozkoszy — te dusze postępowaniem swoim zniewalają boski i ludzki porządek; odłączone od ciała, błakają się one dookoła Ziemi, a w wieczne przestworza przybywają dopiero po wykonaniu pokuty i po długim czasie».

To powiedziaławszy, znikł, a ja przebudziłem się.

Tłum. M. St. Popławski.

DRUGA FILIPIKA

[Partje zamierzonego przemówienia Cyncerona przeciwko Antonjuszowi w r. 44.]

[1] Senatorowie! Jak mam nazwać mój los, co tak zrządził, że nikt przez ostatnich lat dwadzieścia nie był wrogiem Rzeczypospolitej, któryby i mnie zarazem nie wypowiedział wojny? Nie potrzebuję przed wami żadnego z nich wymieniać, gdyż sami ich pamiętacie; odnieśli oni karę sroższą, aniżelim sam tego im życzył. Dziwię się tobie, Antonjuszu, że naśladujesz ich czyny i nie lękasz się ich końca. Mniej to mnie w innych dziwiło: żaden z nich nie był moim dobrowolnym wrogiem; każdego zaczępiłem w sprawie Rzeczypospolitej. Nie zaczępiłem ciebie ani jednym słowem, a ty okazujesz zuchwalstwo większe niż Katyliną, szaleństwo gwałtowniejsze niż Klodjusz i z własnej woli zaczępiłeś mnie obelgami, w tej myśli, że zerwanie przyjaźni ze mną nikiemni obywatele będą ci poczytywali za zaletę. Co mam o tem myśleć? Czy jest to wyraz pogardy twojej dla mnie? Ależ nie znajduję ani w mojem życiu, ani w więtości, ani w postępkach moich, ani w miernych moich zdolnościach, nie znajduję nic, co zasłużyłoby na pogardę Antonjusza! Czy myślał Antonjusz, że łatwo jest uwłaczać

mi w senacie? Ależ senat, który tylu znakomitym mężom stanu dał świadectwo, że są tylko dobrymi sługami państwa, mnie jednemu, Cynceronowi, przyznał, że uratował państwo! A może chciał pognać mnie dowcipną mową? Za to mogą być tylko mu wdzięczny; czyż mogę mieć wdzięczniejszy temat, obszerniejsze pole, niż mówić w obronie swojej i przeciw Antonjuszowi? Oto jest przyczyna jego wystąpienia: wiedział, że ludzi takich, jakim jest sam, nie potrafi inaczej przekonać o sobie, że jest wrogiem ojczyzny, jak tylko okazując siebie moim wrogiem.

[22] Oskarżam cię, Marku Antonjuszu, że ty właśnie, że pierwszy dałeś Cezarowi powód wypowiedzenia wojny ojczyźnie, Cezarowi, który tylko tego chciał, żeby wszystko wzburzyć. Cóż on bowiem innego mówił, jaki inny powód podawał szalonego swego zamiaru i czynu, jeśli nie to, że intercesja twoja została zlekceważona, że zniesiona została prerogatywa trybuna ludowego, że senat znieważył władzę Antonjusza? Pomijam, jak błahy i fałszywy był ten powód, zwłaszcza że nigdy nikt nie może mieć słusznej przyczyny, by podniósł broń przeciw ojczyźnie. Lecz o Cezarze dość; ty natomiast nie możesz zaprzeczyć temu, że najważniejszy powód tej okropnej wojny tkwił w tobie. Biedaku ty, jeżeli wiesz, jeszcze bardziej biedaku, jeżeli nie wiesz o tem, że będzie zapisane w dziejach, że będzie podane powszechnej pamięci, że będzie przekazane najodleglejszej potomności to, iż konsulowie rzymscy zostali wygnani z Italji, że sam Pompejusz, światło i podpora Imperjum i narodu Romy, wraz z nimi poszedł na wygnanie! Że wszyscy mężowie konsularni, którym zdrowie pozwoliło ponosić trudy kłęski i ucieczki; że pretorowie czynni i ci, co dawniej byli pretorami, że trybuni ludowi i większość senatorów, i cała szlachetna młodzież, słowem, cała Rzeczpospolita Rzymska została usunięta i wygnana ze swoich siedlisk! Jako w nasionach tkwi zarodek drzew i roślin, tak i ty byłeś nasieniem tej przeklętej wojny! Senatorowie! użalacie się na stratę trzech armij rzymskiego narodu: Antonjusz był straty tej przyczyną! Bolejcie nad śmiercią najdostojniejszych mężów stanu: tenże Antonjusz zabił ich! Powaga rzymskiego senatu została podeptana; Antonjusz ją podeptał! Patrzcie dobrze, senatorowie, a zobaczycie, że wszystkie kłęski, jakie potem na nas spadły — a spadły wszystkie, jakie tylko mogły, wszystkie zawdzięczamy jednemu tylko Antonjuszowi! Czem była Helena dla Trojańczyków, tem był Antonjusz dla naszego państwa: przyczyną wojny, zguby i upadku. Zakonczenie jego trybuńskiej władzy było podobne do początku tejże: wykonał wszystko to, co senat osądził za szkodliwe dla dobra państwa; spojrzycie i na to, jak w samej zbrodni przebrał miarę.

[23] Przywrócił z wygnania wielu nieszcześliwych — ale między nimi ani wzmianki o stryju, Gajusie Antonjuszu? Jesteś surowy? dobrze, ale bądź dla wszystkich surowym; jesteś litościwy? więc dlaczego zapominasz o swoich bliskich? Innych pomnę, ale oto Licynjusz Dentykola: gracz, który za hazard został skazany; przywrócił mu Antonjusz pełnię praw, jako że wspólnie z nim zgrywał się, jakgdyby nie mógł grać ze skazanym; przywrócił mu prawa poto, żeby w ten sposób spłacić dług przegrany przy stoliku! Jakie wyjaśnienie dałeś Rzymianom, że Licynjuszowi należy przywrócić prawa? czy to, że oskarżony zaocznie został skazany bez przesłuchania? czy może to, że żadne prawo nie ustanowiło kary za szulerkę? że Licynjusza uciśniono przemocą? a może, jak mówiono o stryju twoim, że sędziowie byli przekupieni? Bynajmniej; tylko to, że Licynjusz jest uczciwy, że zasługuje na obywatelskie prawa. Nie należy to do mnie, skoro jednak za nie masz sądowy wyrok, przebaczyłbym ci, gdyby tak było. Twierdzą jednak, że ten, kto przywrócił do pełni praw człowieka najgorszego, człowieka, który nie bał się uprawiać hazard na samem Forum, za co został skazany zgodnie z prawem o hazardowej grze — taki człowiek daje świadectwo własnej skłonności do hazardu. W ciągu tegoż trybunatu Antonjusza, kiedy Cezar, odjeżdżając do Hiszpanji, pozwolił mu grasować po Italji — jak odbywał Antonjusz swoje podróże, jak odwiedzał italskie miasta? To, co teraz opowiem, u wszystkich było na języku, wiem o tem; ci, co podówczas byli w Italji, lepiej to wszystko wiedzą niż ja, który byłem nieobecny. Powiem jednak o kilku szczegółach, lubo to wszystko nie doda nic do tego, co wam już jest wiadome. Jest też takie miejsce na ziemi, gdzieby nie słyszano o tylu jego sprośnych, haniebnych, obrzydliwych postępach?

[24] Jedzie na wspaniałym rydwanie rzymski trybun ludowy; poprzedzają go

liktorowie w wawrzynowych wieńcach — a między liktorami, w otwartej lektyce, wjeżdża kabaretowa aktorka! Czcigodni i poważani mieszczanie wychodzą z miast na spotkanie rzymskiego trybuna i pozdrawiają aktorkę, i muszą witać ją nie jako aktorkę Cyterydę, lecz jako matronę Wolumnję! Potem wjeżdża wóz z rozpustnikami, niecnymi towarzyszami jego zabaw; matka jedzie naostatku, za kochanką rozpustnego syna, jakby za synową! Cóż za hańbę wydała płodność nieszczęśliwej matki! Antonjusz nie zawstydzil się zostawiać pamięć swej obrzydliwej przejażdżki przez całą długość Italji, po wszystkich miastach, miasteczkach, osadach! Trudno jest i niebezpiecznie, senatorowie, ganić Antonjusza za inne jego postęпки. Był na wojnie, napil się krwi ludzi w niezem do niego niepodobnych; był szczęśliwy, o ile zbrodnia daje człowiekowi szczęście! Nie chcę urażać żołnierzy, lubo ich sprawa nie ma wspólnego z twoją; oni poszli za wodzem, tyś go wyszukał; nie o tej wojnie nie powiem, bo nie chcę, byś rozniecił w żołnierzach nienawiść ku mnie. Powróciłeś z legionami z Tesalji do Brundyjum jako zwycięzca; aleś nie zabił mnie tam. Wielka to jest łaska twoja, wiem, że mogłeś to zrobić, chociaż żaden z otaczających ciebie ludzi nie wątpił, że nie należy mnie zabijać. Miłość ojczyzny jest tak święta, że nawet wasi żołnierze pamiętali, zem ocalił ojczyznę, że więc jestem nietykalny! Przypuśćmy zatem, żeś mi darował to, czegoś mi nie odebrał; zem ci winien życie, skoro mi życia nie wydarłeś; czyż naprawdę sądzisz, że po twoich obelgach muszę nadal pamiętać o twojem dobrodziejstwie, tak, jak dawniej pamiętałem? Czyż naprawdę nie przewidywałeś, że usłyszysz ode mnie to, co teraz mam do powiedzenia?

[25] Wróciłeś do Brundyjum, do pieszczoł i uścisków kochanki. A może powiesz, że kłamię? Cóż to za przykre uczucie, kiedy nie możemy zaprzeczyć temu, do czego wstydzimy się przyznać! Jeżeli nie wstydzileś się mieszkańców italskich miast, dlaczego miałeś się wstydzić starych żołnierzy? Czy znalazłbyś w swoim wojsku choć jednego, który nie widział tej kobiety w Brundyjum? nie wiedział, że odbyła tak daleką drogę dla powinszowania tobie zwycięstwa? nie pożałował, że tak po czasie zrozumiał, za jakim poszedł hultajem? I znów przejażdżki po Italji w towarzystwie tejże aktorki; uciążliwe i wyuzdane kwatunki wojska po miastach, a w Rzymie rabowanie złota, srebra, a przedewszystkiem wina. Dochodzi wreszcie i to, że bez wiedzy Cezara, który był w Aleksandrji, ale za staraniem jego przyjaciół, Antonjusz zostaje mianowany zastępcą dyktatora. Od tej chwili Antonjusz myśli, że ma prawo publicznie żyć ze swoją kabaretową kłaczą, a dozór skarbowych koni powierza również kabaretowemu komejdjantowi Sergjuszowi. Za mieszkanie wybrał sobie nie ten gmach, co go teraz osobą swoją hańbi, lecz dom Pizona. Czy mam wyliczać jego rozporządzenia, zdzierstwa, zagrabione lub wyludzone kapitały? Przyciskał go podówczas niedostatek; nie wiedział, w którą stronę się obrócić; nie dostał mu się jeszcze ogromny spadek po Rubrjuszu, po Turseljuszu; niespodziewanie dla wszystkich nie odziedziczył wtedy jeszcze majątków Pompejusza, i wielu innych nieobecnych; musiał żyć obyczajem lotrów, musiał utrzymywać się z tego, co zagrabił. Przestańmy jednak wyliczać zbrodnie, popełnione z popędu do zła; mówmy o plugawem spaceniu przyzwoitości! Ty, Antonjuszu, z tą twoją gębą, z temi barkami, z tą twoją gladjatorską budową ciała, tyś tyle wina wylupol na weselu twojej aktorskiej kłaczy, żeś musiał na drugi dzień w obliczu narodu rzymskiego publicznie rzygać! Jakież to obrzydliwe, nie dla tych tylko, co patrzą, lecz i dla tych, co słyszą o tem! Gdyby się to przydarzyło ci przy stole, wśród tych ogromnych szklanic, to i tak każdyby powiedział, że jest to obrzydliwe — ale żeby siebie i cały trybunał orzygał kawalkami jadła i śmierzdzącem winem zastępcą dyktatora, urzędnik pełniący publiczny obowiązek, na zgromadzeniu narodu rzymskiego, więc w chwili, kiedy nawet odbijanie się jedzenia jest nieprzyzwoitością! Są to zreszlą pomyje Antonjusza; przejdźmy do jego blasku!

[26] Cezar powrócił z Aleksandrji; zdawało mu się, że jest szczęśliwy; mojem zaś zdaniem, kto sobie poczyną, jak wróg własnego państwa i narodu, ten nie może odczuwać szczęścia. Na znak publicznego przetargu zatknięto włócznicę przed świątynią Jowisza Statora. Dobra Pompejusza — niestety, lez mi już nie staje, ale ból głęboko tkwi mi w sercu! — powiadam: dobra Wielkiego Pompejusza głos przeraźliwy woźnego ogłosił na wyprzedaż! Wtedy dopiero Rzym, zapomniawszy o niewoli, jęknął;

w powszechnem przygnębieniu, kiedy wszystko postrach kępował, przynajmniej jęk rzymskiego narodu rozległ się, nieskrępowany niczem. Wszyscy przyglądali się, kto się znajdzie tak nieuczciwy, tak szalony, przeklęty przez bogów i ludzi, że się ośmieli przystąpić do tej świętokradczej licytacji; sam tylko Antonjusz znalazł się taki! Koło tej włóczy zgrupował się cały tłum zuchwalców, gotowych do wszelkiej innej zbrodni — tyś jeden, Antonjuszu, znalazł się pomiędzy nimi, żeś się odważył uczynić, na co się wszyscy wzdygnęli! Takie cię ogarnęło zaślepienie, lub raczej szaleństwo, żeś zapomniał o staniu, do którego należysz, przez co nie masz prawa kupować na przetargu skonfiskowanych dóbr, bez ściągania na siebie gniewu rzymskiego narodu, bez oburzenia wszystkich bogów i ludzi — a cóż dopiero dóbr Pompejusza! Jakżeś zuchwale Antonjuszu, ten lotr, rzucił się na majątek wielkiego męża, który walecznością swoją sprawił, że naród rzymski w obcych krajach wzbudził większy postrach, a sprawiedliwością w tychże krajach wzbudził większe zaufanie!

[27] Gdy już zanurzył się w głęboki potok dostatków Pompejusza, wyskoczył z radości, jak ów hołysz w komedji, który zagnała z bogactw. Ale, jak powiedział, już nie wiem który, poeta: «zły nabytek nie idzie w użytek». Jest nie do uwierzenia i nie do zrozumienia, jak Antonjusz potrafił te nieprzebrane skarby, nawet nie w kilku miesiącach, ale w kilku dniach roztrwonić. Tyle było wina, kunsztownego srebra, kosztownych materyj, wartościowych, a często drogocennych sprzętów! Pompejusz to miał, nie żeby lubował się w zbytku, lecz poprostu jako człowiek bardzo bogaty; w kilka dni wszystko zostało puszczone. Czy Charybda była tak żarłoczna? Ależ Charybda była ot, takim sobie potworem; nie Charybda żadna, lecz ocean nawet zaledwo mógłby pochłonąć z taką szybkością te bogactwa, rozrzucone po różnych rozległych majątkach: nie zamknięto, nie opieczętowano, nie spisano. Całe składy wina brali sobie różni hultaje na własność; jedno rozchwytywali aktorzy, tanto aktorki; w pałacu Pompejusza zatrzesienie było szulerów i pijaków; pito od rana do wieczora, a w dodatku naraz w kilku miejscach. Co Antonjusz przegrał — a szczęście mu nie służy w grze — to spłacał kosztownościami Pompejusza; szkarlatne kobierce narzucano na łóżka w budach niewolników! Jesteście zdumieni, że wszystko tak prędko zostało puszczone? Ależ takie marnotrawstwo mogłoby pochłonąć w szybkim tempie nie tylko majątek jednego człowieka, niech nawet tak wielki, jak ten Pompejusza, lecz całe miasta i królestwa! A te pałace, a nagrody! Cóżto za bezczelna żarłoczność! Tyś się ośmielił wejść do domu Pompejusza, przestąpić ten próg szanowny, pokazać swoją bezwstydną twarz opiekuńczym bóstwom domu? Ty się nie wstydzisz gościć wciąż w tym domu, na który bez lez nikt nie może spojrzeć, ominąć go? Aczkolwiek w niczem nie smakujesz, Antonjuszu, nie ci w tym domu nie pójdzie w smak!

[28] Spoglądasz w przedsiönku na dzioby zdobytych okrętów, ustawione tutaj, na łupy zdobyte na wrogach — czy widząc je, naprawdę myślisz, że wchodzisz do własnego domu? To przecież niemożliwe! Jesteś wyzuty ze wstydu, jesteś półgłówkiem, ale musisz przecież znać siebie i swoje czyny, i popleczników swoich; nie zdaje mi się, byś kiedykolwiek, na jawie, czy nawet we śnie, mógł być spokojnym. Jesteś pijanicą i szaleńcem, ale kiedy ci stanie przed oczyma obraz tego wielkiego człowieka, sądzę, że musisz odczuwać lęk, że zrywasz się ze snu, a jeżeli nie śpisz, wpadasz w szal. Co do mnie, to żal mi nawet ścian i dachu; przecież ten dom nie widział dawniej nigdy nieskromności, żadnej nieprzyzwoitości, żadnej niemoralności. Wiecie przecież, senatorowie, jak bardzo ten wielki mąż był sławny poza domem, jak godzien uwielbienia w domowym zaciszu, jak w równym stopniu zasługiwał na pochwałę w życiu prywatnem i publicznem. Teraz w domu jego, w sypialnych pokojach siedlisko nierządu, w pokojach jadalnych szynkownia. Powiada, że tak nie jest: wiercie mu, wiercie na słowo! Powiada, że ustatkował się; aktorzy swojej kazał, podług prawa Dwunastu Tablic, zabrać swoje manatki; odebrał jej klucze, wypędził ją z domu. Co za godny, czeigodny obywatel! najpiękniejszy postępek jego życia to zerwanie z aktorką! A jak często powtarza: «Ja konsul i Antonjusz» — oznacza to: ja, konsul i najgorszy hultaj; albo: ja, konsul i podlec. Bo cóż innego oznacza wyraz «Antonjusz»? Gdyby w tem imieniu była jaka taka godność, to sądzę, że i dziad twój powiedziałby czasem: «Ja,

konsul i Antonjusz» — ale nigdy tego nie powiedział; powiedziałby także twój stryj, mój kolega; chyba, że masz się za jednego Antonjusza.

[46]... Proszę cię, Antonjuszu, opamiętaj się! Myśl o swoich dziadach, nie o poplecznikach! Ze mną zrób, co chcesz, ale pożegnaj się z państwem i narodem. Zresztą, sam zobaczysz, co masz czynić; ja o sobie to tylko wiem: zamłodu bronilem państwa i narodu, nie przestanę bronić i na stare lata; gardziłem napaścią Katyliny, nie ulękę się i twego miecza. Życie oddam, jeśli tą ceną okupić można praworządność w państwie, aby cierpienie narodu rzymskiego wydało na świat to, co w nim jest poczęte! Przed dwudziestu blisko laty w tymże senacie powiedziałem, że dla człowieka, który doszedł do stanowiska konsula, śmierć już nie jest przedwczesną — teraz, jako starzec, z większą pewnością mówię to samo. Senatorowie! po dostojenstwach, których dostąpiłem, po sprawach, których dokonałem, już tylko śmierci dla siebie pragnę. Dwóch tylko rzeczy chciałbym się doczekać: pierwsza, abym umierając, naród rzymski zostawił wolnym od tyranji; jest to największa łaska, jaką przedwieczni bogowie mogliby mi wyświadczyć; druga rzecz, której pragnę, jest to, by każdy odebrał taką zapłatę, jak się zasłużył państwu i narodowi.

Tłum. E. Rykaczewski.

Popraw. M. St. Popławski.

SALUSTJUSZ KRYSP

(86—35 przed Chr.)

REWOLUCJA KATYLINY

(Ogólny wstęp; charakterystyka Katyliny)

1. Wszyscy ludzie, którzy pragną się wynieść ponad inne zwierzęta, muszą dokładać wielkich starań, by nie przejść przez życie w milczeniu, niczem bydłęta, z samego przyrodzenia posłuszne nিকেzennym chęciom i żądaniom brzucha. Wszelako cała siła człowieka zamknięta jest w duchu i w ciele; duch daje rozkazy, ciało raczej ku posłudze służy; duch łączy nas z bóstwem, ciało z bydłciem. Dlatego sądzę, że sławę musimy zdobywać właśnie bogactwem ducha, nie zaś siłą gwałtu, a krótkie życie, będące naszym udziałem, jak najbardziej przedłużać w ludzkiej pamięci. Krucha jest i doczesna sława bogactwa i cielesnej piękności; dzielność tylko wiecznym blaskiem jaśnieje. Długo jednak trwał wielki spór pomiędzy ludźmi, czy wojenne czyny wyrastają w potęgę siłą ciała, czy bogactwem ducha; każda bowiem sprawa, zanim do niej przystąpimy, wymaga namysłu; gdy już rozważymy, wymaga szybkości czynu. Zatem myśl i ciało, oddzielnie wzięte, są słabe; wymagają nawzajem od siebie pomocy.

2. Otóż w początku królowie — takie bowiem było na ziemi miano władzy — jedni ćwiczyli siłę ciała, inni odwrotnie — siłę ducha; w ów czas ludzie pędzili życie wolne od namiętności; każdemu wystarczało to, co miał. Potem natomiast, gdy w Azji Cyrus, a w Grecji Spartanie i Ateńczycy zaczęli podbijać grody i plemiona, gdy ogarnęła ich żądza panowania i stała się dla nich dobrym powodem do wszczynania wojen, a wielka władza wydała się być największą chwałą, wtedy to właśnie, w potrzebie i w niebezpieczeństwie przekonali się ludzie, jak dużo w wojnie znaczy rozum. I gdyby rozum, gdyby siła ducha książąt i królów tyle ważyły w pokoju, co w wojnie, ludzkie społeczeństwa cieszyłyby się trwałem szczęściem, i ani byśmy widzieli tego mnóstwa zaburzeń, zamieszek i przewrotów. Albowiem łatwo jest utrzymać władzę, stosując te same sposoby podczas piastowania, co i przy zdobyciu; atoli, gdy rozszerzy się lenistwo w miejsce trudu, żądza i pycha w miejsce umiarkowania, stateczności — wtenczas wraz z obyczajami zmieniają się i same koleje życia. Tak oto panowanie z rąk niegodnych zawsze przechodzi w ręce najgodniejsze. W zawodzie budowniczego, rolnika lub żeglarsza sprawność rozumu zdobywa dla człowieka pierwsze miejsce; a przecież większość ludzi, oddawszy się spaniu i potrzebom brzucha, niewykształceni i nieobyczajni, idą przez życie niczem przechodnie. Wbrew prawu natury, ciało tych ludzi

jest dla nich źródłem największej rozkoszy; natomiast duch staje się dla nich ciężarem; życie ich tyle jest warte, co śmierć, jako że niknie w zapomnieniu. Mojem zdaniem, ten człowiek dopiero żyje, a życiem swem objawia siłę ducha, który oddaje się jakiejś pracy i pragnie zdobyć sławę pięknie i chwalebnie dokonany czynem: atoli w wielkiej różnorodności zawodów własne uzdolnienia każdemu wskazują inną drogę.

3. Piękną jest rzeczą dobrze przysłużyć się państwu; również i ładna wymowa jest rzeczą pożyteczną; dobrze jest zyskać sławę w wojnie i w pokoju; słusznie wychwalamy tych, co stwarzają dzieje, i tych, co je opisują — aczkolwiek znacznie większą chwałę daje stwarzanie dziejów, niż ich opisywanie; sądzę jednak, że dziejopisarstwo jest rzeczą wyjątkowo trudną. Najpierw trudne jest dlatego, że słowa muszą odtwarzać czyny, więc dorównać im; następnie dlatego, że ujemną ocenę błędów czytelnik często uważa za objaw złośliwej zazdrości, a zaś wyrazy zachwytu i podziwu dla wielkiej dzielności są poczytywane za wymysł i fantazję. Ludzie sądzą innych według własnej miary; zatem i czytelnik odrzuca to, co przerasta własne jego siły, a daje wiarę temu tylko, co i sam potrafilby uczynić. Co do mnie, to w młodzieńczym jeszcze wieku, jak większość to robi, wszedłem w publiczne sprawy i znalazłem w nich bezliku przykrych rzeczy. Tam, gdzie należało spodziewać się wstydu, męstwa, stateczności, tam kwitły wszędzie chciwość, zuchwalstwo, rozrzutność; pelen młodzieńczego zapału, gardziłem występkiem — niemniej młodzieńczy umysł uległ wpływom zepsutego środowiska. Ostatecznemu zepsuciu nie uległem; pragnąłem natomiast publicznych zaszczytów, jednakże byłem szarpany plotką i zazdrością.

4. Zaznałem dużo przykrości i hazardu i duch mój uspokoił się; koniec życia mam zamiar spędzić w ustroniu, ale odpoczynku mego nie zamierzam marnować w lenistwie, w bezczynności, ani też w samej tylko pracy rolnika, ani na polowaniu — co byłoby już zgola nikczemną rzeczą. Wracam do zamiaru, od którego odciągnęła mnie niegdyś głupia ambicja; chcę opisać niektóre chwile z życia rzymskiego narodu, te mianowicie, co były najbardziej znamienne, a zrobić to mogę o tyle nienajgorzej, że jestem daleki od stronnicych poglądów. Zamierzam zwięźle i prawdziwie opowiedzieć o spisku Katyliny; sądzę, że występ ten był najbardziej znamienny, bodaj przez samą niezwykłość zbrodni i grożącego niebezpieczeństwa. Początek opowieści nawiążę do zwyczajów Katyliny i do jego charakteru.

5. Lucjusz Sergjusz Katylina, z szlachetnej krwi zrodzony, był to człowiek niepospolitej siły ducha i zdrowia, ale charakter miał zły i zepsuty. Od najmłodszych lat nurzał się w domowej wojnie i w zbrodniach, w grabieży i w politycznych waśniach: była to szkoła, w której spędził młodość. Z wytrwałością wprost nie do wiary znosił głód, chłód i brak snu; zuchwały był, obłudny, zmienny, umiał udawać, co tylko chciał; zachłanny naraz i rozrzutny, ulegał gwałtownym namiętnościom, znakomicie opanował sztukę oratorską, ale istotnego rozumu nie miał nic; rozkielznany i zarozumiały, zachciewał rzeczy niesłychanych, niezwykłych. Niedługo po śmierci samowładnego Sulli zapalał chęcią zdobycia w państwie najwyższej władzy i nie obawiał się żadnej drogi, jakaby mogła zaprowadzić go do królewskiego stanowiska. Zuchwalstwo Katyliny wzrosło z dnia na dzień, a to z powodu materialnej ruiny i uświadomienia sobie własnej zbrodniczej awanturniczości, — te dwie rzeczy były dlań nieuniknione przy jego charakterze; podlegały go również złe obyczaje społeczeństwa, szarpanego przez najgorsze i zgola sprzeczne namiętności, bo przez wyuzdanie i przez chciwość.

14. W tak zdeprawowanym społeczeństwie Katylina — co zresztą było bardzo łatwe — zaprzyjaźnił się z najgorszą moralną hołotą i stale otaczał się zgrają zauszników. Każdy, bezwstydnny rozpustnik i hulaka, każdy, kto w zabawach roztrwonil ojcowiznę, kto siedział po uszy w długach, kto popełnił zbrodnię lub występki, i wszyscy zewsząd nieponie i lajdaki, ścigani przez sądy, kryjący się przed prawem; każdy, kto skalał się krzywdą i zboczył się przelaną krwią, i ci, którym dokuczało ubóstwo i których dręczyła pamięć o własnych zbrodniach — wszyscy byli przyjaciółmi i zausznikami Katyliny. Jeżeli w sidła przyjaźni z nim wpadł ktoś mniej występny, to i ten przez samo codzienne obcowanie, działające jak przynęta, stawał się wkrótce taki sam, jak wszyscy w gronie Katyliny. Ten zaś najchętniej szukał przyjaźni z młodymi, gdyż byli oni podatni na wszelki wpływ i łatwo ulegali obłudnym pokusom. Stosownie

do młodzieńczych zachcianek, podsuwał Katyliną przyjaciółom dziewczęta, obdarowywał ich końmi, psami, nie żałował kosztów, ani własnej opinii, byleby ich zobowiązać i uczynić sobie powolnymi. Znam takich ludzi, którzy wogóle nie wąpili o zdeprawowaniu każdego młodego człowieka, który przestaje z Katyliną; było to zresztą bardziej oparte na powszechnym przekonaniu, aniżeli na jakichś konkretnych faktach.

15. Jeszcze zamłodu popełnił Katyliną szereg niedopuszczalnych występków przeciwko moralności; wbrew obyczajom, a nawet religji, miał niedopuszczalny związek z pewną panną, należąca do dobrego towarzystwa, również z westalką, i szereg innych podobnych. Potem zakochał się w Aurelji Orestylli; była to kobieta bardzo ładna, ale cieszyła się jak najgorszą opinią; nie chciała ona wyjść za Katylinę, bo miał z pierwszego małżeństwa już dorosłego syna, więc bała się; aż Katyliną zamordował syna i w ten sposób uprzętnął swój dom niegodziwy dla nowego małżeństwa; jest to rzecz, o której wszyscy są mocno przekonani, że niewątpliwie tak odbyła się. Przypuszczam, że w tem właśnie tkwiła przyczyna, która potem popychała Katylinę do zbrodni. Albowiem duch nieczysty, przez bogów i przez ludzi przeklęty, nie zazna uspokojenia ni w pracy, ni w odpoczynku: świadomość własnej zbrodni wżarła się w niespokojny jego mózg. Błądą miał twarz, mętne spojrzenie, chód prędki lub powolny — sam wygląd Katyliny był oznaczony piętnem szaleństwa.

16. Już powiedziałem o tem, że usidlał dużo młodych ludzi; otóż zaprawiał ich na różny sposób w występne życie. Przyuczał do składania kłamliwych zeznań i do fałszowania podpisów; przyzwyczajał ich do tego, że za nic mieli prawo, hazard, bezpieczeństwo, — a gdy zniweczył ich dobrą sławę i uczciwość, zaczął powierzać im ważniejsze sprawy. Jeżeli nawet zbrodnia nie dawała żadnego doraźnego zysku, niemniej i bez specjalnej potrzeby otaczał zgrają obojętnego mu skądinąd człowieka i zabijał go. Katyliną był okrutnym zbrodniarzem, poprostu ot tak, dla wprawy, żeby nie zaśniedziała mu w bezczynności ręka i odwaga. Mając własne grono wiernych popleczników, Katyliną, jako że zabrnął w ogromne długi i to wszędzie, gdzie się dało, zarazem i dlatego, że dawni żołnierze Sulli, roztrwoniwszy, co mieli, w nadziei na zwycięstwo i grabież wyglądali tylko domowej wojny — Katyliną powziął zamiar zagarnięcia państwowej władzy. W Italji podówczas nie było żadnego wojska; Pompejusz prowadził wojnę na krańcach świata, zatem starania o zdobycie konsularnego stanowiska mogły się udać wcale nienajgorzej, bo senat o nic nie dbał; wszędzie panował niezamącony spokój, a to przecież najbardziej sprzyjało planom Katyliny.

[Przemówienia Juljusza Cezara i Marka Katona w senacie.]

49. W tym samym czasie Kwint Katul i Gajus Pizon dokładali wszelkich starań i usiłowali skłonić konsula Marka Cyncerona, żeby skorzystał z pomocy Allobrogów lub jakiegoś fałszywego świadka i wplątał Juljusza Cezara do spisku Katyliny, jako rzekomego uczestnika. Pałali oni nienawiścią do Cezara: Pizon za to, że w swoim czasie był przezeń oskarżony o zdrerstwo i o nadużycie władzy w stosunku do jakiegoś Galla z transpadańskiej prowincji; Katul niecierpiał za to, że, ubiegając się o kapłańską godność pontyfika, on, człowiek sędziwy, zasłużony, czcigodny — musiał ustąpić wobec smarkacza Cezara. Intryga była dla nich o tyle ułatwiona, że Cezar zbyt rozrzutnie szafował pieniędzmi, przeważnie zresztą na publiczne i partyjne sprawy, a przez to zabrnął w wielkie długi. Jednakże konsul Cyncero nie dał się namówić do tej niegodziwości; zatem oni sami zaczęli obchodzić kogo mogli i obgadali Cezara, powołując się na rzekome zeznania Wolturcjusza i Allobrogów, którzy wykryli cały spisek. Oszczerstwem swoim potrafili wzniecić tak wielką niechęć do Cezara, że ekwici, inaczej mówiąc, przedstawiciele zamożnych warstw, którzy zgłosili się na ochotników i z bronią w ręku pełnili publiczną straż, i gromadzili się przy świątyni Konkordji, gdzie właśnie miały miejsce narady senatu, zaniepokojeni ogromem niebezpieczeństwa i rozjątrzeni na Cezara, wymachiwali nań mieczami, gdy wychodził z posiedzenia; myśleli, że w ten sposób służą dobru państwa.

50. W czasie, gdy wszystko to było przedmiotem obrad senatorów, gdy uchwalali oni nagrodę posłom Allobrogów i Wolturcjuszowi za wyjawienie planów Katyliny,

wtedy wyzwolenicy i niektórzy klienci aresztowanego Lentula rozbiegli się na wszystkie strony, zwoływali po ulicach jego wyrobników i służbę, by gwałtem uwolnili swego chlebobdawcę; inni zwrócili się do ulicznych przewodników, jakich zazwyczaj wynajmowano do mącenia publicznego spokoju. Ceteg rozesał posłańców do swoich prywatnych podwładnych i do wyzwoleniców; zawczasu dobrał był sobie ich i wyćwiczył, a teraz wołał, by wpadli doń zbrojną gromadą. Dowiedział się o tem konsul Marek Cycero, natychmiast porozstawiał zbrojne placówki, gdzie tylko uważał za wskazane, i zabezpieczył w ten sposób publiczny ład przed zamachami. Zwoluje senat i pyta, co ma uczynić z aresztantami, atoli o nich już na poprzednim posiedzeniu senat wydał wyrok, że są buntownikami przeciw państwu. Teraz Junjusz Sylan, desygnowany konsul, pierwszy wygłasza swoje zdanie, że aresztowani muszą być zgładzeni; jeżeli zaś uda się przyłapać innych zamachowców, to i ci również, a byli to Lucjusz Kasjusz, Publjusz Furjon, Publjusz Umbren i Kwint Anjusz. Potem, już przy decydującem głosowaniu, tenże Junjusz Sylan, przekonany mową Juljusza Cezara, głosował za wnioskiem Tyberjusza Nerona, który żądał, by usunąć zbrojną straż, a wtedy dopiero głosować. Cezar, gdy przewodniczący konsul Cycero zapytał go kolejno o zdanie, wygłosił następujące przemówienie:

51.—Senatorowie! Człowiek, który zastanawia się nad niebezpieczeństwem, powinien być wolny od uczucia osobistej przyjaźni lub niechęci, od gniewu i od litości. Jeżeli nasz mózg ulega działaniu tych uczuć, to bardzo wątpliwe jest, żebyśmy potrafiliby ogarnąć myślą prawdę, albowiem nie możemy iść naraz i za głosem rozumu, i za popędem namiętności. Ile razy wyteżamy umysł—zwycięża rozum; ulegając afektom—przyjmujemy ich kierownictwo, a myśl zatracą nad nami swoją władzę. Senatorowie, dużo mógłbym powiedzieć o tem, jak całe narody, jak królowie popelniali błędy przez to, że ulegali porywom gniewu lub litości; wołę jednak mówić tylko o naszym narodzie, o tem, jak w dawnych czasach zapadały u nas decyzje rozumne i rozsądne i zgola niezależne od afektu. Podczas macedońskiej wojny, gdyśmy walczyli z królem Perseuszem, Rzeczpospolita Rodyjska, kwitnąca i wspaniała, a dzięki opiece rzymskiego państwa, również i potężna, zdradziła nas i wystąpiła przeciwko nam; a jednak w tamtych czasach my, Rzymianie, gdyśmy po skończeniu wojny radzili o postępowaniu Rodyjczyków, tośmy postanowili wcale nie karać Rodyjczyków, bośmy nie chcieli, żeby ta wojna w czyjejkolwiek bądź opinii uchodziła za lupieską i krzywdzącą. Podczas punickich wojen Kartagińczycy zarówno w chwili zawieszenia broni, jak i w okresach pokoju, dopuszczali się różnych niegodziwości, ale my, Rzymianie, my nie skorzystaliśmy z żadnej okazji, my nie zrobiliśmy nic podobnego; byliśmy posłuszni nakazom dostojności i nie zśliśmy za chęcią dokuczania przeciwnikom, gdzie tylko zjawi się sposobność. Senatorowie! Zastanówmy się i teraz nad tem, że musimy spełniać nakaz dostojności, że nie mamy prawa słuchać głosu oburzenia, jakie nas ogarnia na myśl o Lentulusie i o innych. Kierujmy się nie gniewem, lecz naszą piękną tradycją! Jeżeli znajdzie się dla ich przewinień jakaś właściwa kara, będę głosował na wniosek nawet zgola nowatorski; natomiast, jeżeli niekczemność ich zbrodni zamąci w nas poczucie własnej godności, będę doradzał ściśle zastosowanie litery prawa.

Moi tutaj poprzednicy wygłaszali umiejętne i rozlewne przemówienia, użalali się nad publiczną sprawą, opowiadali nam o okrucieństwach wojny i o klęskach, jakie spadłyby na zwyciężonych: zgwałcone dziewczęta i porwani chłopcy, dzieci odłączone od rodziców i zameżne kobiety ofiarą żołdaków, zrabowane świątynie, spustoszone mieszkania i pożary, i mordy, stopy trupów i broni, rzeki krwi i lez... Ależ powiedzcie mi na bogów, poco te oracje? Poto, żeby my, senatorowie, byli przeciwni buntownikom? Niby to taką lub inną oracją wzruszy się ten, co sprzyja zbrodni i okrucieństwu! Tak jednak nie jest. Żaden człowiek nie sądzi o swej własnej krzywdzie, że jest mała, owszem, zawsze przeceniamy swoją krzywdę. Senatorowie! nie wszystkim przysługują jednakowe uprawnienia; są ludzie, których życie płynie w mroku; jeżeli taki pobłądzi w swoim gniewie, nikt o tem nie dowie się, bo znaczenie tych ludzi równa się ich skromnemu stanowisku. Co innego maż stanu: życie wyniosło go na szczytne szczeble; jego postęпки są wszystkim dobrze znane; im kto zajmuje wyższe stanowisko, tem mniejsze przysługują mu uprawnienia. Nie ma prawa być stronniczym, ani nienawidzić, musi jak najmniej unosić się. Co dla zwykłego człowieka jest uniesieniem, to u męża stanu staje się pychą, okrucieństwem. Senatorowie! Nie wątpię o tem, że

zbrodnia buntowników przerasta wszelką możliwą karę; atoli pospolicie ludzie zazwyczaj dostrzegają samo tylko zakończenie sprawy; rozmawiając o zbrodniarzach, zapomną o ich występkach i będą widzieć już tylko surowość wymierzonej kary. Junjusz Sylan, człowiek prawy i szlachetny, wygłaszając swoje zdanie, kierował się umiłowaniem publicznego dobra i nie wpadł w żadną stronniczość, ani uległ krańcowej niechęci; znam jego sposób myślenia i ten umiar, jaki go cechuje. Jego wniosku nie uważam za surowy, bo i kłóżby względem buntowników mógł zgrzeszyć zbytnią surowością! Niemniej wniosek ten odbiega od państwowych potrzeb. Przyznaj się, Sylanie, przecież to lęk przed niebezpieczeństwem i wzburzenie natchnęły cię, że ty, desygnowany naczelnik Reczypospolitej, wystąpiłeś z wnioskiem zastosowania niebywalej kary. Nad niebezpieczeństwem nie będę się rozwodził, bo dzięki staraniom wspaniałego konsula, Marka Cyncerona, wszędzie pełno zbrojnej straży. Co do kary, to tu muszę powiedzieć, jak mi się ta rzecz przedstawia, mianowicie, że śmierć przecież nie jest żadną udęką; śmierć uwalnia człowieka od nieszczęść, ona jest ulgą w smutkach, w utrapieniach; po przekroczeniu śmierci nie istnieje ani żadna troska, ani radość. Bogowie Przedwieczni! Dlaczegoż nie dodałeś, Sylanie, do swojego wniosku, żeby przed zabiciem wychłostać ich? Może dlatego, że jest to niezgodne z prawem Porcjusza? A jednak inne prawa wyraźnie zabraniają rzymskiego obywatela gardłem karać i pozwalają tylko na wygnanie skazańca! A może chłosta jest gorszą rzeczą niżli śmierć. Ależ dla tak okropnych zbrodniarzy, schwytyanych na występkach, nie istnieje żadna zbyt surowa kara. A może mniej przekracza ustawę ten, co w drobnych rzeczach przestrzega praw, a zaś w większych łamie je? Czy wiecie, kto na nas wyda wyrok, jeżeli my wydamy wyrok na morderców ojczyzny? Wyda wyrok Historia! Wyda wyrok los, który wszechwładnie panuje nad narodami; on to potępi nasz wyrok. Senatorowie! Cokolwiek uczynimy z buntownikami — są tego warci; a jednak jak najgłębiej zastanówcie się, zanim wydadacie sąd! Zła rzecz rodzi się, wzoruje się zazwyczaj na dobrej rzeczy. Jeżeli władza dostanie się do rąk niegodnych, nieuczciwych, to ten nowy przykład, który wy obecnie zamierzacie dać, będzie stosowany już nie względem ludzi zasługujących na to i niegodnych, lecz względem niewinnych. Spartanie pobili Ateńczyków i narzucili zwyciężonym władzę trzydziestu oligarchów; ci zaczęli zabijać bez sądu, zrazu ludzi najgorszych i powszechnie znienawidzonych; Ateńczycy cieszyli się, patrząc na to, myśleli, że dobrze jest, natomiast w oligarchach rozwinęła się bezkarność samowoli: zaczęli mordować nietylko złych, lecz i niewinnych, ot tak sobie, dla kaprysu; tą drogą trzymali wszystkich w trwodze, a państwo, zgębione tyranią, odczuło ciężkie skutki niemądrej radości. Już za naszej pamięci wielki Sulla kazał zgładzić Damazypa i kilku innych zbrodniarzy; wszyscyśmy się cieszyli, jako że słusznie stracił wicherzycieli, występnych i niespokojnych demagogów, zgoła buntowników. Okazało się, że był to tylko wstęp do strasznych nieszczęść: kto chciał ograbić jakiś dom, pałacyk, kto chciał innego obrabować z kosztowności, stroju — ten szedł natychmiast podać imię jego do publicznego spisu przeznaczonych na śmierć. Doszło do tego, że w krótkim czasie wymordowano właśnie tych, co cieszyli się ze śmierci Damazypa. Mordom przyszedł kres niewczesniej, aż Sulla wzbogacił wszystkich swoich popleczników. Nie przypuszczam wcale, że to samo będzie i teraz się działo, za konsulatu Marka Cyncerona; natomiast twierdzę, że w wielkim państwie różne i coraz to inne są ludzkie pragnienia; łatwo może się stać, że w innym momencie, że inny konsul, również mający pod sobą wojsko, zacznie własne urojenia poczytywać za obowiązujące wszystkich prawo. Jeżeli taki konsul, idąc za przykładem dzisiejszego senatu, dobędzie miecza, to kłóż mu przeszkodzi? jego zachciankom kłóż położy kres?

Senatorowie! Dawniej, w odległych czasach, nie zabrakło nam nigdy ani odwagi, ani rozwagi; nie kierowaliśmy się czczą zarozumiałością i przyjmowaliśmy od obcych narodów dobre zwyczaje. Broń i wojenne pociski wzięliśmy od Samnitów; od Etrusków większość oznak państwowej władzy; cokolwiek dobrego widzieliśmy u zaprzyjaźnionych narodów lub u wrogów, z największą troską wprowadzaliśmy u siebie w domu; była nam obca zadróżność, a to, co dobre, chętnie przyjmowaliśmy. Niestety, w tym też czasie przyjeśliśmy od Greków zwyczaj karania chłostą własnych obywateli; zwyczaj wymierzania na zbrodniarzach kary śmierci. Państwo nasze z biegiem lat roz-

rosło się, rozmnożyła ludność, wzmożyły się polityczne stronnictwa, rozkrzewiły się napaści na niewinnych, wszczęły się bezprawia. Wtedy to przyjęliśmy prawo Porcjusza i inne ustawy, które miały ograniczyć karę za występki samem tylko wygnaniem. Zapewniam was, senatorowie, że powody, które podałem, są pierwszorzędnej wagi; powstrzymajmy się przed nowatorską uchwałą. Ci, co zbudowali nasze państwo, pierwotnie tak małe; ci, co rozszerzyli je w wielkie imperjum, oni więcej mieli mądrości i rozumu, aniżeli my, którzy z takim trudem usiłujemy utrzymać nasze wielkie dziedzictwo.

Czy jednak mamy wypuścić wojsko buntowników i zasilić wojsko Katyliny? Bynajmniej. Proponuję taki wniosek: majątek buntowników skonfiskować; ich samych trzymać pod strażą po większych i znaczniejszych miastach; ogłosić, że przez senat zostanie uznany za wroga Rzeczypospolitej, za wroga publicznego porządku każdy, kto zechce wstawić się za nimi do senatu lub do zgromadzenia ludowego. —

52. Gdy Cezar skończył przemówienie, inni zaczęli wyrażać swoją zgodę z nim bądź słowem, bądź jakoś inaczej. Marek Porcjusz Katon, zapytany z kolei o zdanie, wygłosił następujące przemówienie:

— Senatorowie! Przebiegam spojrzeniem groźne wypadki, rozważam różne opinie, wygłoszone o nich, i widzę, że zgola inaczej myślę o tych rzeczach. Słyszę, że rozprawiają o wymierzeniu kary na buntownikach, którzy porwali się na ojczyznę i na rodzinę, na świętości nasze i na ołtarze. A przecież sytuacja jest inna: musimy bronić się przed nimi, nie zaś decydować o nich. Każdą inną zbrodnię należy karać dopiero wtedy, kiedy zostanie popełniona; inaczej w tym wypadku: musimy zapobiec zbrodni, albowiem wtedy, gdy zostanie dokonana, próżno będziemy wołali o sąd; zwyciężeni nie mają żadnych praw w zdobytem mieście. Wzywam was na Bogów Przedwiecznych! Domy wasze i pałace, posągi i obrazy zawsze były wam bliższe niż publiczne dobro. Jeżeli chcecie zachować wszystko, co kochacie; nadal używać uciech i rozkoszy — ocknijcie się, ratujcie państwo! Tu nie o podatki idzie, nie o krzywdę zaprzyjaźnionych narodów; tu nasze własne prawa i swobody są zagrożone; sprawa to życia naszego! Senatorowie! Już tyle razy z tego miejsca przemawiałem do was; ganilem przeprych, chciwość; już tyle wrogów przyspożyłem sobie! Nie folgowałem i samemu sobie w niczem; nie dopuściłem się żadnych wykroczeń — oto dlatego ganilem w każdym wszelki objaw prywatnej zachcianki. Słowa moje braliście lekko — ależ i państwo wtedy mocno stało; wasze niedbalstwo poniekąd było usprawiedliwione wielkim dobrobytem. Teraz już mówię nie o formach naszego życia, dobre są czy złe; nie o tem, czy majestat Rzymskiego Imperjum jest dostatecznie szanowany; obecnie idzie o to, czy i nadal pozostaniemy, czem jesteśmy, czy też wraz z naszą fortuną staniemy się własnością zwycięzców. Tu mi ktoś będzie mówił o litości, o łagodności! Wszakżeśmy dawno zatracili już właściwe nazwy rzeczy. Szczodrobliwością zwiemy rozrzutność cudzym kosztem; odwagą zwiemy zuchwalstwo w zbrodni; oto dlaczego ginie nasze państwo! Skoro tak jest, niech już i nadal pozostaną te formy życia; bądźmy szczodrobliwi kosztem zależnych od nas ludów; bądźmy litościwi dla złodziei publicznego dobra — ale nie szafujmyż własną krwią; osłaniając kilku zbrodniarzy, nie sprowadzajmy klęski na wszystkich uczciwych!

Przed chwilą Juljusz Cezar z tego oto miejsca ładnie i przemyślnie rozprawił o życiu i o śmierci; wszystko, co się mówi o pośmiertnem życiu, o tem, że źli odmienną idą drogą od dobrych, że przebywają w miejscu obrzydliwem, dzikiem, wstrętnem, okropnem, to wszystko poczytuje on za bajkę. Radzi skonfiskować majątki buntowników; zatrzymać ich pod strażą w italskich miastach; prawdopodobnie boi się tego, że w Rzymie demagogiczne spiski, lub zgola tłum uwolni ich, wyrwie z rąk straży. Niby to tylko w stolicy pełno jest nizezemnych zbrodniarzy! niby to braknie ich w całej Italji! niby to zuchwalstwo mniej znaczy tam, gdzie mniejsze są załogi i obronne środki! Jeśli obawia się niebezpieczeństwa z ich strony, próżna jest jego rada; jeśli sam jeden w tej powszechnej trwodze jest nieulekniomy, tem bardziej musimy obawiać się ja i wy. Przyjmując uchwałę o Publjuszu Lentulusie i o innych, pamiętajcie, że uchwała nasza obejmie również i wojsko Katyliny, wszystkich buntowników; im bardziej będziecie bezwzględni, tem oni bardziej będą przestraszeni; jeżeli choć troszkę pofolgujecie łagodności — rozpalicie w nich zuchwalstwo. Myli się ten, co sądzi, że w dawnych czasach państwo nasze tylko zbrojną ręką z małego uczyniliśmy wielkie. Gdyby istotnie tak

było, to Rzeczpospolita w obecnej chwili byłaby wspanialszą, niż jest w rzeczywistości, gdyż teraz więcej mamy sprzymierzonych narodów, niż dawniej mieliśmy; więcej ludności, wojska, jazdy. Inna to była rzecz, która ongi zadecydowała o naszej wielkości, rzecz, która teraz w nas zanikła: sprawność w domu, sprawiedliwe rządy poza domem; decyzja, oparta na niezależnej myśli; umysłowość ucziwa, brak prywaty. Teraz jest inaczej: radzimy się chciwości; w publicznych sprawach jesteśmy żebrakami, w prywatnym życiu bogaczami; uwielbiamy przepych, nurzamy się w lenistwie; ludzie ucziwi i podli jednakowo są cenieni, a próżna ambicja posługuje się wszystkimi pozorami i zaszczytami szlachetności. I czemuż teraz miałbym się dziwić? Albowiem bunt uderza w wyjąłowane państwo; uderza właśnie w to miejsce, gdzie wy tylko prywatę zalatwiacie, gdzie folgujecie swoim zyskom, chęciom, namiętnościom! Ale dość o tem. Aristokratyczne paniczki sprzysięgły się przeciwko Rzpłitej; podburzają do wojny Gallów, odwiecznych wrogów rzymskiego państwa; naczelnik tych zdrajców wraz z wojskiem stoi tuż nad naszymi głowami — a wy i teraz nawet wątpicie, dopiero rozważacie, co należy robić ze zdrajcami, przyłapanymi w stolicy! Ja wam radzę: litujcie się! Przecież to młodzieniaszkowie pobłądzili; chcieli tylko dla siebie sięgnąć po wyższe stanowiska! Uwolnijcie ich, dajcie im nawet broń do ręki! Widzę, jaką na was sprowadzi klęskę ta wasza litość i łagodność, jeżeli oni doprawdy chwycą za broń. Sytuacja jest nadwyraz niebezpieczna, ale wy jesteście nadwyraz spokojni! A jednak to nieprawda: jesteście zastraszeni, ale zarazem gnuśni i tchórzliwi; oglądacie się wciąż na coś innego; oczekujecie pomocy od przedwiecznych bogów, jako że zawsze ratowali państwo nasze z najgorszych klęsk! Pomoc boża splywa jednak nie na ślubowania żadne i nie na babskie skargi: powodzenie służy temu, kto czuwa, działa, myśli. Z chwilą, kiedy zanurzamy się w lenistwie, w gnuśności, z tą chwilą nigdy głos nasz nie dochodzi do bogów, albowiem takich ludzi ścigają oni kłątwa, gniewem. W dawnych czasach Manljusz Torkwat, podczas wojny z Gallami, kazał zgładzić własnego syna, jako że wbrew rozkazowi szukał zaczepki z wrogiem; męstwo, wykazane w niewłaściwy sposób, dzielny chłopak przypłacił głową — a oto wy nie wiecie, co macie uczynić z najgorszymi zbrodniarzami, zdrajcami! A może to poprzednie ucziwe życie chroni ich teraz przed karą? Zatem darujcie życie Lentulusowi, jeżeli tylko on zasłużył kiedykolwiek na uznanie ucziwością, dobrą sławą, szacunkiem dla bogów i dla ludzi; przebaczcie młodości Cetega, jeżeli nie drugi to już raz porywa się na ojczyznę. Cóż powiem o Gabinjuszu, Ceparjuszu, Statyljuszu? Jeżeli oni nigdy w niczem nie zawinili, to nie targnęliby się w taki sposób na Rzeczpospolitą. Senatorowie! Zapewniam was, gdyby sytuacja była taka, że można omylić się bez zagłady państwa, to dałbym spokój słowom, których tak nie lubicie; czekałbym, aż sam bieg rzeczy skieruje was na właściwe tory. Niestety, jesteśmy całkowicie otoczeni. Katylina wraz z wojskiem zajmuje dojscie do Rzymu; inni buntownicy są w środku miasta, w samym wnętrzu stolicy; nie możemy przeprowadzić zarządzeń tak, żeby one nie były znane wrogom; musimy skończyć jak najprędzej. Mój wniosek brzmi: ponieważ zbrodniczy zamach buntowników zagraża samemu życiu państwa; ponieważ buntownicy, zmuszeni zeznaniem Wolturcjusza i posłów plemienia Allobrogów, sami przyznali się do tego, że knuli przeciw ojczyźnie i ludności; że zamierzali sprawić rzeź, wzniecić pożary, wykonać inne obrzydliwe i okrutne zbrodnie, — po takowem ich wyznaniu, jako jawnych złych zbrodniarzy, według starodawnych zwyczajów, skazać ich na karę śmierci.

Tłum. M. St. Popławski.

LIWJUSZ (T. LIVIUS PATAVINUS)

(59 przed Chr. — 17 po Chr.)

DZIEJE RZYMU

Początkowe dzieje (z księgi pierwszej)

1. Dobrze wiemy, że Achajowie, zdobywszy Troję, okrutnie znęcali się nad zwycięzonymi, ale Eneasza i Antenora wyłączyli z tego, gdyż łączyły tych dwóch z Acha-

jami stare związki przyjaźni; również i dlatego, że zawsze doradzali Trojanom zawarcie pokoju i zwrócenie Heleny. Po różnych przygodach Antenor z gromadą Eneatów przybył na północne wybrzeża Adriatyku; Eneatów miał z tej przyczyny, że, wypędzeni w domowej wojnie z Paflagonji, stracili pod Troją króla Pylemena, obrali Antenora i wraz z nim szukali kraju, któryby zamieszkali; z nimi to i z Trojanami przybył nad zatokę Antenor, wylępił Euganejczyków, którzy zajmowali kraj od Alp do Adriatyku i opanował całą okolicę. Miejsce, gdzie najpierw lądowali, nazwano Troją, także i przyległy kraj; plemię natomiast otrzymało nazwę Wenetów. Eneasza uciekl z ojczyzny wskutek tej samej klęski; losy jednak przeznaczyły go do stworzenia wielkiego państwa. Najpierw przybył on do Macedonji, potem, szukając siedzib, dotarł do Sycylii, a stamtąd pożeglował do Italji, do kraju Laurentów; miejsce lądowania również nazwał Troją. Trojanie wylądowawszy, że to po długiej tułaczce prawie wszystko wyczerpali, a pozostała im tylko broń i okręty, dorwali się do stada na polu. Wtedy król Latyn wraz ze swymi Aboryginami, którzy podówczas zamieszkiwali ten kraj, uzbroili się i wyszli z miasta, z osad, by bronić własnego mienia przed gwałtem przybyszów. Różne zachowały się o tem podania; jedni mówią, że Latyn w bitwie został zwyciężony i najpierw zawarł z Eneaszem przymierze, a potem spokrewnił się z nim. Inni opowiadają, że gdy ustawiono hufce w bojowym szyku, zanim trąby zagrzmiały do bitwy, wystąpił Latyn król wraz z książętami i przywołał wodza napastników do rozmowy; zapytał go, co to za ludzie i skąd przychodzą, dlaczego opuścili ojczyznę i czego chcą w kraju Laurentów. Słyszając, że są to Trojanie, że wodzem ich jest Eneasza, syn Anchizesa i Wenerji; że straciwszy ojczyznę w pożodze wojny, szukają kraju, gdzieby mogli osiąść i założyć gród, zdjęty podziwem dla dostojności tych ludzi, dla ich wodza, który, niezłomny w wojnie, jest jednak gotów do pokoju, wyciągnął doń prawicę i zawarł z nim przyjaźń. Potem i formalne przymierze wodzowie zawarli, a wojska pozdrowiły siebie nawzajem okrzykiem. Eneasza stał się tedy gościem Latyna, który publiczne przymierze wzmocnił również i rodzinnym związkiem, gdyż oddał Eneaszowi córkę. Teraz dopiero Trojanie uwierzyli, że nadszedł kres ich wędrówki, że już na stałe osiedli w tem miejscu. Powstaje gród, nazwany przez Eneasza Lawinjum, od imienia żony Lawinji. Wkrótce młodzi małżonkowie doczekali się syna i dali mu imię Askanjusz.

W dalszym ciągu Aboryginów i Trojanów napadł Turnus, książę Rutulów; Lawinja bowiem była mu obiecana, zanim nadszedł Eneasza. Rozgniewany pierwszeństwem, jakie okazano przybyszowi, napadł Eneasza i Latyna. Obydwie strony poniosły w tej wojnie dotkliwą klęskę: Rutulowie zostali zwyciężeni, a zwycięzcy Aboryginowie i Trojanie stracili króla Latyna. Turnus, rutulski książę, straciwszy nadzieję we własne siły, zwrócił się do Mezencjusza, potężnego władcy Etrusków; panował on w bogatym mieście Cere i od początku był niezadowolony z założenia nowego grodu, i obawiał się niebezpieczeństwa dla sąsiadów, i mniemał, że państwo Trojanów zbyt szybko rośnie w siłę; z tych oto powodów bardzo chętnie sprzymierzył się z Rutulami. W obliczu tak strasznej wojny postanowił Eneasza jak najbardziej zjednać sobie przywiązanie Aboryginów; obydwą szczepy złączył w jeden naród i nazwał go łacińskim; w ten sposób sprawił, że nietylko obywatelskie prawa były równe, lecz i sama nazwa jedna była i ta sama dla Aboryginów i dla Trojan; istotnie, od tej chwili byli oni jednakowo wierni i oddani Eneaszowi. Etrurja podówczas tak bardzo była potężna, że nietylko na lądzie, lecz i na morzu szeroko rozniosła sławę swego imienia przez całą długość Italji, od Alp do Sycylijskiej cieśniny. Jednak Eneasza postanowił, że nie będzie bronił się za murami miasta, lecz wyprowadzi wojsko w pole; bitwa wypadła szczęśliwie dla Latynów, a dla Eneasza była ostatnim jego ziemskim czynem. Jakiemkolwiek mianem godzi się i można go nazywać, został Eneasza pochowany nad rzeką Numikiem; uczczono go mianem Jowisza Opiekuna.

22. Po śmierci Nумы w państwie nastąpiło bezkrólewie; wkońcu lud obral królem Tullusa Hostyljusza, którego dziadek, również Hostyljusz, stoczył ongi sławną bitwę z Sabinami u stoków zamkowej góry. Senat ten wybór zatwierdził. Nowy król był zgola niepodobny do łagodnego poprzednika; był nawet bardziej wojowniczy, niż Romulus: młodość, energja, sława dziadka wreszcie, wszystko to rozpałało w nim zuchwałą butę. Mówił, że państwo gnuśniej w pokoju; czekał na lada powód, by zacząć

jakaś wojnę; przypadek wreszcie sprawił, że rzymscy i albańscy osadnicy nawzajem urządzili przeciw sobie łupieską wyprawę. W Albie panował podówczas Gajus Kluiljusz; jednocześnie niemal z Rzymu i z Alby wyruszają poselstwa, by zażądać zwrocenia zagrabionych łupów. Tullus zakazał swoim posłom cokolwiek innego mówić i czynić, zanim nie wykonają zlecenia: wiedział, że Albańczyk odmówi, że więc będzie mógł wypowiedzieć wojnę zgodnie z obrzędami. Albanie nie tak sprytnie poprowadzili sprawę: gościnnie i laskawie podejmowani przez Tullusa, marnowali czas na wesółych przyjęciach. W ten to sposób Rzymianie zdążyli pierwsi zażądać zwrotu łupów i wypowiedzieli Albanom wojnę na trzydziesty dzień. Powiadomiony o tem Tullus, dopiero teraz daje możność albańskim wysłannikom wyjawienia celu ich przybycia; oni zaś, o niczem nie wiedząc, najpierw przepraszają go i zwlekają z odpowiedzią; wreszcie powiadają, że nie chcą wprawdzie mówić o rzeczy dla Tullusa przykrej, ale muszą spełnić rozkaz; zatem przyszli żądać zwrotu zagrabionych łupów; jeżeli zaś usłyszą odmowną odpowiedź, to muszą wypowiedzieć wojnę. Na to Tullus: «Powiedzcie waszemu królowi, że król rzymski wzywa bogów na świadków, który z naszych narodów pierwszy odesłał z niczem posłów, żądających zwrotu zagrabionych łupów; niech więc bogowie zarządzą, by na ten naród spadły wszystkie klęski wojny».

23. Te wiadomości Albanie przynoszą do domu, i obydwie strony zawzięcie przygotowują się do wojny; do wojny niemal domowej, niemal między ojcami i synami: obydwie narody są potomkami Trojanów, gdyż Trojańczycy założyli Lawinjum, Lawinięzycy Albę, a zaś Rzymianie byli osadnikami i potomkami królów albańskich. Wynik tej wojny sprawił przecieź, że i sam jej przebieg był mniej karygodny; wojsko nie chwyciło za broń, nie walczyło i tylko domostwa jednego z miast zostały zburzone, a zaś dwa narody zwały się w jeden. Najsamprzód Albanie z wielkiem wojskiem zbrojnie nachodzą kraj rzymski; obóz rozbijają tuż przy naszym mieście, na piątej mili; otaczają obóz rowem, a od imienia wodza do tego miejsca przez szereg wieków przywiązana była nazwa rowu Kluiljusza, aż wkońcu zanikła wraz z resztkami rowu. W tym to obozie umiera Kluiljusz, Albanów król; Albanie obierają dyktatorem Mecjusza Fufecjusza. Zuchwały Tullus, podniecony śmiercią króla nieprzyjaciół, poucza swoich, że oto wielka bogów wola uderza w sam szczyt Albanów plemienia, a za nieprawą wojnę ścięga karą. W nocnej wyprawie omija obóz wrogów i zbrojne hufce prowadzi do kraju Albanów; Mecjusz porzuca obóz i przyspieszonym marszem zdąża do wroga; posyła do Tullusa posła i każe powiadomić go, że pragnie osobiście z nim rozmówić się, zanim rozpocznie się bitwa; zapewnia, że jeśli zjeżdżą się, to przedstawi coś, co w równej mierze leży na sercu Rzymian i Albanów. Tullus przystaje na to, ale obawia się, że Mecjusz wysunie błahe rzeczy i ustawia hufce do bitwy; Albanowie ustawiają szeregi naprzeciwno.

Już wojska stoją gotowe do bitwy i wodzowie wraz z kilku książętami schodzą się pośrodku; Albańczyk tak zaczyna: «Tullusie, król nasz Kluiljusz wysunął za powód wojny krzywdę, jako że łupy zagrabione nie zostały mu zwrócone, jak to nakazuje prawo; również i ty, jak o tem wiem, w ten sam sposób uzasadniasz wojnę. Myślę jednak, że raczej musimy mówić prawdę, niż przytaczać upragnione pozory. Żądza to władzy uzbroidła bratnie i sąsiednie dwa narody: nie będę mówił, czy słusznie to, czy nie; po-winien był o tem myśleć ten, co zaczął wojnę; ja tylko do prowadzenia jej zostałem obrany przez Albanów. Chcę jednak przypomnieć tobie, Tullusie, o potęgę Etrusków, jaka otacza i nas, i ciebie, a jest ci znana o tyle lepiej, że bliżej jesteś Etrusków niż my. Wielka jest ich potęga na lądzie, większa jeszcze morska; pamiętaj: kiedy dasz znak do bitwy, to chwila ta, jak również i dwa nasze wojska, będą dla nich najmil-szem widowiskiem; uderzą na nas, na wyczerpanych i strudzonych, na zwycięzców i na zwyciężonych. A przecieź niedosyć mamy tej naszej pełni praw; wchodzimy oto w zmienne koleje rozkazodawstwa i niewoli; niechże bogowie nam pomogą obrać taką drogę, byśmy mogli bez większej klęski, bez przelewu krwi naszej zadecydować, który naród nad drugim obejmie władzę». Podobala się ta mowa Tullusowi, aczkolwiek bardzo był butny, tak z natury, jak szczególnie w tym momencie, jako że pewien zwycięstwa. Zaczęli zastanawiać się nad sposobami rozwiązania, w czem im poszczęścił sam los.

24. Byli przypadkiem w obydwu wojskach bracia trojaczkowie, w tym samym wieku i jednakowo mężczyźni; wiemy dobrze, że zwali się Horacjuszami i Kurjacjuszami, a żadne starodawne podanie nie jest równie znane, jak to; a jednak w tak sławnym wydarzeniu pozostaje niepewność co do imion: z jakiego narodu byli Horacjusze, a do jakiego należeli Kurjacjusze; dziejopisarze różnie o tem mówią, częściej jednak, że Horacjusze byli Rzymianami; myślę, że i my musimy to przyjąć. Trojaczków królowie namawiają, by każdy z nich z bronią w ręku walczył za ojczyznę, a ten naród zdobędzie panowanie, do którego przychylił się zwycięstwo. Na przeszkodzie nie stanęło nic, więc wyznaczono czas i miejsce. Zanim zaczęli walkę, zawarli Rzymianie i Albanie umowę, że naród, którego obywatele w tej walce zwyciężą, będzie nad drugim sprawował władzę i dbał o pokój. Inne umowy były innej treści, ale zawsze zawierano je w ten sam sposób, a ta jest najstarsza, zachowana przez podania, i była tak oto zawarta. Kapłan z kolegijum fecjalisów tak zapytał króla Tullusa: «Czy rozkazujesz, królu, bym ja wraz z kapłanem patrem patratusem narodu albańskiego zawarł umowę?» — Skoro król rozkazał, rzecze: — «Żądam królu od ciebie trawy». — Król na to: — «Niech zostanie przyniesiona czysta trawa». — Kapłan fecjalis przyniósł z zamkowej góry pęk czystej trawy; znów zapytał króla: — «Królu, czy mianujesz mnie i moich towarzyszy, i moje sprzęty, czy mianujesz królewskim posłem rzymskiego narodu Kwiryków?» — Król rzecze: — «Mianuję, i niech to będzie pomyślnie dla mnie i dla narodu rzymskiego Kwiryków». — Kapłanem fecjalisem był podówczas Marek Walerjusz; ten zamianował Spurjusa Fuzjusza kapłanem patrem patratusem, dotknąwszy głowy jego i włosów czystą trawą. Kapłan pater patratus musi być zamianowany do wygłoszenia przysięgi; on to zawiera umowę; on układa brzmienie warunków, ale to brzmienie, długie bardzo, pominię. Wygłosiwszy wszystkie warunki, rzecze: «Słuchaj, Jowiszu; słuchaj, kapłanie pater patratusie narodu albańskiego; słuchaj ty, narodzie albański! Tak, jak to wszystko od pierwszego do ostatniego słowa z tych tabliczek nawoskowanych i bez złego podstępu zostało odczytane; tak jak to tutaj dzisiaj zostało dokładnie zrozumiane, tak oto nie odstąpi naród rzymski pierwszy od tych warunków. Jeśli pierwszy odstąpi, powziąwszy uprzednio złe i podstępne postanowienie, ty, Jowiszu, w tym samym dniu poraż naród rzymski tak, jak tutaj dzisiaj ja zabijam to oto prosię; poraż o tyle silniej, jak tylko możesz i mocen jesteś». To powiedziawszy, zabił kamiennym nożem prosię. Albanie natomiast własne zaklęcia wygłosili i własną przysięgę przez własnego dyktatora i przez własnych kapłanów.

25. Po zawarciu umowy trojaczkowie, jak to było ułożone, chwytają za broń; obydwaj wojska zachęcają swoich wojowników, że oto same bóstwa ojczyste, że ojczyzna i rodzice, że każdy obywatel w domu i każdy w wojsku wpatrzeni są w ich miecze, w ich prawice. Butni już z natury samej, zapaleni słowami zachęty, wychodzą na środek pola między dwoma wojskami; żołnierze ustawiają się przed swemi obozami, chwilowo wolni od niebezpieczeństwa, ale pełni niepokoju, gdyż odwadze i szczęściu tych kilku zawierzono losy przyszłej władzy. Stoją stroskani i wyczekują, i z największą uwagą przyglądają się tak przykremu widowisku. Na dany znak, bracia jedni i drudzy, upojeni zapalem wielkich hufców, chwytają broń i ścierają się w walce, niczem bojowe szyki. Pełni pogardy dla własnego niebezpieczeństwa, widzą przed sobą władzę lub niewolę swego narodu, ową przyszłość ojczyzny, zawierzoną ich odwadze. Przy pierwszym starciu, gdy zabręczęta żelazo i zajaśniały w blasku miecze, okropne drżenie przeszło przez wpatrzone ludzkie szeregi; a że zwycięstwo nie skłaniało się na żadną stronę, duch zamarł w widzach; nie potrafiliby głosu wydać. Potem, gdy w ręcznej walce nie można już było dostrzec ani ruchów ciała, ani uderzeń mieczów, a widać było zato przelaną krew i rany, wtedy dwaj Rzymianie, zraniwszy trzech Albanów, jeden po drugim padli w walce i wyzionęli ducha. Patrząc na ich zgon, albańskie wojsko zagrzmiało radosnym okrzykiem; Rzymianie natomiast, straciwszy całą nadzieję, zgębieni troską, wpatrywali się w jednego, który miał przed sobą aż trzech Kurjacjuszów. Ten jeden nie był jednak ranny; nie dorównywał trzem naraz przeciwnikom, ale przewyższał każdego z osobna. By więc rozdzielić walkę z nimi, zaczął uciekać w tej myśli, że będą go ścigali tak, jak każdemu pozwolą jego rany; odbiegłszy nieco od pierwotnego miejsca walki, ogląda się i widzi, że ścigają go w pojedynek, daleko

od siebie oddaleni. Jeden był zupełnie blisko; szybko zwraca się przeciwko niemu; albańskie wojsko krzyczy do swoich Kurjajuszów, by biegli do brata z pomocą — a już Horacjusz, zabiwszy przeciwnika, pędzi zwycięsko do następnego. Rzymianie, jako że zwykle to bywa w nieszczęściu, gdy nagle zablyśnie nadzieja, głośnym krzykiem nawołują swego bojownika; ten i bez tego śpieszy dokończyć walkę; zanim nadażył ostatni, który był niedaleko, zabił już i drugiego Kurjajusza. Pozostał tylko pojedynek, ale przeciwnicy, jakżeż nierówni byli siłą! Jeden staje do trzeciej walki pełen sił; zapalony podwójnem zwycięstwem, — drugi natomiast, osłabiony raną, przygnębiony śmiercią braci, wlecze się powoli do zwycięskiego wroga. Nie była to walka; pyszny Rzymianin: «Oddałem — rzece — dwóch ceniom braci, trzeciego ofiaruję sprawie, by Rzymianin władał nad Albanami». Z temi słowy przebija mieczem gardło slaniającego się wroga; zabiwszy, zdejmuje z niego broń. Rzymianie z radosnym zapętem witają Horacjusza, a radość ich tem większa była, że sprawa omal nie została przegrana. Jedni i drudzy zabierają się do grzebania swoich, ale zgoła innego mają w sobie ducha: jedni wzbogaceni władzą, drudzy wpadłszy w poddaństwo. Grobowce stoją tam, gdzie który padł: dwa rzymskie obok siebie, bliżej Alby, trzy albańskie w kierunku Rzymu, ale w tych miejscach, gdzie odbyła się walka.

26. Zanim rozeszli się do domów, Mecjusz spełnia warunki umowy i zwraca się do Tullusa o rozkazy; ten rozkazuje, by trzymał wojsko w pogotowiu, bo chce skorzystać z ich pomocy, jeżeli wybuchnie wojna z Wejentami. Potem wojska wracają do domu. Na przodzie idzie Horacjusz i niesie przed sobą potrójną zbroję, zdobytą na wrogach. Przed Kapeńską bramą wybiega mu na spotkanie młoda siostra, narzeczona jednego z Kurjajuszów; widzi płaszcz narzeczonego — niósł go przeciw brat na wysokim drągu — płaszcz, który sama wytknęła; rozpuszcza włosy, wzywa zrozpaczona po imieniu zmarłego oblubieńca. Skarga siostry, w chwili tak radosnego zwycięstwa brata, tak powszechnej radości, wzburzyła butnego młodzieńca. Obnaża miecz, przebija dziewczynę i mówi przytem: «Odejdź tam, do oblubieńca wraz z niewczesną miłością; odejdź ty, coś zapomniała o zmarłych braciach i o żyjącym, i o samej ojczyźnie. Tak niech odejdzie każda Rzymianka, która zacznie oplakiwać wroga!» Straszna to była zbrodnia; oburzył się lud i senat — a przecież świeża zasługa wzbraniała bezwzględnie zganić młodzieńca; niemniej stawiono go przed sąd do króla. Król jednak nie chce brać na siebie odpowiedzialności za należyty wyrok, nie miły i przykry dla wszystkich, gdyż bezwątpienia byłby to wyrok śmierci. Zwołuje zgromadzenie ludu i ogłasza: «Zgodnie z rządzącem prawem, mianuję dwóch mężów-sędziów; oni niech osądzą zbrodnię Horacjusza». — Straszne to było prawo: nakazywało ono, by dwaj mężowie-sędziowie skazali na karę zbrodnię mężobójstwa; jeżeli skazany zażądałby odwołania się do ludu, to miał prawo odwołać się; jeżeli w sprawie przed zgromadzeniem ludu mężowie-sędziowie zwyciężą, niech głowa skazanego, niczem głowa ofiary, zostanie owinięta; winien być powieszony na przekłętym drzewie, niech zostanie wychłostany do śmierci, czy to wewnątrz świętej granicy miasta, czy też poza jej obrębem. Dwaj mężowie-sędziowie, mianowani według tego prawa, sądzili, że ustawa zabrania im uniewinnić nawet niewinnego; wydali zatem wyrok śmierci, a jeden z nich rzecze: — «Publjusu Horacjusu, oskarżam cię o zbrodnię mężobójstwa; pójdź, liktorze, zwiąż mu ręce». — Zbliża się liktor, wiąże mu ręce sznurem, a Horacjusz za zezwoleniem Tullusa, który w łagodnej formie zastosował nakaz okrutnego prawa, rzecze: — «Odwołuję się do ludu!» — Tak sprawa przeszła pod obrady ludowego zgromadzenia. Najbardziej wzruszył wszystkich Publjusz Horacjusz ojciec; oświadczył on, że córkę słusznie spotkała śmierć: gdyby sądził o tem inaczej, to mocą ojcowskiej władzy sam ukarałby syna; prosił zgromadzonych ludzi, by nie czynili go sierotą; przecież dopiero co pysznił się tak okazałem potomstwem! Objąwszy syna, starzec wyciąga ręce do zbroi zdobytej na Kurjajuszach i ustawionej jako pomnik, obecnie znany pod nazwą słupa Horacjusza, zwraca się do ludu i rzecze: — «Kwiryci! Oto jest ten, którego dopiero co widzieliśmy w chwale zwycięstwa! Czyż naprawdę moglibyście patrzeć na jego kaźń? Jak idzie, uwiązany do jarzma, dręczony chłostą? Czyby Albanów oczy zniosły taki widok? Pójdź, liktorze, skrepuj więzami ręce, które właśnie zdobyły władzę narodowi rzymskiemu! Pójdź, owiń głowę, niczem ofierze, obrońcy tego miasta! Zawieś go na przekłętym

drzewie i udręcz chłostą w obrębie świętej granicy miasta, ale właśnie tutaj, obok pomnika ze zbroi, zdobytej przezeń! Udręcz chłostą także i poza obrębem świętej granicy, ale właśnie tam, gdzie stoją grobowce Kurjaczuszów! Dokądżeż możecie zaprowadzić tego młodzieńca, gdzieby przed hańbą kary nie obroniła go własna zasługa?» — Zebrany lud, poruszony łzami ojca, podziwiał wytrwałość młodzieńca, nieugiętego w każdej potrzebie, i przebaczył mu zbrodnię i uwolnił go od kary. Tak jawne morderstwo należało jednak w jakiś sposób zmyć; zatem ojciec otrzymał rozkaz oczyścić syna na publiczny koszt; i wykonał jakieś oczyszczające obrzędy, od tej chwili na zawsze przekazane rodowi Horacjuszów; i przerzucił przez drogę kłodę, i owinął głowę syna, i przeprowadził go popod kłodą, niczem przez jarzmo; ta kłoda i teraz istnieje, stale jest odnawiana przez państwo, a zwie się Siostrzaną Kłodą. Grobowiec Horacji wzniesiony został z ociosanych kamieni w miejscu, gdzie została zabita.

Tłum. M. St. Popławski.

PUBLIUSZ WERGILJUSZ MARON

(70—19 przed Chr.)

SIELANKI

Ekloga IV: Proroctwo

Muzy Sycylji! Mamy skomponować bardziej podniosłą pieśń! Niekażdy lubi winnice, ni rozłożyste krzewy tamaryszku. Skoro układam pasterski wiersz o losie — niechże ten los stanie się godnym konsularnego męża.

Nadchodzi ostatni kres, wyznaczony ongi kumejskiem proroctwem. Wielki na nowo rodzi się wieków rząd. Wraca na ziemię Dziewica; znów nadchodzą rządy Saturna i nowe pokolenie zstępuje na ziemię z bezkresnych przestworzy.

Lucyno, czysta bogini, wejrzyj przychylnie na Chłopczyka, który zstępuje na ten świat; on zdławi żelazne okrucieństwo, a w duszach ludzkich zakrzewi złotą treść. Bądź mu przychylna, bogini, albowiem władą teraz brat twój Apollin.

Poljonie! za twoich rządów konsularnych zstąpi do nas On, szczęście stulecia; zaczniesz wielkich miesięcy pochód. Za twoich rządów gnębiące nas okropne grzechy zostaną zmyte, a wszystkie kraje uwolnią się od wiecznego lęku.

On przyjmie życie Boga. On będzie oglądał bohaterów w rodzinie bogów. On i sam wejdzie do ich grona; posiadzie dzielność Ojca i przyjmie berło władzy nad uspokojonym światem.

Chłopczyku! ziemia, nietknięta niczyją ręką, przyniesie Tobie pierwszy dar: zakwitnie pelzający bluszcz, rozpuści się wonny nard, a błonie porosną złotą akacją i barwnym lotusem.

I owce same przyniosą ludziom pełne mleka wymiona, a żarłoczne lwy przestaną być postrachem dla bojaźliwej trzody.

Dookoła twej kolebki zakwitną radosne kwiaty i zginie zła żmija, i uschnie jadowite zielsko, a wszystkie kraje porosną balsamiczną asyryjską trawą.

Nadejdzie czas, a zaczniesz zgłębiać czyny Ojca i chwałę bohaterów i poznasz, jaką jest prawdziwa dzielność.

Nadejdzie czas, i na roli dojrzeją złote żniwa, i czerwone jagody obciążą gałązki leśnych krzewów, a twarde dęby będą sączyły słodki miód.

Zostaną przecież niewielkie ślady dawnego grzechu. One to sprawią, że znów okręty zaczną pruć morską toń, że obronne wały otoczą ludzkie siedziby, a pługi zranią brózdą rolę.

Wtedy to znowu narodzi się ów sternik, który bohaterskich Argonautów zawiezie na morską toń. I odnowa zaczną się dawne wojny, a pod mury Troi drugi raz wyruszy sławny Achilles.

Wtedy to, gdy męski wiek obdarzy Cię pełnią sił, wtedy i żeglarz zaniecha morskich wypraw, a łodzie z sosnowych bierwion przestaną przewozić towary. Ziemia sama wszystkim — wszystko da.

Rolę przestanie ranić wygięty pług; w winnicach przestanie ścinać gałązki nóż; żylasty rolnik zdejmie twarde jarzmo z wolu.

Wolna przestanie przyjmować sztuczne barwy, albowiem owce i barany na łąkach same zaczerwienią się wspaniałym karminem, lub też ich runo zajaśnieje zlocistym szafranem, a jagnię na paszy przybierze barwę szkarłatu.

Parki, boginie niezłomnych i trwałych wyroków, orzekną: mknijcie, szczęśliwe stulecia!

Nadejdzie twój czas — i przyjmiesz wspaniałe zaszczyty, Ty, który jesteś potomkiem wielkiego Jowisza i który jesteś ukochanym Synem Bożym.

Spojrzyj: wszechświat Cię wita bezmiernym ogromem. Spojrzyj na łądy, na morskie otchłanie, na bezkresne niebo: wszystko raduje się, albowiem przeczuwa nadchodzące błogosławieństwo.

O, gdyby w tym czasie pozostała mi jeszcze bodaj resztką długiego życia! obym miał tyle natchnienia, bym mógł opowiedzieć o Twoich rządach!

Sam wieszczy Orfeusz nie zwyciężyłby mnie pieśnią, ani sam Linus, nawet gdyby ich wsparli matka i ojciec — Orfeusza matka Kalliope, a Linusa piękny Apollin.

Nawet i Pan, gdyby śpiewał wraz ze mną przed sądem Arkadji, nawet i Pan uznałby wyższość moją przed sądem Arkadji.

Powitaj, Chłopczyku, Matkę radosnym uśmiechem! Matka powiła Cię w długiej męce; jej ciąża trwała dziesięć miesięcy.

Powitaj Matkę, Chłopczyku! Albowiem żaden bóg nie obdarzy przyjaźnią, żadna bogini pieszczotą, kogo nie przygarnęli szczęśliwi rodzice.

Tłum. M. St. Popławski.

GEORGIKI

PIEŚŃ PIERWSZA

1. Inwokacja (w. 1—52)

Jak robić, by z zasiewów zebrać plon wesoly,
 Żeby winną latorośl wiązać w swoim czasie,
 A jakiego starania potrzebują woły
 I inne bydło w stajniach, śpiewam, Mecenasię;
 Także o tem, jak w ulach przechowywać pszczoły.
 Was, gwiazdy, co znaczącie rok w wiecznych przestworzach,
 Ciebie, boski Bachusie i płodna Cerero,
 Co chańskie dąbrowy zmieniasz w łąny zboża
 I z sokiem winnic mieszasz czystych wód fontanny,
 Was, bóstwa opiekuńcze i faunowie leśni,
 — Przybiegajcie tu do mnie — was Driady panny,
 Dary waszej potęgi chcę opiewać w pieśni!
 A i ty, boże mocny, potężny Neptunie,
 Co samo wewnątrz ziemi poruszasz trójzębem,
 I ty, przed którym stado białych wołów sunie,
 Rzuć na chwilę lycejskich borów ciemne głębie
 I pokaż mi się, stróżu naszych owiec, Panie;
 Jeśli zawsze tak kochasz swojego Menala,
 Boże tegejski, moje błogosław śpiewanie.
 Ty, oliwna Minerwo; plugu wynalazco,
 Sylwianie, co cyprysów gałęzie masz w ręce,
 Wszystkie bogi, boginie, które twórczej męce
 Nasion z ziemi wschodzących pomoc swą dajecie.
 Cesarzu, który kiedyś w bogów siedziesz gronie,
 Powiedz, czy chcesz spokojnie panować na świecie,
 Bo świat chce wieniec mirtu włożyć na twe skronie,

Uczcić cię, jako stwórcę i pana swych płodów?
 Władco mórz, masz być czczonym tylko przez żeglarzy,
 Co szukają po szlakach wód słońca zachodów?
 Dlatego, że najdalsza Tule twą poddaną,
 Że Tetyda potężna o tem tylko marzy,
 By cię zdobyć na zięcia, morza dać za wiano?
 Nowa gwiazdo błękitów, między Erydanem
 A światłami Skorpjona błyszni! Już ramiona
 Wyciągają po ciebie te niebieskie trony.
 Gdziekolwiek będziesz, chyba nie w piekiel otchlani,
 Choć Grecja elizejskie swoje pola chwali,
 Prozerpiny głos matki nawet nie rozczula,
 Gdziekolwiek będziesz, nami się opiekuj dalej,
 Wspomogaj w jego pracach biednego oracza
 I już teraz wysłuchaj głosu nas, śmiertelnych!
 Gdy wiosną z górskich białych szczytów śnieg się stacza,
 Wilgotniejący zagon wiew zefirów czesze,
 Niech wół się już ugina pod jarzmem w mozole,
 Niech błyszczą w blasku słońca świecące lemieszce;
 Ale życzeń oracza nie wypełnią role,
 Aż nie poczują mrozu i ciepła dwa razy,
 Dopiero wtedy sypną z kłosów ciężkie ziarno.
 Lecz nim żelazem pluga zgłębisz rolę czarną,
 Musisz wichrów na niebie dobrze znać rozchwieje:
 Z tradycji ojców o tem dowiesz się niemało.

Tłum. Ludwik Hieronim Morstin.

2. Rozkosze zimy (w. 291—310)

Są, którzy lubią w długie zimowe wieczory
 Żywiczne drzewo rąbać przy lampie toporem,
 Gdy ich małżonka, nucąc piosenki lubiane,
 Każe biegać wśród nitek szybkiej krosien cewce,
 Albo wino gotując w spiżowej konewce,
 Zbiera liśćmi z powierzchni drżącej wonną pianę.
 Wszak w blasku słońca trzeba żniwować corocznie,
 I nago chodząc, rolnik ledwo żar wytrzyma
 Już w czas zasiewów — a niechże choć teraz odpocznie,
 Gdy rozkoszy używać pozwala mu zima.
 Więc rolnicy sąsiadów proście o tej porze
 I uczłujcie bez troski z radością młodzieńczą:
 Tak żeglarze, co wiozą skarby wielkiem morzem,
 Gdy dopłyną do celu, w porcie statki wieńczą.
 I pracować też można, poszukać żołędzi,
 Oliwki, mirtu, laurów jagody rozdzielać,
 Żórawie łowić w sieci, jelenia dopędzić,
 Zająca ślady tropić i trafić daniela
 Kamieniem, wyrzuconym z procy — to zwierz lekki —
 Polujcie, gdy śnieg w polach, gdy staną już rzeki.

Tłum. Ludwik Hieronim Morstin.

3. O słońcu i jego znakach (w. 438—486)

Słońce gdy wschodzi, albo idzie ku zachodowi,
 Obserwuj, nieomylną chcąc mieć przepowiednię,
 Bo znaki gwiazd wstających nigdy nie zawiodą.
 Jeśli tarczę promienną w nocy, która blednie,

Gęste chmury czarnemi plamami obłożą,
 To deszczu się spodziewaj; wiatr, wiejąc zwysoka,
 Śmierć przyniesie niechybną drzewom, bydłu, zbożom.
 Jeśli słońce wstające wygląda z obloka,
 Rzucając garść promieni, jeśli zorza błada
 Wstaje ze złocistego Tytona łożyska,
 Biada wam, latorośle winne, będzie spadać
 Wasz owoc ścięty mrozem, który ziemię ściska.
 Lecz z szczególną uwagą patrz na słońce, bliskie
 Końca swojej wędrówki, gdy z Olimpu schodzi,
 Jak przeróżne kolory płoną ponad dyskiem:
 Czerwony wróży wichry, niebieski — powodzie,
 A kiedy się z purpurą zmiesza barwa sina,
 Sprzysięgną się na zgubę z wichrami ulewy,
 W taką noc mnie nie zmusisz, bym żagle rozpiął
 I uwalniał do słupa przytroczoną barkę!
 Lecz przeciwnie, jeżeli jasna jego tarcza,
 To tylko tyle wichru jest, ile wystarcza,
 By drzew wierzchołki ruszyć. O burzach i ciszy
 Słońce ciebie nauczy, o tem, co zawiera
 Wilgotny Auster, skoro w chmurach groźnie dyszy.
 Aby słońcu nie ufać, kiedy wróży klęski,
 Rozruchy, spiski, grozę wojen niezwykłych,
 Czyż jest w sercach śmiertelnych taka słaba wiara?
 Litujać się nad Rzymem po śmierci Cezara,
 Przykryło jasność lica zastoną żaloby,
 Znak nocy nadchodzącej w posępnym orszaku;
 Wtedy ziemia i morze szumiące nad grobem,
 Psów wycie i złowrogi krzyk wróżebnych ptaków,
 Wtórowały tym znakom. Nad polem Cyklopów
 Widziano oszalałą Etnę przy wybuchu,
 Kamienie ciskającą z płomiennego snopu,
 A nad niebem Germanji słyszano głos duchów,
 Dźwięk broni, także łoskot gromu nad Alpami,
 Jakim w lasach, co ciszą otulone świętą,
 Upiory z bladą twarzą przyszły żywych mamić;
 Okropnym ludzkim głosem szczekały zwierzęta,
 Ziemia pękła i stoją rzeki, a w świątyniach
 Kość słoniowa lży roni i pocą się spiże;
 Sam król rzek Erydanus wzbiera i wyczynia
 Straszliwe szkody w lasach, bydła stada chyże
 Wypędza z obór w pola. I przez długie wieki
 W wnętrznościach ofiarnych widziano złe żyły,
 We fontannach czerwonej ludzkiej krwi rozcieki,
 A stada dzikich wilków w pobliżu miast wyły!

Tłum. Ludwik Hieronim Morstin.

PIEŚŃ TRZECIA

Zła potęga miłości (w. 242—262)

Wszelki rodzaj na ziemi zrodzony,
 Ludzkie plemię i dzikie zwierzęta,
 Ptactwo, ryby i trzodę na paszy,
 Szał ogarnia i chuć roznamiętnia.
 Miłość tętni we wszelkiem stworzeniu!
 Tknięta żądza, niepomna na lwiątką,

Lwica sroży się, mknie poprzez pola;
 Niedźwiedź śmiercią okrutną i lękiem
 Leśną knieję napełnia bezmyślnie.
 Dzik dziczeje, a tygrys krwiożerczy
 Jakżeż straszny w krainie libijskiej!
 Kłami błyska odyniec sabelski,

Nogą tupie, o pnie się ociera,
 Wściekły, pragnie zwycięstwa i walki,
 Pręży mięśnie i wrogów wygląda.
 Ryś bachiczny od chuci dżiczeje,
 Psy i wilki nawiedza wścieklizna,
 Pragną walki spokojne jelenie..
 Młodzian burzy się, chucią wstrząśnięty:
 Żądzy płomień wypala mu wnętrze;
 Gnany ogniem surowej miłości,

Za nic ma rozjuszone żywioły.
 O północy na mroczne bezdroża,
 Na bałwany piętrzące się puszcza,
 Ponad głową mu piorun ognisty
 Próżno szarpie niebieskiem sklepieniem,
 Próżno morze na skałach się pieni!
 Brnie, niepomny na głos obowiązku,
 Wołań ojca i matki nie słyszy.

Tłum. M. St. Popławski.

WYZNANIE WIARY I MYŚLI WERGILJUSZA MARONA

[Eneida, ks. VI w. 724—751: przemówienie Anchizesa.]

Na początku falujący obszar wód,
 Łądy, niebo i księżyc jasny krąg,
 I przedwieczne gwiazdy żywił duch.
 Duch do wnętrza przepoił
 Całą wielkość wszechświata;
 Myśl, rozlana po członach,
 Cały ogrom wszechrzeczy
 Zespalając w jedność, uprawia w ruch.
 Więc śmiertelnych ludzi powstał ród,
 Więc powstaje zwierząt plemię, wszelki ptak
 I te dziwy morskie w ciemnej głębi wód.
 Jasny ogień — oto życia rdzeń;
 Z nieba życie spłynęło,
 Jenó kała je cielesny kształt
 I śmiertelna zanieczyszcza rdza;
 Jenó ta doczesna zjawia gnębi.
 Więc ogarnia wszystko namiętności pęd,
 Więc powstaje w ludziach radość, ból i lęk,
 I wrzucona w ziemskich bytów mrok
 Już nie patrzy dusza w nieba głąb,
 W chwili, gdy ciało śmiertelne umiera,
 Zwalnia się dusza od mary doczesnej,
 Lecz nie od kału rdzy.

Przeto dziwny pozostaje w duszy grzech,
 Musi pokutować pokalany duch,
 Cierpi męki za swój ziemski byt.
 I doczesnych ciał zmywając zbrodnie,
 Zawisają dusze w próżni wirującej,
 Lub je chwyta morska kotłująca otchłań,
 Lub wyzwala ognia płomienisty żar.
 Każdy cierpi swój pośmiertny los.
 Potem idzie do Elizjum, w przestronny
 Lecz niewiele tu przybywa dusz. kraj —
 I pozostają na bujnych łąkach,
 Aż się czasów nie wypełni krąg,
 Aż dokona się odwieczny dzień.
 Wyzwalają się z wchłoniętej rdzy,
 Rozjaśniając się w boską myśl.
 Przemieniają się w przestworza blask.
 Po upływie tysiąca lat
 Nad wybrzeża letejskich wód
 Bóstwo dusze gromadnie zwołuje,
 By swych istnień poprzednich niepomme,
 By do życia ziemskiego stęsknione,
 Znów zechciały wejść w doczesny kształt.

Tłum. M. St. Popławski.

ENEIDA

Początek Eneidy

(Ks. I, ww. 1—7)

Broń i męża opiewam, co losy wiecznemi
 Uszedłszy z Troi, przybył do Italskiej ziemi.
 Bardzo był on na lądzie i morzu trapiiony
 Wolą niebian i gniewem namiętnej Junony;
 Wiele w bojach przecierpiał, gdy miasto zakładał,
 Gdy latyńską ojczystym bogom ziemię nadał,
 Skąd poszedł ród Latynów i Albańskie imię,
 I wielkie mury twoje, nieśmiertelny Rzymie.

Skarga Wenery i przepowiednia Jowisza o wielkości Romy

(Ks. I, ww. 223—244; 249—296)

Już był koniec, gdy Jowisz z górnego przestworza
 Patrzy na niskie ziemie, na żagloplawne morza,

Na kraje, na plemiona, w środku nieba staje,
 Uwagę baczną zwraca na libijskie kraje.
 Gdy on umysłem boskim wszystko tak przeziera,
 Łzy lejąc z jasnych oczu, skarży się Wenera:
 — Ty, co zarządzasz rzeczy nad — i podłoneczne,
 Co piorunem utwierdzasz twe wyroki wieczne,
 Czem Enej, czem Trojanie urazili ciebie,
 Że dla nich, po okropnym ójczyzny pogrzebie,
 Do Italji zamknięte wszystkie drogi świata?
 A przecież obiecałeś, że w następne lata
 Z krwi Trojan ziemio władni powstaną Rzymianie,
 Że kraje wszystkie przyjmą Romy panowanie.
 Powiedz, co mogło zmianę w twym umyśle zrodzić?
 Upadek Ilijonu mogłam sobie słodzić
 Myślą, że po ciężkim lżejszy wyrok błysnie.
 Teraz, po tylu klęskach, tenże los ich ciśnie.
 Panie! Kiedy wreszcie położysz koniec trudów?
 Antenor, zachowany z pośród greckich ludów,
 Już dawno zakończywszy żeglugę daleką,
 Stał w ziemi Liburnów, nad Tymawu rzeką,
 Zatknał oręż trojański, znalazł koniec znoju
 I oddawna słodkiego używa spokoju.
 Twój Eneasze, któremu w niebie był wytknięty,
 Przez gniew jednej Junony, straciwszy okręt,
 Od Italji w najdalsze jest zapędzon strony!
 Tak płacisz za pobożność? Tak dajesz korony? —
 Ojciec bogów i ludzi uśmiechem żal słodzi,
 Twarzą, którą niebios a i burzę pogodzi,
 Swej córki ust dotyka, smutną troskę koi:
 — Porzuć bojaźń, los syna niezmienny stoi.
 Ujrzyś Romę, w jej mury twój lud zaprowadzisz,
 I w niebie własnoręcznie Eneję posadzisz.
 Com przyrzekł, w tem się, luba córko, nie omylę.
 Oto ci dalszych losów zasłony uchylę,
 Oto twój zabezpieczę umysł niespokojny:
 Straszne Enej w Italji będzie toczył wojny,
 W proch zetrze dzikie ludy broni swej pogromem;
 Miłych Trojan obdarzy i prawem, i domem;
 W ciągu trzech lat on wielkie uskutechni rzeczy,
 Zwyciężywszy Rutulów, państwo ubezpieczy.
 Syn, teraz Julem zwany, ów Askanjusz młody —
 Julem był, póki trwały Ilijońskie grody —
 Panuje w lat trzydziestu obszernym zakresie;
 On siedlisko państwa z Lawinjum przeniesie
 I Albę ogromnemi twierdzami uzbroi.
 Tu trzysta lat panują potomkowie Troi,
 Aż dziewczę, z królewskiego pochodzące rodu,
 Bóg Mars uczyni matką podwójnego płodu.
 W wilczą odziany skórę, w pokrycie swej mamki,
 Romul berło odzierży, wzniesie Marsa zamki,
 Romy grodem od siebie nazwie swą osadę.
 Romy władztwu ni kresu, ni granic nie kładę:
 Bez końca dałem władzę; zaś w następnej porze,
 Juno, co teraz wzrusza ziemię, niebo, morze,
 Zmieni myśl i pokocha, których dziś chce straty,
 Rzymiany, władcy ziemi, poważne Togaty.

Tak stoi w biegu wieków i tak się wytoczy,
 Gdy ród trojański Grecję i Miceny stłoczy;
 Argos pokornie przyjmie Romy panowanie,
 Aż wreszcie wielki Cezar Trojańczyk powstanie.
 Julius, od Jula wielkiego imię odziedziczy;
 On państwo morzem, chwałę niebem ograniczy.
 Ty sama, gdy zdobywszy kraje, Wschód ukarze,
 Wprowadzisz go do Niebłan; wzniosą mu ołtarze;
 Po wojnach zaś wiek złoty zabyśnie nad światem:
 Prawo, Ufność i Westa, i bóg Kwiryn z bratem
 Zawrą straszne drzwi wojny na mocne wrzeczadze,
 Okrutna wściekłość, dziką tuczając w sobie żądzę,
 W sto kajdan skuta, siedząc nad żelaza stosem,
 Obrzydłą paszczą strasznym ryczeć będzie głosem.

Eneasza porzuca Dydonę

(Ks. IV w. 554—584)

Enej, będąc zupełnie gotowy do drogi,
 Słodkiego snu zażywa na wysokiej nawie;
 Wtedy bóg, w tejże samej co dawniej postawie,
 Merkuremu podobny i twarzą, i głosem,
 I ozdobą młodości, i złotawym włosem,
 Ostrzegł pogrążonego w spoczynku niewczesnie:
 — Synu bogów, czyż możesz noc przepędzać we śnie?
 Myśl o niebezpieczeństwie, które wyjazd nagli!
 Nie słyszysz, jako wiatry nawołuje żagle?
 Dydona straszny podstęp i zemstę układa;
 Chce umrzeć; w gniewie sama siebie nie posiadał
 Nie uciekasz, gdy uciec możesz bez przeszkody!
 Gdy tu jutrzienka twoje zastanie okręty,
 Wnet ujrzysz wiosłami zamącone wody,
 Płomieniem wrzące główne, ogniem brzeg zajęty.
 Śpiesz, albowiem zmienna zawsze białogłowa. —
 Tak rzekł i wnet się w czarnym cieniu nocy schowa.
 Eneasza, skoro bogów przestrożę usłyszysz,
 Trwożny zrywa się z łoża, wzywa towarzyszy:
 — Wstańcie, mężo, czuwajcie, bierzcie się za wiosła,
 Wzniescie żagle: widziałem we śnie bogów posła;
 Przybył, a ukazawszy swe oblicze święte,
 Kazał śpieszyć z ucieczką, odciąć liny kręte.
 Ktokolwiek jesteś, idę za tobą bez zwłoki
 I posłusznie wykonam niebieskie wyroki;
 Dobroć twoja żeglugę niech nam ubezpiecza.
 Ześlij wiatr. — I dobywa błyszczącego miecza,
 Linę tnie; zapal wnet ogarnia całą rzeszę;
 Lecą, chwytają wiosła, porywają, śpieszą,
 Odplynęli; okręty morze zastoniły
 A fale toczą wielkie swe, spienione bryły.

Dydona popełnia samobójstwo

(Ks. IV w. 630—671)

Tak mówi i we wszystkie myśli kieruje strony,
 Chce przeciąć jak najprędzej żywot uprzykrzony.
 Do piastunki małżonka te słowa wyrzekła
 (Bo własną w jej ojczyźnie cieniem śmierć powlekła):

«Mamko, przywołaj siostrę, chcę ofiarę zićić,
 Niech śpieszy ciało wodą kryniczną oczyścić,
 Niech przypędzi bydłęta, niech wypełni czary;
 A ty przepaską otocz skronie do ofiary,
 Jowiszowi panu śmierci ten obrządek święce,
 Tak chcę koniec położyć srogiej serca męce;
 Oddać głowę dardańską ogniom bez odwłoki...
 Stara mamka z wysiłkiem przyśpieszała kroki.

W okropnym swym zamiarze zdziczała Dydona
 Krwawym powłóczy wzrokiem; zsiniałe znamiona
 Na drżących mając licach, bliską śmiercią błada,
 W wnętrze domu szalona śpiesznym krokiem wpada,
 Wstępuje na szczyt stosu, i tam, nieszczęśliwa,
 Nie nato przeznaczony miecz z pochwy dobywa —
 A gdy strój Trojańczyka i znajome łożo
 Ujrzy, swych lez i westchnień przytłumić nie może.
 Dotyka je, wydając te ostatnie głosy:
 «Najdroższe szczątki, póki bóg szczęścił i losy,
 Weźcie mą duszę; zrzucicie ze mnie ciężar srogi;
 Jaką dał wyrok — takiej dokonałam drogi;
 Dziś, wielkiej chwały syta, wstąpię w kraj ponury.
 Wzniosłam przesławne miasto; widziałam swe mury:
 Za wdowieństwo czyn brata ukarałam krwawy.
 Szczęsna, stokroć szczęśliwa! Gdyby tylko nawy
 Trojańskie nie przybyły nigdy w tę krainę!»
 — Tuląc usta do łoża: «Więc bez pomsty zginę?
 Lecz gińmy — rzecze — muszę już zstąpić do cieni.
 Niechaj z morza Trojańczyk widzi blask płomieni,
 Niech niesie z sobą straszne śmierci mej widziadła!»

Rzekła. Obecni widzą iż z tem słowem padła,
 Ręce jej są zbroczone, miecz dymi krwią zlane;
 Żalobnym jękiem wkoło brzmia wysokie ściany;
 Rozchodzi się wieść smutna po wzburzonym mieście...
 Po domach żale, płacze i skargi niewieście;
 Powietrze się napelnia rozgłośnemi jęki,
 Właśnie jakoby padał z nieprzyjaciół ręki
 Kartagi lub dawnego Tyru mur zdobyty,
 Domów i świątyń boskich objął pożar szczyty.

Eneas z zstępuje do królestwa śmierci

(Ks. VI w. 232—336)

Była jaskinia, straszny był otwór w jaskini,
 Najeżona glazy, mrokiem gaju posępna,
 A dla grząskiego wkoło bagna niedostępna;
 Ptak żaden nie przyleciał tam lotnemi skrzydły,
 Bowiem wychodził z paszczy czarnej dur obrzydły,
 Który aż o gwiaździsty strop ocierał się blisko;
 Stąd mu nadali Grecy Awernu przezwisko.
 Ustawia tu kapłanka cztery cielce czarne,
 A na ich czoło wino wylewa ofiarne.
 Między rogów od góry włosy wyrośnięte
 Wyrwawszy, rzuca w ogień, jak pierwiosnki święte.
 Można w niebie i w piekle Hekatę przyzywa.
 Zarzną cielce; krew dymiąca do kubka spływa;
 Eneasz owcę, którą czarne runo kryje,
 Dla Eumenid matki, dla jej siostry zabije,

Dla ciebie, Prozerpino, ciołkę bezowocną;
Takoż i Styksu władcy wykona cześć nocną,
Całe ćwierci buhaja kładzie w ogień żywy,
Tłustej leje na trzewia strumienie oliwy.
Oto z pierwszym promieni słonecznych powrotem
Zdaje się pod nogami ziemia drzeć z łoskotem:
Chwiejące się wierzchołki lasów i psów wycie
Oznajmniają podziemnej królowej przybycie.
«Precz, niepoświęceni, precz!» — kapłanka wykrzyka —
Niech żadna noga gaju świętego nie tyka,
Ty zaś, Eneju, pierwszy z pochwy wyjm miecz nagi:
Bądź twardy, przywołaj całą twą odwagę!»
Rzekłszy, szalona w otwór rzuca się głęboki,
Mąż dogania idącą niechwiejnemi kroki.
Bóstwa duchów milczących! Smętnych cieni Mocy!
Chaosie! Flegetonie! Władze wiecznej Nocy!
Com słyszał w opowieści, niech stawię na oku:
To, co kryje się w ziemi, co jest zawsze w mroku.
Idą, noc ich wiedzie, mgłą gęstą zasłoniona,
Poprzez dom pustki, przez widmowy kraj Plutona,
Jako wśród lasu droga dla wędrowca bywa,
Gdy oblok słabe światło księżycy ukrywa,
Gdy Jowisz noc rozciągnie na niebieskiej sferze,
A cieni ponury rzeczom barwę ich odbierze;
Przy progu do podziemnej wiodącym paszczęki
Siedzą mściwe Zgryzoty i płaczliwe Jęki,
Smutna Starość i różnych chorób blade roty,
Bojaźń, wstrętne Ubóstwo, Głód, tępiciele cnoty,
I potwory okropne: Śmierć, Trud uciążliwy,
Sen, połączony z Śmiercią bliskimi ogniwy,
Grzeszna Radość po zbrodni, wstrętna, niespokojna...
A na progu przeciwnym śmiercionośna Wojna,
Żelazne Jędzy łoże i Niezgoda wściekła,
Co przepaską z krwi włosy jaszczurcze przewlekła.
Rozłożysty wiąz w środku, biegiem lat wzmocniony,
Ogromnemi do góry wznosi się ramiony;
Powiadają, że zwodne Sny pod tą zaciszą
Kryją się, że wśród liści gromadami wiszą;
W niezliczonej ilości potwory szkaradne:
Więc Centaury w drzwiach stoją, więc Scylle dwukształtne,
Sturęki Bryareusz, groźnie zgrzytająca
Hydra z Lery, Chimera płomieniem ziejąca;
Gorgony, Harpja, również i trójcielna postać.
Śpieszy złękniiony Enej z pochwy miecz wydostać,
Kieruje na gromadę, która mu zabiegła,
A gdyby go kapłanka mądra nie ostrzegła,
Że to tylko czeze cienie pod zwodnym obrazem,
Byłby natarł i mary próżno ciał żelazem.
Stąd do wód Acherontu droga: krętym zwrotem
Tocząc w nurty bezdenne, mętny czarnym błotem,
Wre, a wszystkiek swój piasek do Kocytu ciska.
Te wiry przepaściste, te wstrętne bagniska,
Ma w pieczy wyschły Charon: broda osiwiiała
Brudnym kudłem pierś kryje; wzrok płomieniem pała,
W węzeł spięta z ramion zwisa plachta licha,
Żaglem łodzi kieruje, łódź dragiem popycha,

Na zgniłym promie sam jest przewoźnikiem cieni,
 Stary — lecz się ta starość jędrnością zieleni.
 Do brzegu matki i ojcowie tłumem biegli;
 Mężowie, którzy śmiercią walecznych polegli,
 Dzieci, dziewczęta zmarłe przed ślubnemi wieńcy,
 Sterom oddani w oczach rodziców młodzieńcy:
 Ile liści jesienną porą spada w lesie,
 Gdy od mroźnej północy wiatr zimę przyniesie,
 Ile z nieba ptaków zlatuje, gdy lody
 W cieplejsze pędzą kraje skrzydlate narody.
 Stali, prosząc, by pierwsi byli do żeglugi,
 I wyciągali ręce, chcąc przejść na brzeg drugi.
 Sternik do jednych prośby, do innych się skłania,
 Kogoś wiosłem od brzegu daleko odgania.
 Eneas nadzwyczajnym zdumiony widokiem:
 «Kaplanko, powiedz, co myślisz nad tyłu ciał tlokiem?
 Czego żądają dusze? Lub co jest przyczyną,
 Że te odchodzą, tamte przez nurt smutny płyną?»
 Jemu tak rzecze krótko ksieni bogobojna:
 «Cny synu Anchizesa! Bogów krwi dostojna!
 Widzisz bagno Kocytu i nurt Styksu srogi,
 Którę wzywać i zdradzić lękają się bogi.
 Ten tłum, co biegnie, to niepogrzebanych cienie;
 Ci, których wiezie żeglarz Charon — pogrzebieni.
 Niepierwej przebyć mogą burzliwe potoki,
 Póki spokojnie w ziemi nie spoczną ich zwłoki.
 Setkę lat muszą w błędnym kręcić się obiegu,
 Dopiero wówczas dojdą żadanego brzegu».
 Zatrzymał się Eneas, stanął zadumany,
 Wyroki tak okrutne serce w nim krajały,
 Patrzy, jak smutny bez czci pogrzebowej chodzi
 Leukarpis i Arontes, wódz licyjskich łodzi,
 Których wichry, gdy morzem z Ilijonu dążył,
 Porwawszy, razem okręt i ludzi pogrążył.

Tłum. Franciszek Dmochowski.

Popraw. i zmodern. M. St. Poptawski.

HORACJUSZ (QUINTUS HORATIUS FLACCUS)

(65 przed Chr. — 8 po Chr.)

PIEŚŃ NA POWITANIE NOWEGO WIEKU

Febie i Diano, pani ciemnych borów, Jasne ozdoby niebieskiego dworu, Ku wam pokornych prośb płyną lamenty W tej porze świętej. Gdy sybillińskich ksiąg kazaly wróżby, Wołać dziewczęta i chłopców do służby, Bogom, co siedem wzgórz umilowały, Śpiewać hymn chwały. Słońce wciąż zmienne, co bładzisz wysoko, Biegiem swym gasisz i budzisz dnia oko, Z większym się nigdzie nie spotkasz olbrzy- Niż z miastem Rzymem.	O Ilityjo, patronko pólógów, Spójrzj łaskawie na nas z grona bogów; Czy cię Lucyną w modłach będziemy zwali, Czy Genitalis. Wywiedz potomstwo liczne rzymskim łonom I macierzyństwem bądź błogosławioną, Niech prawom nowym twoja łaska świeci, Przyspórz nam dzieci. A gdy te dziesięć i sto lat dziś mija, Szalem radości niech się lud upija, Niech trwają tańce, śpiewy, rozhowory [mem, Przez trzy wieczory.
---	--

Wy, Parki, głosząc światu, że koniecznie
 Wszystko, co żyje, musi czas uwiecznić,
 Wy nam z przeszłością przyszłość połączycie
 W trwałym wszechbycie.
 Niech ziemia zdobna żrących zbóż rumieńcem
 Cerery głowę zdobi kłosów wieńcem,
 Niech plony rzeźwią życiodajnym dreszczem
 Jowisza deszcze.
 Rzuciwszy groty niepotrzebne ninie,
 Przyjm hold od chłopiąt, boski Apollinie,
 Ciebie, dwurożna Pani, Dianio święta,
 Niech czezą dziewczęta.
 Jeśli Rzym waszem jest dziełem! O Rzymie,
 Gdy Iljon święty znikł w pożarów dymie,
 Na brzeg etruski lary znieśli swoje
 Trojańscy woje.
 Ojciec Eneasz im wskazał te szlaki,
 On, który wywiódł trojańskie junaki
 Z ognia pożogi i w tej jednej chwili
 Dał, co stracili.
 O bogi, dajcie prawość naszej młodzi,
 A starcom spokój niech czoła pogodzi,
 Niech w sławie żyje Romulusa plemię,
 Zdobywszy ziemię.
 A bijąc białe woły przed oltarzem,
 Niech Cezar wszystko ma, o czym zamarzy,

Najpierwszy w boju, a w pokoju szczery,
 On, wnuk Wenery.
 Już panujemy nad lądem i morzem,
 Klęka przed naszym mieczem Med w pokorze,
 Niedawno Scytów butnych miecz pokonał
 Indów plemiona.
 Już Wierność, Pokój i Skromność, i Praca,
 I dawna Cnota wzgardzona powraca,
 Obsitość sypie nam z rozkazu bogów
 Z pełnego rogu.
 Apollo wieszczy, który rzuca strzałą,
 Technie nowe życie w osłabione ciało,
 On, Muzom miły, naród mając w pieczy,
 Słabość uleczy.
 Jeśli zamieszkał bóg na Palatynie,
 To laska jego Rzymu nie ominie
 I w drugim wieku doczekać pozwoli
 Szczęśliwej doli.
 Jasna bogini dziewiczego stanu,
 Wysłuchasz modłów piętnastu kapłanów,
 O Awentyńska pani miłościwa,
 Młodzież cię wzywa.
 Że nas wysłucha Jowisz, władca gromu,
 Z nadzieją pewną wracamy do domu,
 Cośmy głosili moc Feba i Diany,
 Hymnem śpiewanym.

Tłum. L. H. Morstin.

WIERSZ DO LEUKONOI

(I, 11)

Nie rozmyślaj! — Bo wszak badać to grzech, jaki przeznacza kres tobie bogi lub mniel! Nacóż się zda pytać liczbowych sztuk babilońskich o los? Lepiej bez trosk wszystko, co przyjdzie, znieść... Czy nam Jowiszby chciał kilka choć zim, czy tę ostatnią dać, w której lamią o brzeg teraz swą złość fale tyreńskich wód. Bądź rozsądna i lej wino do czar! Nici nadziei skróć, bo niedługi nasz wiek. Zbiega, jak wlot, życia zazdrosny czas, gdy mówiny — a więc bierz, co masz dziś, najmniej na jutro licz.

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO CHLOI

(I, 23)

Cóż unikasz mnie wciąż, by jak sarenka zbiec,
 Która w pustce, wśród gór, znaleźć chce matkę swą
 I ogarnia ją trwoga, gdy wiatr dmuchnie swawolnie w las?
 Czy wiew wiosny ze snu zbudzi ruchliwy liść,
 Czy pochwyci jej słuch w bujnej jeżyny krzaczach
 Bieg zielonej jaszczurki — już jej serce i nogi drżą.
 Ja nie jestem jak zwierz, tygrys łaknący krwi,
 Lub getulski, zły lew, coby cię zmiążdżyć chciał.
 Pocóż trzymasz się matki? Masz dla męża dojrzały wiek!

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO MECENASA

(II, 12)

Nie chciej, abym od lat ciągły z Numancją bój, Hannibala, jak głaz, albo punicką krwią czerwieniącą się toń morza opiewał ci z dźwiękiem lutni rozkosznych brzmień.

Nie pociąga mnie też dziki Lapidów wrzask, Hylej spity, ni ród Gei, co dłonią swą zmógł Herakles, gdy już świetny Saturna dwór przed napadem tej hordy drzał. Lepszy opis ty sam, w prozie, Meceno, dasz — walk, gdzie Cezar moc sił nieprzyjacielskich start; jak w triumfie przez Rzym królów opornych wiódł, obciążywszy im jarzmem kark.

Mnie uwielbiać dał los, z Muzy rozkazu, śpiew twojej pani i ócz twojej Licymniji blask jasny, jakoby gwiazd, serca wiernego dar, które miłość za miłość śle...

Hej! jak nóżką, by wlot mknęła, gdy poszła w tan, jak był miły jej żart, jaki uroczy wdzięk, gdy podaniem swych rąk w dziewcząt wstąpiła chór, wystrojony na Diany dzień.

Czy za całybyś dał Achemenesa skarb, za niezmierny zbiór żniw z Frygji mygdońskich pól, za nabity po dach złotem Arabji dom — twej Licymniji prześliczny włos?...
 Za tę chwilę, gdy gnie szyję ku ustom twym, albo wzbrania ci lic, gdy pocałować chcesz, wołając, abys bez prośb porwał całusa sam, — a niekiedy go kradnie wpierw.

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO WIPSANJUSZA AGRYPY

(I, 6)

Bohaterze, coś wojsk zastęp do zwycięstw wiódł drogą łądów i mórz, — twój i żołnierza trud, wszystko chwale najaw, w pieśni epicznej nam chyba Warjusz obwieści sam.

Mnie, Agrypo, brak sił rzeczy opiewać te: czy Achilla to gniew płodny w następstwa zle, czy jak Odys, ten frant, włóczy przez morza prom, czy zbrodniczy Pelopsa dom.

Bo za słaby mój lot; górnych nie znosi stref; Muza wzbrania mi wręcz nucić o wojnach śpiew, bym przez wątrość mych pień ujmę nie zrobił ci, lub przestawnej Cezara czeći.

Marsa w stali, gdzie blysk gromu ślepiący drga; Merjona, gdy w bój, kurzem szerniała, gna, lub Tydide, gdy śmie wzniesić i na bogów cios — kto wysławiać ma godny głos?

Biesiad wolę ja gwar, dziewcząt na chłopców złość, gdzie paznokcie — to broń; tępa, lecz sroga dość. Czy się kocham, czy nie, lubię pustoty kram; lekką tylko piosenkę znam.

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO SAMEGO SIEBIE

(I, 34)

Wielbiciel skąpy i opieszaly bóstw, słuchając złych szalonej mądrości rad, błądziłem — ale teraz muszę żagle me zwinąć i opuszczoną nawracać drogą. Jowisz sam ostrzegł mnie; on, co przecina błyskiem opony chmur, przez czyste niebo gnał niedawno grzmiący swój zaprzęg i wóz skrzydlaty. I wtedy skał posady i fale wód, i wtedy Styks, i straszna Tenaru głab, i na zachodzie szczyt Atlasu drżały — bo zdoła wyżyny niżem uczynić Bóg. Obala dumną moc; najaw z ukrycia wznosi. Fortuna drwiąc koronę tu ze zgrzytem z czoła zrywa i śmiejąc się — tam nakłada.

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO SAMEGO SIEBIE

(III, 30)

Wzniosłem pomnik, co moc trwalszą ma niżli śpiż; sięga wyżej niż gród królów, piramid szczyt; nie rozgryzie go deszcz, ani gwałtowny wiatr nie potrafi go zmieść, ni nieskończony lat potok zetrzeć na proch, ani wypadków bieg. Nie zaginę docna! wielka część myśli mych nie zapadnie się w grób. Poprzez pokoleń rząd wzrośnie kwitnąc ma cześć, póki na zamek nasz będzie Pontifeks wraz z cichą Westalką iść... I rozsławi mnie świat: tam gdzie Aufidu prąd dziko szumi wśród skał, gdzie w pozbawionym wód kraju wiosek i ról ongi panował Daun — tam z niziny się wzbił ten, co eolski śpiew pierwszy zgodził ze słów dźwiękiem italskim. Bierz dumnie zasług twych znak, wawrzyń delficki spleć, Melpomeno, i mnie uwieńcz łaskawie skroń!

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO RZYMSKIEGO PAŃSTWA

(I, 14)

Statku! Niesie cię znów burza na morską toń? Dokąd dążysz? Co sił wnet do przystani śpiesz! Czy nie widzisz twych słabych i bez wiosel, bezbronnych burt?

Patrz! Już strzaskał twój maszt nagły orkanu cios! Jęczą reje! Bez lin ledwie wytrzyma tram groźny, coraz silniejszy napór dzikich, spiętrzonych fal.

Twoje żagle to strzęp. Jakież ci został bóg, co wysłuchałby chciał twych rozpaczliwych skarg? Choć od sosny pontyjskiej, dumnej córy prastarych puszczy chcesz pochodzić, czy moc zyskasz przez nazwę, ród? Żeglarzowi twój ster barwny nie płoszy trosk! Strzeż się, jeśli, okręćcie, nie chcesz wichrom na pastwę pójść!...

Ty, coś dawniej mi był trwogą i zgrozą dni, a dziś sprawiasz mi ból, pełen tęsknoty lęk: stroń od fal, co szaleją wokół Cyklad błyszczących skał!

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO ALBJUSZA TIBULLA

(I, 33)

Niech nie martwi cię zbyt srogiej Glicery chłód, mój Albjusz, i raz przestań się topić w łzach, głosząc w pieśniach swych żal, że wiarołomną ci jakiś młodszy z przed nosa wziął.

Patrz! Lykoris, ten kwiat, dziewczę tak lubych kras, o Cyrusie wciąż śni; Cyrus Foloj chce, co za dudka go ma. Przecieżbys w stadla sprzął zgodne — wilki z sarnami wpierw,

Nim Foloe na łup pójdzie poczwary tej. Wenus cieszy się z psot, lubi przez gorzki żart, co przeciwnie jest wręcz, ciałem i duchem swym nagle w jarzmo spiżowe skuć.

Nawet ja, choć mnie los lepszą miłością chciał darzyć, wplotłem się sam w wyzwoleńcy sieć; tej Mirlali, co wre dziko jak Adrji toń, gdy uderza w Kalabrji brzeg.

Tłum. Dr. T. Węclewski.

WIERSZ DO TALJARCHA

(I, 9)

Patrz, jak się wznosi w śnieg otulony szczyt Sorakte! Las strudzony nie zdoła już okieści dźwignąć, a potoki lodem spętane zakrzepły w biegu. Precz wypędź zimno! Drzewa do ognia wciąż dokładaj sporo i, nie żałując, chciej dolewać wina, Taljarchu, czteroletniego z sabińskiej konwi.

A resztę zdaj na bogi. Gdy skina, wnet uciszą wichry, ponad topielą móżdżek toczące bój, i nie drgnie wtedy ani listeczek cyprysów, klonów... Co jutro będzie, o to nie szukaj trosk; za zysk poczytuj każdy od losu dzień. W twej wiosnie życia nie pogardzaj szczęściem miłości, ni też tańcami.

Bo włos zbieleje wcześniej, a z biegiem lat wesołość minie. Z młodych korzystaj dni! Graj w piłkę, ćwicz i wieczorami śpiesz na wybraną godzinę schadzki. A jeśli zdradzi tobie rozkoszny śmiech dziewczeczkę, skrytą w jakiś najgłębszy kąć — miłości zastaw z jej ramienia chwytaj, lub z palca, co w pół się wzbrania.

Tłum. Dr. T. Węclewski.

EPODA SZESNASTA: DO RZYMIAN

Drugie już pokolenie niszczy w walkach domowych i z rąk swych własnych synów Rzym upada w gruz... Ten, którego pokonać sąsiedni nie mogli Marsowie, ni groźnych wojsk Porseny, księcia Tusków moc, ni Kapua zawistna, ni Spartak w boju zawzięty, ni zdradę wciąż knujący Allobrogów lud, ani dzika Germanja błękitnooką młodzieżą, ni też przez ojców naszych klęty Hannibal: ten gubimy dziś my, wyrodnej krwi pokolenie, i mieszkać będzie znów w tej ziemi dziki zwierz. Ach, barbarzyńca wtędy swój sztandar wzniesie na zgłiszczach i zagrzmie dźwiękiem podków jego koni

Rzym, z Kwiryna popioły, przed wiatrem i słońcem ukryte — o zgrozo! — on wymiecie, szydząc, z grobu precz!... — «Cóż zostaje więc nam, by odwrócić grożące nieszczęście?» — spytacie się tak wszyscy, lub choć lepsi z was. — Ha! to przyjmijcie tę radę.

Jak niegdyś mieszkańce Focci z przekleństwem porzucili swój ojczysty kraj; jak zostawili pola, ogniska domowe, świątynie drapieżnym wilkom, dzikom, by mieszkały w nich, tak uciekajmy też, gdzie tylko nas nogi poniosą, gdzie nas powiedzie morzem jakikolwiek wiatr. Czy się zgadzacie? Czy zna kto lepszą radę? Nie zwlekać! Pomyślna wróżba woła na okręty nas. — Lecz przysięgniemy wprzód: gdy skały z morskiej głębin podniósłszy się, popłyną — wolno wrócić nam; tylko wtedy nam wolno skierować żagle do domu, gdy połok zwróci w górę wartkiej fali bieg, lub gdy do morza skoczy wyniosły grzbiet Apeninów! Gdy cudotwórcza miłość przez niezwykły żar sprawi ten dziw, że w stadło połączy się tygrys z jeleniem; w załoty zechce gołąb do jastrzębia pójść; skoro płowego lwa przestanie się bydło obawiać i, zbywszy kudłów, cap polubi słoną toni! — To i wszystko, co zwykle odcina powrót nęcący, zaprzysięgając, idźmy, albo cały gród, albo też lepsza część zaśleplego ludu; niewieściuch niech bez nadziei dalej strzeże swoich leż.

Wy, co mężami jesteście, wstrzymajcie skargi kobiece i wzdłuż wybrzeża Tusków pośpieszajcie wdali Morze czeka tam nas, co błonia szczęśliwe opływa, tam śpieszmy do tych błoni i bogatych wysp! Rola daje tam plon corocznie, choć pląg jej nie rusza, bez obcinania kwitnie winorośli pęd; ogrodnika tam nigdy oliwki kwiat nie zawiedzie i ciemne figi zdobią już macierzy pień. Z dębu wyźłobień tam miód wypływa, — a pluszcząc, krynica pośpieszną stopą wdół ze stoków skacze gór! Tam bez przymusu kozy przychodzą do wydojenia, wymiona pełne niosą trzody chętnie w dom; niedźwiedź nie mruczy groźnie wieczorem wkoło owczarni i żmija wzdęta złością nie podnosi lba. Więcej tam jeszcze cudów podziwiać będziem szczęśliwi: ulewa nie zamula nigdy pól i łąk, ani w wyschniętej ziemi nie zwiednie pączek nasienia, bo deszcze albo skwar uśmierza bogów król. Nigdy tam Argonauci wód morskich sterem nie pruli i zalotnica z Kolchis nie zwróciła stóp; nie skierowali tam nigdy Sydońscy żeglarze swych żagli, ni srodze doświadczony Odyseja huf. Nie porywają tam bydła pomory i gwiazd nieszczęśliwych nielitościwy żar nie trawi trzody sił. Dla pokolenia zbożnego te stworzył Jowisz wybrzeża, gdy miedzią w gorszy zmienił dawny, złoty wiek, wiek spiżowy zaś w twardy, żelazny... Lecz z niego — ja wróżę — kto zbożny, będzie mógł ratować się i ujsć.

Tłum. Dr. T. Węclewski.

SATYRA VI Z KSIĘGI SATYR DRUGIEJ

Czy w imię dziadów twoich po ojcu i po matce, potężnych książąt, którzy mieli pod sobą ludne rzesze; lub może dlatego, Mecenasiu, że w żyłach twoich płynie stara i szlachetna krew Etrusków — czyż naprawdę miałbyś pogardliwie traktować ludzi podlejszego stanu? Więc i mnie, żem synem wyzwolenca? A przecież sam powiadasz, że nic nie znaczy, z jakiego ojca kto się rodzi, byleby był uczciwym człowiekiem. Dobrze chyba wiesz, Mecenasiu, że jeszcze przed panowaniem króla Serwjusza, przed rządami więc króla zrodzonego przez niewolnicę — już jednak i wtedy mieliśmy wielu zasłużonych i dzielnych, i pożytecznych ludzi, których pochodzenie było przecież całkiem nikkzemne. Oto naprzykład Lewin, potomek bohaterów, którzy ongi wygnali Tarkwinjusza Pysznego, Lewin, w którego żyłach płynie krew szlachetnego rodu Walerjuszów — ten Lewin przecież w powszechnej opinii mniej jest wart od złamanego szeląga, a opinja ta zazwyczaj jest głupia: uwielbia antenaty, podziwia zasługi dziadów, zaszczycza czią bezwartościowych ludzi i idzie za lada pogłoską. My, którzy tak bardzo przerastamy pospółstwo, hołdujące opinji, czyż mamy ulegać zwyczajom tego pospółstwa? Niech już tam motloch obdarza Lewina zaszczytami; niech odmawia szacunku Decjuszowi za to, że ten nie może się chlubić portretami dziadów i pradziadów; bezwzględny cenzor Apjusz niech już mi wyznaczy miejsce w niższej warstwie, jako żem nie szlachcic — odpowiem mu, że słusznie czyni, gdyż najspokojniej spędzić życie potrafię chyba że we własnej tylko skórze.

Niestety, jaśniejący rydwan Slawy jednakowo pociąga do siebie i wlecze za sobą szlachcica i prostaka. I cóż przyjdzie takiemu Tyljuszowi z tego, że uda mu się naprzykład odzyskać zpowrotem dawniej utracone oznaki wysokiego urzędu? POCO chce zostać trybunem? Ach, tylko po to, by w ludziach obudzić zazdrość, zazdrość, któraby w nich weale nie przyszła do głosu, jeżeliby cicho siedział w ustroniu. Ktokolwiek głupio chce na senatorską modłę sandały wysoko zasznurować czarną wstążką a płaszcz ozdobić szerokim purpurowym szlakiem — każdy taki posłysz o sobie: — «A cóż to za jeden? Kim był jego ojciec?» — To samo spotyka facetów, którzy zapadli na chorobę zniewieściałego Barusa; taki pan koniecznie chce uchodzić za pięknego; spaceruje tu i tam, a znajome panny wypytuje sam o siebie, czy ładną ma twarz i kształtne łydki, czy zęby równe i włosy gładkie? Tak samo głupio postępują i ci, co płaszcza się przed wyborcami i przyrzekają im, że się zatroszczą na urządzie o miasto i o kraj, o państwowe sprawy i o przybytki bogów: rozniecąją powszechną ciekawość i wszyscy dowiadują się o ich pochodzenie i czy przypadkiem nie są z nieprawego łoża. — «Jakto? ten syn niewolnika Syrusa lub Damy, ten wyzwoleńca ma czelność domagać się urzędu ludowego trybuna? będzie miał prawo Rzymianina skazać na śmierć przez strącenie z Tarpejskiej skały? wolnego obywatela oddać na pastwę oprawcy?» — «A przecież Nowjusz — odpowie taki poszukiwacz dostojenstw — a przecież Nowjusz, aczkolwiek wysoki urzędnik, stoi o cały stopień niżej ode mnie; toż on dopiero ten, czem był mój ojciec: wyzwoleniec!» — «Aha! więc to dlatego myślisz o sobie, żeś równie wielki jak Paweł, żeś wspaniały jak Messala?» — Tak czy inaczej, pyszałek zawsze będzie się darł wniebogłose i zawsze ściągnie na siebie powszechną uwagę; przekrzyczy turkot dwustu furmanek na targu; przekrzyczy lament trzech pogrzebowych konduktów; trąby zagłuszy i rogi...

Teraz opowiem o sobie, chociażem syn wyzwolenca; wszyscy mi dokuczają, że mój ojciec był wyzwoleniec; nie to, że jestem twoim, Mecenasiu, przyjacielem; nie to, że byłem wojskowym trybunem i dowodziłem legjonem... Zresztą są to rzeczy nierówne; może i ma rację ten, kto mi wytyka zbyt wysokie stanowisko, które zajmowałem w wojsku — ale zgola nie będzie miał racji, jeżeli mi wytknie twoją przyjaźń, gdyż ty, Mecenasiu, dopuszczasz do siebie tylko ludzi pewnych i szczerych; jesteś ostrożny w dobieraniu przyjaciół. Nie będę się pysznił z tego, że szczęśliwy przypadek połączył nas w przyjaźni, Mecenasiu; nie był to przecież żaden przypadek; Wergili, ów dobry Wergili, a wkrótce po nim i Warjusz — oni to opowiedzieli tobie, Mecenasiu, o mnie; niedługo potem zostałem tobie przedstawiony; stremowałem się przy tem jak dzieciak, całkiem straciłem mowę i mało co powiedziałem o sobie; ale przecież nie chwaliłem się, jakobyhym był z szlacheckiej rodziny; jakobyhym zamłodu objeżdżał na wspaniałym rumaku rozległe włości — mówiłem o sobie tylko prawdę. Powiedziałeś wtedy do mnie, Mecenasiu, kilka tylko słów, jak to ty zawsze; odszedłem, a po trzech kwartałach wezwałeś mnie i zaliczyłeś do bliższych przyjaciół. Jestem, Mecenasiu, wyjątkowo ci wdzięczny za życzliwość; wiem przecież, jak dobrze znasz się na ludziach, jak bardzo w nich cenisz prawość i szczerłość, jak mało zważasz na pochodzenie. Ja zresztą należę do ludzi całkiem porządných; charakter mój tylko w szczegółach jest wadliwy; coś podobnego i na czem innym możemy zaobserwować, naprzykład na kształtnem skądinąd ciele: widzimy czasem porozrzućcane tu i tam znamiona, ale całość niemniej przedstawia się dodatnio. Nikt nie ma prawa zarzucić mi, że jestem skąpy, niegodziwy, że jestem złych obyczajów; nie chwalać się, powiem, że jestem całkiem uczciwy, że zasługuję na przyjaźń — jest to zasługa mego ojca.

Mój ojciec, ubogi rolnik na małym zagonie, uchronił mnie od uczęszczania do szkółki miejscowego bakalarza Flawjusza, od obcowania z dziećmi zarozumiałych podoficerów; mój ojciec nie chciał, bym tak jak one biegał do szkółki z tabliczką do pisania i z książkami w torbie uczniowskiej, bym po trzech kwartałach takiej nauki niósł bakalarzowi zapłatę za nią; odważył się mój ojciec syna swego po naukę aż do Rzymu zawieźć; zatroszczył się o to, bym otrzymał wykształcenie takie, jak synowie ekwitów i senatorów. Kto wówczas widział, jak strojnie byłem przyodziany, jak słudzy mi towarzyszyli w tłumem mieście, każdy pomyślałby z pewnością, że dziedziczne posiadłości umożliwiły mi ten tryb życia. Ojciec mój, troskliwy i czuły

opiekun, sam osobiście obszedł w mej sprawie wszystkich moich nauczycieli; co więcej, pilnował mnie, bym nie stracił swojej skromności, która przecież jest pierwszą ozdobą cnotliwego człowieka; uchronił mnie również przed podłą rozpustą. Zarazem, jeźelibym w przyszłości miał pobierać małą tylko pensyjkę, jeźelibym miał zostać dozorcą, lub, jak mój ojciec, komornikiem; nie bał się przecież ojculek, że ktoś mu zarzuci, jakoby nie dbał o syna — co do mnie, to i jabyim nie wziął mu tego za złe; należy się ojcu ode mnie dozgonna wdzięczność i duże uznanie; jak długo będę przy zdrowych zmysłach — zawsze będę się cieszył, że właśnie takiego ojca miałem, i nie będę zasłaniał się kłamstwem i nie będę podle wyrzekał się jego, jak to często daje się widzieć u ludzi, którzy się wstydzą własnych rodziców, że to nie byli z możnej szlachty! Moje myśli i uczucia jakżeż daleko odbiegają od myśli i uczuć podobnych osobników! A jeźeliby prawa natury zrządziły, żebyśmy po dojściu do pewnego wieku odnowa zaczęli przeżywać minione życie i dowoli, do własnej ambicji wybrali sobie rodziców, to dałbym każdemu, niech wybierze sobie, kogo chce — jabyim pozostał przy własnych, nie szukałbym możnych, nie pragnąłbym wcale dostojników, ani senatorów; w opinii tłumu zyskałbym miano głupca, ale ty, Mecenasiu, tybys zrozumiał, że mam słuszność, że dobrze postępuję, unikając niezwykłych dla mnie i kłopotliwych dostojęństw. Pozostając przy własnym pochodzeniu, będę wolny od obowiązku dorabiania się fortuny, nie będę krępowany rozległością towarzyskich stosunków, nie będę musiał dbać o pacholków w podróży — przecież i samopas mogę udać się do innego miasta lub na wieś; nie będę musiał karmić ani licznej służby, ani wierzchowców, ani oglądać się na okazały powóz. Tak jak jestem — wolno mi jechać na byle jakim mule; mogę w ten sposób wyruszyć aż na krańce Italji; mogę się trząść na grzbiecie zwierzęcia i obić mu boki jukami, i nikt mi nie powie, że jestem skąpy. Inaczej musi poczynać sobie taki naprzykład Tyljusz; jest pretorem; jeźeli pokaże się na tyburtyńskim gościńcu, mając przy boku tylko pięciu pacholków z podróżnym sprzętem i z dzbanami wina — już jest za mało okazały! Jestem mniej skrupowany, niż taki i inny najdosjniejszy senator!... Cokolwiek strzeli mi do głowy — wyruszam samopas, wypytam na targu o cenę pieczywa, jarzyny, zajrzę do cyrku, do skoczków; łażę wieczorem po rynku, słucham gadulstwa wróżbiarzy, a potem wracam do domu. Tutaj czeka na mnie kolacja — trzech chłopców mnie obsługuje; stół z białego kamienia i taca na stole, a na niej szczypiórek i groch, i racuszki, dwa dzbanki z winem i kufel, i kubek gliniany, ot taki sobie, prosty, kampański wyrób. Potem kładę się spać i nic mnie nie trapi, nie zmusza, bym zerwał się ze snu o świecie i pędził na Forum pod posąg Marsjasza, gdzie rządzi się Nowjusz, lichwiarz o twarzy oblesnej... Sypiam bezmała do południa; gdy wstanę — łażę sobie, coś czytam, coś piszę, snuję w milczeniu przyjemne wrażenia, masuję sobie ciało oliwą — ale nie taką, jak skapiradło Notta, nie od palenia w lampkach... Potem, zmęczony słonecznym upałem, znykam przed gwałtownym skwarem i idę do kąpieli, obiad jadam skromny; tyle tylko, żeby dzień przetrwać nie o próżnym żołądku; w domu odpoczywam.

Takie oto jest życie człowieka wolnego od marnej i dokuczliwej urzędniczej ambicji; w tem życiu pocieszam się myślą, że przyjemniej spędzam czas, niż jeźlibym od dziada, od stryja, od ojca odziedziczył senatorskie dostojęstwa wraz z ich obowiązkami.

Tłum. M. St. Poptawski.

ALBIUS TIBULLUS

(54—19 przed Chr.)

ELEGJA Z KSIĘGI II DO DELJI

Dolej wina i zaley niem cierpienia nowe;
 Niech mi jak z trudów sen powieki sklei —
 Zostawcie we śnie lubym rozmarzoną głowę;
 Chceć śnić o miłości, skorom w zlej kolei!

Pilna przydana jest straż mojej ukochanej
I drzwi warownym zamkiem opatrzone.
Drzwi pana nieczulego... Niech z fali wezbranej
Deszcz, niech gromy z niebios tłuką w was rzucone!
Chyba się otworzycie? Lecz dla mnie jedynie...
Zamiary scichną... okręca się skrycie...
Darujcie... Niech ta klątwa na mą głowę spłyniel
Przebaczcie, proszę! Ach, wy przebaczycie:
Przecież jeszcze pomnicie moje do was modły!
Żem wieńcem z kwiatów zdołał wasze ramy!
Deljo! oszukuj zręcznie stróżów orszak podły:
Odważnym pomoc da Wenera sama.
Ona wie dzie młodzińca przez nieznanne progi;
Ona uczy dziewczynę zręcznie drzwi otwierać,
Ona uczy, jak w miękkie łóżko wstawiać nogi,
Ona uczy, jak cicho po ziemi przebierać...
Ona zręcznych przy mężu znaków poznać cele,
I ukryć myśli w umówione wyrazy...
Lecz tych uczy, co czynni, co kochają się śmieie;
Których ani cichość, ani ponure obrazy
Nocy nie trwożą... Strzeże, by zbójca zbrojony
Nie ranił, by nie chciał płacy za ubiór wzięty.
Kogo miłość ożywia, w obce pójdzie strony
Bez żadnych obaw, bezpieczny i święty;
Nic mi chłód nie zaszkodzi, co się w nocy sroży,
Ani deszcz, choć z chmury kropli zleje roje;
Niczem trudy, gdy Delja drzwi swoje otworzy
I na odgłos pukania imię szepnie moje...
Służący czy służebna, która wyjdiesz do mnie,
Zgaś lampkę... swoje sprawy miłość kryje rada;
Nie pytaj mnie o imię, stój cicho i skromnie,
A blask pochodni niech na mnie nie pada...
A gdyby mnie kto spostrzegł, niech to chowa skrycie,
Niech wzywa bogów, niech wypiera się zawzięcie...
Bo gaduła poczuje z krwi biorącą życie
I z burzliwego morza Wenerę wstającą!
A mąż mu nie da wiary, jako mi prawdziwa
I czarnoksięska wróżka zaręczyła:
Widziałem ją, jak gwiazdy z nieba wdół zwołuje,
Jak zakłębieniem zmienia rzeki bieg zawilej,
Czarem rozdwa ją ziemię, zmarłych tłum wywodzi,
Z ognisk święconych kości przywołuje...
Na głos jej rój podziemnych duchów tłumnie schodzi,
A pokropiony mlekiem, śpiesznie ustępuje...
Gdy zechce, smutne ściemni niebo dookoła;
Gdy zechce, śniegi w lecie zwabi mnogie;
Ona tylko Medei odnalazła jadowite zioła;
Ją tylko liżą psy Hekaty srogie...
Dała mi swoje czary: siła ich uwiedziel
Trzykrotnie je wyśpiewaj; trzykroć spluń w śpiewaniu:
Mąż twój nie wierzy innym; nikt mu nie dowiedzie,
Chociażby nas zobaczył nawet sam w posłaniu!
Innych chłopców unikaj, bo zaraz spostrzeże:
I tylko na mnie dowód wszelki będzie mu za mały!
Mam wyznać? Wróżka twierdzi, iż czarem odbierze,
Iż zielem zniszczy wszystkie me zapaly.

Stałem wśród pochodni i w pogodnej nocy
 Podziemnych bóstw ofiara oltarz krwią zmasała;
 Nie żeby miłość zniszczyć! o wzajemność z mocy
 Całej błagałem; żeby nadal trwała!
 Z żelaza byłoby musiał, kto mogąc być twoim,
 Głupioby poszedł na polowanie za zdobyczą!
 Niech pędzi barbarzyńców, których mężnie pobili
 Niech jego wojska wzięty kraj dziedziczą;
 Niech cały srebrem kryty, niech cały i w złocie,
 Niechaj szybkiego rumaka dosiada!
 Ja wolę, Deljo moja, woly przy tobie w pocie
 Połączać jarzmem; na górach paść stada.
 Jeśli ciebie w mych rękach los mi mieć pozwoli,
 Na gołej ziemi niechaj mię sen chwytą!
 Czemu łóż purpurowe bez wzajemnej woli,
 Gdy opłakana noc znowu zawita?
 Ani pierzyna, ani makata tkana w piękne drzewa,
 Ani strunyka szmer sen miły na oczy wlewał
 Czyż ja zgwałciłem świętą moc Wenery w mowie?
 Czyż teraz język mój ponosi karę?
 Czy przyjsz bezbożny chciałem tam, gdzie uczczeni są bogowie?
 Czy chciałem zabrać wieńce dane na ofiarę?
 Jeślim winny — upadnę sam chętnie w świątyni
 I z progiem poświęconym złączę usta moje!
 Czołganie się na klęczkach twarz mi zarumieni,
 Uderzę głową o święte podwoje!
 Ty, dowcipny szyderco mej smutnej niedoli!
 Strzeż się: nie jeden bóg ci zasrożeje!
 Nieraz taki, co z miłości młodych drwił dowoli,
 Zgiął kark w Wenery jarzmie, gdy zsiwieje!
 On drżącym dzisiaj głosem nuci słodkie pęta
 I ręką trefi włos zbielalej głowy...
 Nie wstydzi się przy drzwiach wystawać, ni lube dziewczęta
 Na Forum bawić troskliwemi słowy!
 Dziś chłopcy koło niego, dziś się młodzież wije,
 A każdy w tloku w starcze łono pluje...
 Oszczędz mnie, Wenero! Do ciebie moje serce bije;
 Pocóż twój gniew własne twe żniwa marnuje?

Tłum. J. M. (Wrocław 1839).

PROPERCJUSZ

(49—15 przed Chr.)

KSIFGA I, ELEGJA 2: DO CYNTJI

Poco, luba, włos trefić i ozdabiać skronie?
 Co znaczą drogie szaty na śnieżystem łonie?
 Poco wonią Orontu zbyt kować bez miary?
 Swoje wdzięki zalecać obcemi towary?
 Zniżyć powab natury przez kupną ozdobę
 I na blasku zwodzonym swą krzywdzić osobę?
 Wierz mi, żadna cię sztuka w piękność nie wzbogaci;
 Nagi Amor nie lubi wymyślnej postaci.
 Patrz, jak barwy rozliczne ziemia wyprowadza,
 Jak bluszcz, im zaniedbańszy, śmiglejsię rozsadza;

Jeżówka w pustych grotach bujniejsza powstaje,
 Błędny strumyk najlepiej swe drogi poznaje;
 Brzegi same się zdobią w malowne gładziki,
 Żadną sztuką śpiewniejsze nie będą słowiki.
 Hilaira i Febe nie samym ubiorem
 Potrafiły zachwycić Polluksa z Kastorem;
 Owej niegdyś z Idasem sprzeczki Apollina
 Jest w powabach Marpesy istotna przyczyna;
 Nie czczemi Hipodamja podbiła zalety
 Serce Pelopa, gdy z nią odjeżdżał od mety:
 Twarz jej, od pereł wolna, nie wydała skazy:
 Takie właśnie Apelles malował obrazy.
 Tych kobiet nie nęciły miłosne podboje,
 Bo źródłem ich piękności wstydlivość, nie stroje.
 Tym wzorom nie ustąpi i twoja osoba:
 Dziewczę jest piękne, gdy się jednemu spodoba.
 Ty zwłaszcza, z którą Febus i śpiewa, i marzy,
 Ty, którą Kalliope chętnie lutnią darzy;
 Tobie słodką bogowie wymowę nadali,
 Wszystko, co Wenus lubi, co Minerwa chwali:
 Ty będziesz mego życia najmiłszą osłodą,
 Żebyś tylko wzgardziła próżnością i modą!

Tłum. Szymon Baranowski.

KS. I, EL. 15: DO CYNTJI

Już częste twej plochości miewałem przykłady,
 Ale się tej ostatniej nie spodziewał zdrady!
 Patrz, jaką mi niedolą zagraża los srogi;
 Tyś jednak obojętna na gorycz mej twógi!
 Znowu splatasz warkocze, jak splatałaś wczora,
 Znow od rana układasz lice do wieczora,
 Niemniej wschodnie klejnoty zawieszasz u lona,
 Jak piękna dla małżonka czyni narzeczona.
 Nie w ten sposób Kalipso Odysa utratę
 Na bezludnem wybrzeżu płakała przed laty!
 Smutna, nieuczesana, siedziała dni wiele,
 Mnogie skargi rzucając na głuche topiele;
 I chociaż już nie miała nadziei spotkania,
 Pamięć smutna została długiego kochania!
 Mści się męża na braciach Alfesybe tkliwa:
 Miłość jej i najdroższy krwi związek rozrywa!
 Nie taką Hipsypile powstała w swem łożu,
 Kiedy wiatry pędziły Jazona po morzu:
 Hipsypile już odtąd nie znała pieśczoły,
 Skoro Jazon jej serce dał na łup tęsknoty.
 Ewadne, płonąc z mężem na stosie, skołała:
 Gorliwości Greczynek zaszczytna tu chwala.
 Żadnaż z owych heroin twych czynów nie zmieni,
 Żebyś była przedmiotem nieśmiertelnych pienię?
 Cyntjo, przestań wznawiać złamane przysięgi
 I bogów zapomnianych nie wzywaj potęgi!
 Zuchwała! Ty nad moim użalisz się losem,
 Gdy cię kiedy straszliwym los uderzy ciosem!
 Pierwej rzeki do morza popłyną bez gwaru,
 A rok pójdzie koleją wstecz nego wymiaru,

Niż się z pod twej miłości me serce wyzwoli.
 Bądź dla mnie, jaką zechcesz, nie obcaś atoli.
 Ani myślę podłemi nazywać te oczy,
 Przez które fałsz tak często prawdę mi powłoczy.
 Przysięgałaś: Jeśli zdradę popelnisz szkaradną,
 Niech za dłoni dotknięciem te oczy wypadną:
 Jak więc możesz na słońce patrzeć, niegodziwa,
 I nie zadrżysz, gdy w sercu zbrodnia zamieszkiwa?
 Któż cię zmuszał w udanej bladeści omdlewać?
 Kto kazał lżą niechętną źrenice zalewać?
 Ja, ofiarą twą będąc, tak radzę młodzieży:
 «Niech żaden z was pochlebstwom kobiety nie wierzył!»

Tłum. Szymon Baranowski.

KS. II, EL. 5: DO CYNTJI

A więc prawda, że wszędzie o tobie już plotą,
 Że ty jawną twe imię osławiasz sromotą!
 Czyżem na to zasłużył? Poczekaj, zdrajczyni;
 I dla mnie zmienny wicher przysługę uczynił!
 Poszukam w niewiast gronie choć jednej kobiety,
 Która słynać zapragnie w pochwałach poety.
 Ta mnie oszczędzi — tobie nieznośną się stanie;
 Cyntjo! późno opłaczesz me długie kochanie!
 Teraz gniew świeży, teraz rozłączyć się pora:
 Gdy boleść minie — miłość do powrotu skora!
 Nie tak fale karpackie przed burzy oddechem,
 Nie z takim gnany obłok unyka pośpiechem,
 Jak niknie gniew kochanków na słóweczko tkliwe;
 Więc, gdy możesz, zrzuć z siebie jarzmo dolegliwe.
 Pierwszej nocy dopiero twe lica płacz zrosi:
 Lżejsze troski, gdy miłość cierpliwie je znosi.
 Lecz ty, przez słodkie prawa potężnej Junony,
 Szanuj zdrowie, powściągaj twój umysł wzburzony.
 Nie sam buhaj na wroga swem czołem naciera,
 I owca też dręczona napaści odpiera.
 Ja z ciebie, wiarołomna, nie chcę zdzierać szaty,
 Lub w gniewie wyłamywać drzwi twojej komnaty;
 Nie myślę, aby szarpać twych splotów ozdobę,
 Anibyś śmiały na twoją targnąć się osobę.
 Wieśniak tylko sposobien do takiego czynu,
 Który nigdy na głowie nie zaznał wawrzynu.
 Ja zaś napiszę, czego nie zgładzi nic w świecie:
 «Cyntja, wdziękiem potężna, lekkomyślna przecie».
 Wierzaj mi, lubo gardzisz ludzkimi pogłoski,
 Ten wiersz, Cyntjo, śmiertelnej nabawi cię troski.

Tłum. Szymon Baranowski.

KS. IV, EL. 29: DO CYNTJI

Gdy wczoraj podchmielony błądziłem po nocy,
 Bez jasnego rozumu i bez sług pomocy,
 Nagle mię zaskoczyła chłopczyków gromada:
 Strach zliczyć nie dozwolił; wnet mię rój obsiada,

Jedni wstrząsać pochodnie, wypróżniać kolczany,
 Inni na mnie zaczęli dobywać kajdany.
 Chłopey drobni i nadzy; jeden wśród zapędu,
 Rozpustniejszy, zawołał: «Łapać go bez względu!
 To on wszak nam wydany jest z rozkazu Cyntji!»
 Rzekł, i węzeł natychmiast poczułem na szyi.
 Drugi mnie każe pędzić na środek, a trzeci
 Mówi: «Alboż nas bierzesz za zwyczajne dzieci?
 Hultajul! Ona czeka, tęskniąc bezustanku,
 A ty obcych drzwi szukasz, niegodny kochanku!
 Gdy Cyntja rozplecie swych splotów zawoje
 I podniesie wzrok senny na przybycie twoje —
 Wtedy słodycz poczujesz — nie arabskiej woni,
 Lecz balsamu, co Amor wyrobił swą dłonią!
 Teraz puśćcie go, bracia; być wiernym przyrzeka;
 Oto właśnie dom widać, gdzie Cyntja nań czeka!»
 I płaszcz mi na ramiona rzuciwszy, znów rzekli:
 «Idź, po nocy siedź w domu!» To rzekłszy, uciekli.
 Gdy już wschodu różana rozwarła się brama,
 Chciałem spojrzeć, czy moja Cyntja w łóżku sama;
 Wchodzę, i samą w łożu postrzegam; zdrewniałem!
 Nigdy, nawet w szkartacie tak cudnej nie widziałem!
 Ona Weście prawila swe senne przygody,
 By nam obojgu jakiej nie sprawiła szkody.
 Tak cudna w snu objęciach zdawała się oku!
 Jakże wiele z natury ma piękność uroku!
 «Cóż cię tak rano — rzekła — prowadzi w me progi?
 Czy sądzisz, że jednakie przebiegamy drogi?
 Nie jestem tak powolna; na jednym przestanę,
 Gdy ty, albo kto inny jest wyższy nad zmianę.
 Jednak możesz na pościel spojrzeć bez obawy,
 Śladu nie pozostawił mój uścisk nieprawy.
 Żaden ruch gwałtowniejszy piersiami nie władnie,
 Skąd wezbranie rozkoszy poznałbyś sam snadnie».
 To rzekłszy, me całunki swą rączką odgania
 I, wsparta na sandałkach, wybiega z posłania.
 Tracąc miłość tak czystą przez mą podejrzliwość,
 Utraciłem zarazem i przyszłą szczęśliwość.

Tłum. Szymon Baranowski.

OWIDJUSZ (PUBLIUS OVIDIUS NASO)

(43 przed Chr. — 17 po Chr.)

KSIĘGI PRZEMIAN (METAMORPHOSEON LIBRI)

Wstęp

(Ww. 1—100)

W kształt nowy przemienione chcę opiewać ciała;
 Wiecznych bogów potęga tych zmian dokonała —
 Bóstwa natchną, bym teraz od początków świata
 Snuł bez przerwy pieśń cudów, aż po nasze lata.
 Nim było morze, ziemia i niebios sklepienie —
 Bezkształtną bryłą było całe przyrodzenie;

Chaosem zwało się; ogromny, nierozkładny
 Zaród wielkiego świata, martwy i bezładny;
 Zbiór nieudolnych istot, sprzecznych nasion plony.
 Podówczas wszechświat nie był słońcem oświetlony,
 Bogini nocy jasných rogów nie wznawiała,
 Brzemienna własnem życiem, jeszcze nie wisiała
 Ziemia w przestworzu niebios; ramiony swojemi
 Ocean nie otaczał morskich brzegów ziemi;
 Bezkształtne elementy jedno tworzą ciało,
 Lecz z wody nieprzeptynnej, z materji niestalej;
 Żywioty, w wiecznym mroku, w nieustannym sporze,
 Kształtów jeszcze nie mają; w jednym bowiem zbiorze
 Tkwił płomień z mrozem, susza z wilgocią walczyła,
 Ciężar przytłaczał lekkość, miękka — twarda bryła.
 Bóstwo i Moc szlachetna walkę rozstrzygnęły:
 Ziemię, niebo, ocean od siebie odcieły;
 Od atmosfery gęstej odszedł eter płynny.
 W wielkiej bryle chaosu Bóstwo dobroczynne
 Rozsierzdzone żywioty spaja zgodą ścisłą:
 Sklepienie nieba jasným blaskiem ognia trysło,
 A w przestworzach obrąło siedlisko najwyższe.
 Swą lotnością powietrze niebu jest najbliższe;
 Twarda ziemia, ciężarem własným przygnieciona,
 Ściąga co cięższe ciała do swojego łona;
 Płynny ocean zajął przeznaczone łoża.
 Gdy tak Stwórca — ktokolwiek z bogów nim być może —
 Urządził, gdy na części rozdzielił to brzemię,
 Natychmiast w postać kręgu ukształtował ziemię,
 Kazał rozlać się morzom, wiatrom wzdymać wały,
 Opasywać im kazał okręgu brzeg cały,
 Dał rozległe jeziora, stawy, źródła żywe;
 Rzeki z wyżyn płynące ujął w drogi krzywe;
 Rozlewa je po ziemi, lub do morza ciska,
 Dokąd pędzą, przez wąskie przebywszy łożyska;
 Zniża doliny i łąki stwarza szerokie,
 Las zielonością zdoła, wznosi skał opoki.
 Niebo dzieli na strefy: dwie po prawej stronie,
 Dwie po lewej, zaś piątą żywym ogniem płonie.
 Takoz rozdziela Bóstwo i padolu brzemię,
 Pod odmiennych pięć stref poddał całą ziemię:
 Średni pas skwar wyludnia, dwa w śniegach spoczęły,
 Dwa zaś mrozów i ciepła równe części wzięły.
 Nad ziemią atmosfera, tak od ognia cięższa,
 Jak cząstki wody są od cząstek ziemi lżejsze;
 W powietrze mgłę i dżdżyste chmury naprowadził,
 W powietrzu grzmot na postrach śmiertelnych osadził,
 Tam piorun łśni, tam wichry mrozi górne kraje —
 Lecz nie całe powietrze stwórca mu poddaje;
 Z trudem go opanował; żarem wiatry mogą
 Tylko w ścisłych granicach swoją pędzić drogą.
 Niemniej, ledwo że nawpół nie rozerwą świata:
 Tak niezgodne są. Leci Eur przez kraj Nobata,
 W krajach Jutrzni i w Persji swe rzędy rozszerza;
 Zefir słońcem na zachód rozgrzane wybrzeża
 Wziął w swoje panowanie, a Boreasz groźny
 Otrzymał zimną północ i kraj Scytów mroźny;

Natomiast ład daleki południowej ziemi
 Ulewami wciąż Auster oblewa częstemi.
 Wysoko w górze niebo rozpostarł wiszące,
 Lekkie, lotne, ziemskiego brudu niemające;
 Ledwo Bóg ład wprowadził w chaotyczną bryłę,
 Gdy gwiazdy, gdzie się dotąd w nawalnicy kryły,
 Zaczęły się roziskrzać na pogodnym niebie.
 Stwórca chce, by świat ziarno życia przyjął w siebie:
 Zaludnia stworzeniami bezkresne przestrzenie,
 Znaki bogów rzuca na niebne sklepienie,
 Skrzelistemi rybami wód głębię zaplenia,
 Przestworze ptactwem, zwierzem zapełnia się ziemia.
 Tylko świętej istoty brakło jeszcze ziemi,
 Co pojmuje myśl wzniosłą, co włada innemi:
 Człowiek powstał. Daje mu duszę boskiem technieniem
 Twórca wiecznego świata, Pan nad przyrodzeniem —
 Lub też ziemia, od nieba świeżo oddzielona,
 Pokrewnych sobie niebios kryjąca nasiona;
 Prometej grudę ziemi wodą z rzek rozstwarza,
 Człowieka lepi, kształtem bogów go obdarza.
 Ze zwierząt każde wzrok ku dołu swój spuszczało —
 Ludziom Prometej daje postawę wspaniałą
 I w niebo patrzeć każe, i do gwiazd sklepienia
 Pozwala mu zdumione kierować spojrzenia.
 Tak oto ziemia, bezkształtna pierwiej bryła,
 Przemieniona, gęsto się ludźmi zaludniła.
 Pierwszy złoty wiek nastał; nie przez bojaźń kary,
 Lecz z własnej chęci człowiek cnoty strzegł i wiary;
 Kar nie znał, ani trwogi; surowych nie czytał
 Ustaw w spiżu wyrzytych, ani się nie lękał
 Groźnych sędziów; ludzie byli bez nich bezpieczni.
 Łódź, co obce wybrzeża pragnie zwiedzać wiecznie,
 Nie zstąpiła do morza z swych lasów rodzinnych,
 A człowiek prócz ojczystych nie znał krajów innych.
 Grodów nie otaczano spadzistemi wały,
 Proste trąby, ni surmy zgięte nie zabrzmiały,
 Helmów i mieczy nie było: wszystkie narody,
 Bezpieczne, zażywały spokojnej swobody.

Apollin i Dafne

(Ks. I. ww. 443—568)

Pierwszą miłość Apolla do nadobnej Dafny
 Nie los ślepy rozniecił, lecz Amora grot trafny;
 Apollin, dumny zawsze z pokonania węża,
 Patrzy, jak mały Amor cięciwę natęża,
 «Cóż ci — rzecze — dziecino po tak trudnej broni?
 Łuk i strzały przystoją mojej tylko dłoni;
 Wrogom i potworom śmiertelne ciosy daję,
 Smoka, który swem cielskiem zaległ całe staję,
 Przemogłem; niezliczone utkwilem w nim strzały!
 Miłość wzniecaj; dorosłym nie zazdrość ich chwwały».
 Na to mu Amor: «Wszystkich ty zwyciężasz, Febie,
 Ale ja więcej mogę! ja zwyciężę ciebie:

Ile potęga twoja innych moc przewyższa —
 Tyle od mojej chwały chwała twoja niższa! —
 Rzekł, lekko rusza skrzydłem, w górne leci kraje
 I w okamgnieniu na Parnasu szczytach staje.
 Dwie z kołczana wyjmując swe niechybne strzały:
 Jedna wznieca miłość, ostra i od złota błyszczy,
 Druga tępą, z ołowiu, ta, co miłość niszczy.
 Śpiesznie bożek swawolny cięciwę napina,
 Tym grotem przeszył Dafnę, tamtym Apollina:
 Feb miłością zapłonął, Dafne jej unika;
 Las dziewczynę ukrywa, gaj lub knieja dzika.
 Chyż, biegając za zwierzem, jak łowczyńi śmiała,
 Włos w nieładzie rozwiany przepaską związała,
 Dziewicza, jak Diana, jak Diana miła,
 Wstręt ma do mężczyzn: nie zna, ani poznać życzy
 Małżeństwa rozkoszy, ni kochania słodczy.
 Próżno Penej myśl zmienia swojego dziewczęcia,
 Próżno mówi: «Córko, chcę wnuków i zięcia!»
 Dafne ślubne za zbrodnię uważa ogniwa,
 Słucha ojca, twarz miłym rumieńcem okrywa,
 A na szyję Peneja zarzuca swe ręce:
 «Pozwól — rzecze — niech życie dziewictwu poświęcę,
 Jowisz tego nie wzbronil swej córce Dianie!»
 Nie, Dafne! Twoja prośba bez skutku zostanie,
 Bo choć Penej nie wzbrania swą ojcowską władzą,
 Twa uroda ślub taki spełnić ci przeszkadza...
 Widzi Apollin Dafnę, widzi ją i kocha,
 Pali go namiętność, zwodzi nadzieja płochą;
 Jako się słoma zajmie, kiedy nieostrożny
 Przy niej pochodnię swoją postawi podróżny,
 Tak Apollin miłosnym płomieniem goreje,
 A płomień ten podsyci zwodniczą nadzieję;
 Widzi, jak na ramiona włos w nieładzie spada:
 — Ileżby płochy kunszt mu więcej blasku nadał! —
 Oczy jej życiem lśnią i gwiazdom są podobne,
 Jak róży dzikiej kwiat widzi jej usta drobne,
 Które chce wiecznie widzieć; ramion linję, szyję...
 A najpiękniejsze, co dziewczica skromność kryje...
 Lecz Dafne, nad wiatr lżejsza, przed bogiem ucieka,
 Próżno Apollin na nią tak woła zdaleka:
 «Stój, dziewczyno! Czyż widzisz we mnie okrutnika?
 Gdy drżąca gołębica jastrzębia unika,
 Gdy przed wilkiem owca, przed lwem umyka łania,
 Umykają przed wrogiem. Ja pragnę kochania!
 Knieja, przed którą mkniesz, niedobrze ci jest znana,
 Uważaj! Cierniem sobie zadasz ciężką ranę.
 Jaż to, Dafne, przyczyną byłbym twej niedoli!
 Wolniej biegnij! Ja będę gonil cię powoli!
 Spójrz, twa uroda boga czarem swym uwiodła;
 Anim ja dziki góral, anim pastuch podły,
 Który pędzi swą trzodę przez gęstwinę ciemną;
 Nie znasz mnie i dlatego uciekasz przede mną.
 Sam Jowisz jest mi ojcem; mnie wznoszą ołtarze
 W Delfach, w Klaros, w Tenedos i w żywej Patarze;
 Znam przeszłe, bieżące i przyszłe zdarzenia;
 Ja z brzmieniem lutni harmonijne łączę pienia;

Grot mój zawsze jest groźny — lecz Amora strzała
 Sercu memu cios jeszcze pewniejszy zadała!
 Ode mnie ma początek lekarska nauka,
 Znam zioła; mej pomocy nikt próżno nie szuka.
 Ale ranę miłości któż uleczyć zdoła?
 Innym pomocne, dla mnie bez skutku są zioła!»
 Jeszcze mówił, lecz Dafne na prośby te głucha
 Pędzi, słów namiętnych Apolla nie słucha,
 Coraz piękniejsza: wiatr płaszczyk w biegu rozchyła,
 Czasem odrzuca, czasem jej łono spowija,
 Włos złoty rozpuszczony szybki ruch unosi,
 Lekkość dodaje wdzięku... Feba rozkosz kusi.
 Porzuca słowa i podstępne narzekania,
 Wciąż przyspiesza bieg, już dziewczynę dogania...
 Jak na otwartem polu chart zająca żenie,
 Goni swą zdobycz — zając szuka ocalenia,
 Chart już dogania, myśli, że chwycił zająca,
 Ale tylko nosem świeże ślady potraça;
 Zając, niepewny życia, zręcznie się wymyka,
 Otwartą ludząc paszczą swego przeciwnika —
 Tak lecieli. Apolla nadzieja schwyłtania,
 Dafnę zaś strach do biegu szybkiego nakłania;
 Bóg jednak, gdy mu żądza skrzydeł swych użyć,
 Coraz szybciej pędzi, już bliski swej zdobyczy,
 Już sięga — lecz go zwiódła nadzieja wadliwa:
 On tylko włos dziewczyny tchnieniem swem rozwiewa.
 Ona słabnie, już zbladła, a znużona biegiem,
 Tak woła, przystanąwszy nad Peneja brzegiem:
 «Jeśliś bóg — broń mię, ojcze, niech ulegnie zmianie
 Nieszczęsna ma uroda, niech życie ustanie,
 Jenó uchroni mnie, ojcze, przed prześladowaniem!»
 Ledwo usłyszała prośbę córki rzeka,
 Kształtne piersi dziewczyny już kora powleka,
 Włos w listowiu niknie, a ramiona w gałęzi,
 Nogi, dawniej tak lekkie, twarda ziemia więzi;
 Twarz zgubiła się w drzewku — lecz i w tej postaci
 Jeszcze dziewczęcego wdzięku Dafne wciąż nie traci;
 Apollin do niej zawsze namiętnością płonie,
 Jej serca bicie czuje nawet w drzewa łonie:
 Obejmuje gałęzie dla pocałowania,
 Ale drzewko i teraz pieszczot mu zabrania.
 Rzecz Bóg: «Oto losu woła niecofnioną
 Już nie mogę, dziewczyno, pojąć cię za żonę!
 Będziesz drzewem mojem; twemi liśćmi uwienczę
 Kołczan, łuk i lirę, i skronie młodzieńcze.
 Wawrzynie! Będziesz wodzów latyńskich nagrodą,
 Gdy ich do Kapitolu zwycięstwa przywiodą!
 Będziesz siedzib Augusta najświetniejszą strażą:
 Z liśćmi dębu twoje liście się skojarzą!
 A jak włos mój nie zna starczej czasu zawiści,
 Tak nigdy nie uwiednie świeżość twoich liści!»
 Umilkł Apollin, w wawrzyn Dafne się przemienia,
 Gałązkami porusza na znak przebaczenia.

Tłum. Br. Kiciński.

Popraw. M. St. Popławski.

PLINJUSZ STARSZY [GAIUS PLINIUS SECUNDUS]

(24—79 po Chr.)

HISTORIA NATURALNA

(Ks. II. r. 2.)

Że kształt świata na obraz doskonałej kuli okrągły jest, nietylko nazwa (orbis) i powszechna na to zgoda ludów, kulą go zowiących, lecz i dowody samej ucza; albowiem figura taka nietylko we wszystkich swoich częściach nachyla się ku sobie, sama się unosić musi, sama się zamyka i wstrzymuje, nie potrzebując żadnych spojzeń i nie znając ani końca, ani też początku którejkolwiek z części swoich; nietylko kształt takowy do ruchu, w którym, jak się to wkrótce okaże, obracać się raz po raz musi, jest najwłaściwszy, ale przekonywa nas o tem sam wzrok; gdzie tylko bowiem spojrzymy, wszędzie widzimy świat sklepionym, wszędzie się w środku niego znajdziemy, coby się w innym jego kształcie zdarzyć nie mogło.

Że tedy w kształcie takowym świat w wiecznym, w ustawicznym biegu z niewypowiedzianą chyżością, w przeciągu dwudziestu czterech godzin, obraca się, nie zostawia żadnej wątpliwości wschód i zachód słońca. Czy atoli z nieustannego tak wielkiej masy obracania się wkoło niezmierny, a stąd przymiot ucha przechodzący, dźwięk powstaje, nie śmiałbym zaiste twierdzić, równie jak i tego, że dźwięk obiegających i swoje koła toczących gwiazd jest słodką i nie do uwierzenia przyjemną harmonją. Dla nas, na nim żyjących, rusza się świat dzień i noc w milczeniu. Że na nim niezliczone obrazy zwierząt i wszelkich rzeczy są wytłoczone i że zatem nie jest, jak to na jajach ptaków spostrzegamy, ciałem śliskiem, z przyczyny gładkości, co sławni nawet pisarze twierdzili, okazują dowody z rzeczy: albowiem ze spadających stamtąd, po większej części pomieszanych nasion wszechrzeczy rodzą się, zwłaszcza w morzu, potworne kształty. Nadto dowodzi tego wzrok, postrzegamy bowiem w jaśniejszym owym, nad wierzchołkiem głowy naszej unoszącym się okręgu, tu obraz wozu, tam niedźwiedzia, indziej byka, ówdzie znowu kształt litery. — — — Ziemia, która na świata biegunie wisi i utrzymuje równowagę żywiołu ją unoszącego, jest najniższą i środkową częścią wszytkiego; tak ona, gdy wszystko wkoło niej się obraca, wszystko ją opasuje i wszystko się na niej wspiera, jest sama nieporuszona. Pomiędzy nią a niebem wisi na tem samym powietrzu siedm pewnymi przedziałami odłączonych od siebie gwiazd, które z przyczyny biegu planetami zwiemy, acz żadne mniej od nich nie błakają się. W pośrodku nich dźwiga się słońce, najznakomitszej wielkości i potęgi; rządca nietylko czasów, krajów, ale nawet samych gwiazd i nieba. Rozważając jego dzieła, wierzyć się godzi, że jest duszą, albo raczej umysłem całego świata, pierwszym rządcą przyrodzenia, że jest bóstwem. Ono dostarcza rzeczom światła i rozprasza ciemności; ono inne gwiazdy kryje, oświeca; ono oznacza pory roku i odmładniający się zawsze według praw przyrodzenia rok; ono rozpędza niepogody i wypogadza także chmury ludzkiego umysłu; ono pożyczca także swojego światła innym gwiazdom. Jest świetne, przepiękne, na wszystko spogląda i wszystko także słyszy, jak księżę poetów Homer o niem w jednym miejscu opiewa.

Przeto też badania obrazu i kształtu boga poczytuję za słabość umysłu ludzkiego. Czemkolwiek jest bóg, jeżeli tylko jest inny, i w którejkolwiek części, jest on cały zmysłem, cały wzrokiem, cały słuchem, cały duszą, cały umysłem, cały sobą. Wierzyć zaś w niezliczonych, a nawet z enót i zbrodni ludzkich, jako to: wstydu, zgody, nadziei, sławy, łagodności, wiary, tworzyć bogów, albo — jak się Demokrytowi podobalo — dwa szczególnie bóstwa karzące i nagradzające przypuszczać okazuje, większe jeszcze głupstwo. Ułomny i frasobliwy rodzaj ludzkości, pomnąc na swoją słabość, podzielił bóstwa na części, aby tym sposobem każdy tę część bóstwa najbardziej czcić mógł, której najwięcej potrzebuje. Przeto też znajdujemy u różnych narodów różne nazwiska i niepoliczone mnóstwo w nich bóstw; bo nawet piekło, choroby i morowe zarazy w rzędzie bóstw umieszczono, ponieważ w troskliwej bojaźni pragniemy je ubłagać. — — — Niektóre zaś narody mają za bogów pewne, a nawet plugawe zwierzęta i wiele innych rzeczy, które wstyd wymienić zabrania, i na śmierdzące potrawy

i tym podobne rzeczy przysięgają. Wierzyć zaś, że pomiędzy bogami istnieją małżeństwa, z których od tylu wieków nikt się nie urodził, że jedni z tych bogów są starzy i zawsze siwi, inni młodzieńcy i chłopcy, czarnego koloru, skrzydlaci, kulawi, z jaja wykluci, i naprzemian jeden dzień żywi, drugi — umarli, jest prawie dziecinnym głupstwem. Lecz przechodzi wszelką bezczelność wystawiać sobie pomiędzy nimi cudzołóstwa, kłótnie i nienawiści, a nawet bóstwa kradzieży i zbrodni. Bogiem jest śmiertelnikowi ten, który mu pomaga i to droga jest do wiecznej sławy. Tą szli celniejsi Rzymianie, nią i teraz niebiańskiem krokami dąży z potomstwem swoim największy po wszystkie wieki władca, Wespazjan August, podpora skolatanego państwa. To jest najdawniejszy zwyczaj okazywania dobrze zasłużonym wdzięczności, policzając ich między bogi. — — —

Wymyślili sobie przecież śmiertelnicy także pośrednie bóstwo, aby tym sposobem mniej jeszcze jasny o bogu był domysł. W całym bowiem świecie, we wszystkich miejscach i godzinach, wszystkich głosy samej tylko Fortuny wzywają; ona samą tylko wymieniają, ona oskarżają i winią, o niej myślą, ona chwala, ona samą tylko strofują i ze złorzeczeniami cześć jej oddają; wielu zaś poczytuje ją także za skrzydlatą i ślepa, niestała, plochą, zmienną, sprzyjającą niegodnym. Mówią, że wszystko od niej pochodzi, a w całej rachubie śmiertelników zysk i stratę na jej tylko karb kładą. Tak dalece jesteśmy podlegli losowi, że los sam za boga uważamy, skąd się okazuje, jak niepewną rzeczą jest, czy bóg jest lub nie. Inni, i to mniemanie odrzucając, przypisują swój los gwiazdom, pod którymi się rodzili; i wierzą, że bóg, przeznaczwszy raz los wszystkim przyszłym pokoleniom, o resztę się nie troszczy. Mniemanie to zaczyna się wkorzeniać, a uczeni, równie jak i nieokrzesane pospólstwo, bieżą za niem naoslep. Stąd poszły wróżenia z piorunów, przepowiadania wyroczeni, prorocтва wieszczków, a nawet, o czym i mówić nie warto, wyprowadzania pewnych znaczeń z kichania i potknięć w czasie wieszczania. Boski August za zły znak poczytał, gdy w dniu, w którym w rokосу wojskowym zaledwie nie upadł, obul obuwie nawspak. Pojedyncze te wypadki okazują, że śmiertelnicy niczego przewidzieć nie mogą; tylko to jest pewne, iż nic pewnego nie masz i że nie nędzniejszego i dumniejszego nad człowieka. Inne bowiem istoty mają pieczę tylko o pokarm, przestając na tem, co im dobroczynna natura dobrowolnie udziela: samo to już dobrodziejstwo, że o sławie, pieniądzech, dumie, a zwłaszcza o śmierci nie pomyślą, nad wszystkie przenosić należy.

Lecz z doświadczenia w życiu wierzyć wypada, że bogowie mają pieczę o rzeczach ludzkich; że kary za zbrodnie niekiedy przez bóstwo, tak wielkiem zatrudnieniem zajęte, odłożone, ale nigdy opuszczone być nie mogą; że nakoniec człowiek, jako najbliższa bóstwu istota, nie dlatego stworzony został, aby podłością obok zwierząt stał. W niedoskonałości zaś swojego przyrodzenia tę człowiek ma szczególną pociechę: że nawet bóg nie wszystko potrafi. Albowiem nie może sobie, chociażby i chciał, śmierci przeznaczyć, co najlepszego w takiej nędzy żywota człowiekowi udzielił; nie może obdarzyć wiecznością śmiertelnych, ani wskrzesić zmarłych, ni też sprawić, iżby ten, który żył, nie był żył; który godności piastował, nie był ich piastował, i nie ma żadnego prawa do przeszłości, prócz prawa zapomnienia; i — ażeby także żartobliwymi dowodami okazać, w czym nam bóstwo jest równe — nie może sprawić, ażeby dwa razy dziewięć uczyniło dwudziestu, i wiele tym podobnych rzeczy; z czego wyjaśnia się niewątpliwie potęga przyrodzenia, i ono jest tem, co bogiem zowiemy. Zboczenie to od rzeczy nie było zbyt cenne z przyczyny wznawianego często pytania o bogu.

Tłum. J. Łukaszewicz.

LUCJUSZ ANNEUSZ SENEKA

(um. w r. 65 po Chr.)

ŻYCIE SZCZĘŚLIWE (DE VITA BEATA)

I. Żyć szczęśliwie, bracie Galljonie, wszyscy pragną, ale nie mogą dojrzeć, z czego powstaje szczęśliwy żywot człowieka. Jakoż i w samej rzeczy nie jest tak łatwo dojsć życia szczęśliwego, a im skwapliwiej do niego dążysz, tem dalej od niego odejdiesz.

Jeśli kto zejdzie z prawej drogi, a na błędny tor wpadnie, to sama skwapliwość staje się przyczyną większego oddalenia od szczęścia. Przeto najprzód muszę tu przedstawić, czem jest szczęście, którego pragniemy; dopiero będę mógł drogę wskazać, którądybśmy do szczęścia jak najrychlej dotrzeć mogli; a tak zrozumiemy już na samej tej drodze, jeśli tylko nie będzie ona błędna, ile codziennych przeszkód zwyciężamy, a bliżej ku temu podjeżdżamy, do czego nas wrodzona chęćka ciągnie. Póki się jeszcze bez pewnego przewodnika tam i ówdzie błakamy, póki nadstawiamy uszu rozlicznym gwarom i głosom, które nas już tam, już ówdzie nęca, póty w błędzie marnie ścieramy nasze życie, które przecież i bez tego dosyć krótkie jest, choćbyśmy całe dnie i noce na szukaniu prawdy strawili. Musimy zatem zdecydowany powziąć sąd, dokąd i którądy mamy dążyć; musimy także obrać sobie przewodnika, dobrze świadomego drogi, w którą się puszczamy. Albowiem podróż do szczęścia wcale różna jest od innych wędrówek, i inaczej się odbywa. W innych, gdy dojdiesz do między, zapytasz się mieszkańców o wskazówki i nie zabłądzisz — tutaj natomiast ubity i utworowany gościniec najrychlej w błąd wprowadza. Przeto niczego się bardziej obawiać nie trzeba, jako iżbyśmy nie szli obyczajem bydła, za poprzedzającą trzodą, postępując nie tędy, kędy trzeba iść, ale którądy drudzy idą. Albowiem nic nie wprawia nas w większe błędy, jak jeżeli idziemy za trzodą i poczytujemy za lepsze to, na co inni przystają i za przewodników nam się narzucają. Nie żyjemy zaiste wedle rozumu, ale wedle kształtu i modelu innych. Stąd-ci to pochodzi, że jeden przez drugiego na kupę się wali; tak, jako i w wielkiej ciżbie, gdy lud przeciska się, nikt tak nie upadnie, iżby drugiego nie pociągnął; a pierwsi zawsze są przyczyną upadku dla tych, co za nimi idą. Tak się właśnie przydarza, jako snadno widzieć możemy, i w życiu ludzkim: nikt szczególnie sobie nie błądzi, ale zarazem innym do błędu przyczyną i powodem się staje. Szkodliwą zatem jest rzeczą polegać na poprzedzających, zwłaszcza że każdy woli wierzyć naoslep, aniżeli wziąć co na rozsądek i uwagę; przeto nie rozważamy i tego, co dotyczy przystojnego życia, ale innym na ślepo wierzymy. Ten zakorzeniony błąd dosięga nas, potraça ku zgubie, a idąc za cudzym wzorem i przykładem, ginimy. A jednak możemy się jeszcze wyleczyć, jeno koniecznie musimy oddzielić siebie od tej kupy i zgiełku. Boć gmin, ten uporczywy głupoty swojej obrońca, mocno się i teraz nawet zdrowemu rozumowi opiera. Toż tu właśnie przydarza się, co na sejmikach, na których obranym urzędnikom ci, którzy właśnie ich obrali, dziwiają się, jeżeli niestała przyjaźń wyborców ich obali. Co chwalimy, to samo i ganimy; tak się mają wszystkie wyroki, które oparte są na większości.

II. Kiedy więc mowa o szczęśliwym życiu, nie potrzebujesz mi mówić obyczajem przewodniczących w senacie: ta decyzja wydaje mi się mieć więcej zwolenników. Bał przez to właśnie jest gorsza. Rzeczy ludzkie nie są tak urządzone, żeby to, co jest lepszego, miało się podobać większej gromadzie; owszem tłum jest największym dowodem niekzemności rzeczy, która mu się podoba. Szukajmy zatem tego, co jest najlepsze, a nie najpospolitsze; szukajmy tego, przez co możemy dojść do wiekuistego szczęścia, a zaś nie tego, co zaleca prosty motloch, który o prawdzie zwykł opacznie bajać. Przez motloch i pospółstwo rozumiem tak wspaniałe przyodzianych panów, jako też i chudobę. Boć ja nie z szat powierzchownych sądzę i poznaję, co zacz kto jest; niedowierzam oczom moim, które mi okazują obraz człowieka; mam nierównie lepsze i pewniejsze światło, w którym prawdę od fałszu rozeznaję. Dobra dusza powinna dochodzić; a jeżeli dusza znajdzie kiedykolwiek sposobność przyjść do siebie i wejść w siebie, wtedy, sama o sobie przekonana, uzna prawdę i rzeknie: «Comkolwiek dotychczas czyniła, radabym, iżbym nigdy nie była czyniła; a jak rozważam o tem, com mówiła, zazdroścę niemy! Przypomnę ci, czegom sobie życzyła, spostrzegam, iż nieprzyjacielić nic gorszego nie mógłby mi życzyć; a to, czegom się obawiała — jakżeż nierównie lepsze było, niżli czegom tak chciwie pożądała!» Z iluż to ludźmi miałem przykre zajścia i zatargi, lub też do przyjaźni dochodziłem — jeśli tylko między złymi przyjaźni jaka być może — sam jeno sobie przyjacielem nie jestem jeszcze. Wszystkie starania moje na tom kierował, bym w podłym tłumie się odznaczył i jakieś zaszczyty zdobył; lecz nic innego nie dokazałem, jak tylko, żem stanął jako cel pocisków i rozjątrzył złość, co chce kasać! Spójrzj na tych, co sławią krasomówstwo, wieszają się przy boku

majątnych, którzy pochlebstwem usiłują zdobyć łaskę, którzy wysławiają władzę — wszyscy oni są dla siebie nieprzyjaciółmi, lub, co na jedno wychodzi, z łatwością takowymi mogą się stać. Jak liczny jest tłum, który podziwia ciebie, tak samo liczny jest tych, co zazdroszczą.

III. Muszę tedy tego poszukiwać, co by mi tak użyteczne było, iżbym dobra tego mógł wewnątrznie zaznać, a zaś nie nazewnątrz tylko dobrem przypisywać. Albowiem to, na co inni ciekawie spoglądają, nad czem się zastanawiają, co jeden drugiemu z podziwem ukazuje — to zwierzchu tylko i napozór błyszczy, a wewnątrz siebie kryje nędzę i ubóstwo. Szukajmy przeto takiego dobra, które nie ludzi oczu ludzkich pozorem i zewnętrznym wyglądem, lecz jest gruntowne i stałe, a swoją wartość i ozdobność z wewnątrz bierze. To właśnie musimy wydobyć, zwłaszcza że leży wpobliżu nas; łatwo możemy je znaleźć; jeno trzeba wiedzieć, w którą stronę ręką sięgnąć. Na początku jeszcze niby pociemku, niby omackiem szukamy, omijając to, co jest wpobliżu, obijając się owszem o to, czego tak bardzo pożądamy. Ale, żebym zdaleka krążąc, drogi nie nakładał, poniecham zdania innych o tej rzeczy: za długo byłoby wliczać je i zbijać. Oto niech będzie moje własne zdanie; gdy mówię: moje własne, nie znaczy to, bym naosłep trzymał się opinii któregoś myśliciela ze stoików; mam i ja również prawo wygłosić swoje zdanie. Za jednym z tych myślicieli pójdę, a na zdaniu drugiego przystanę tylko poczęści; podobnież, gdy zkolei i mnie przyjdzie wypowiedzieć własną myśl, nie będę ganił tego, co inni przede mną powiedzieli, jeno swoje własne zdanie podam. Jednakże przystaję na to, na co przystają wszyscy stoicy, i zgadzam się z naturą wszechrzeczy; prawą mądrością jest nie zbaczać od tej natury, lecz owszem stosować się do praw jej i przepisów. Błogosławione jest tedy takie życie, które zgadza się z prawem przyrodzenia; pojąć to może tylko ten, co umysł i rozum ma zdrowy i zawsze sobie przytomny; umysł krzepki i odważny, umiarkowany jednak i cierpliwy, świadomy tego, co jest potrzebą chwili; ten, co służy potrzebom swego ciała, bez zbytnej atoli troskliwości; ten, co uważa na rzeczy pomocne ku lepszemu życiu, lecz bez zbyt-niego uwielbienia; ten, co korzysta z darów i niespodzianek fortuny, atoli bez poddaństwa tejże. Z tego wynika, choćbym już więcej nie dodał, że niezłomny spokój i prawa swoboda rodzą się z usunięciem tych wad, które nas mogą podrażniać lub zastraszać. Bo zamiast tych niekzemnych, skażonych i w samym wykonaniu szkodliwych rozkoszy, przenika duszę wielka i niezłomna radość, a wraz z nią spokój i pogoda, wspaniałomyślność i łagodność. Albowiem wszelka dzika namiętność wypływa ze słabego ducha.

IV. Dobro nasze można także i inaczej zdefiniować i w innych zdaniach wyrazić tę samą myśl. [...] Bowiem na jedno to wychodzi, jeżeli powiem: najwyższe dobro zasadza się na umyśle, który pomiata wszelkimi przygodnemi rzeczami, a dzielności jest rad; lub jeżeli: najwyższe dobro jest to niezłomna siła duszy, mądrość i łagodność w obcowaniu i głęboka ludzkość i uczynność dla innych. Wolno je i tak też opisać: ten ci jest szczęśliwy człowiek, który nic innego nie poczytuje za dobre, ani za złe, jak tylko dobry i zły umysł, umysł kochający uczciwość i przystojność, ugruntowany na dzielności, którego nagła odmiana nie wynosi, ani też obniża, który nie zna żadnego większego dobra nad to, jakie sam sobie dobrze może dać, dla którego najgłębszą rozkoszą jest pogarda dla rozkoszy. Można i dalej iść, jeżeli to komu się podoba, a tejsze rzeczy, bez naruszenia jej istoty, dać inny kształt i postawę. Cóż bowiem nam jest na wstępie, byśmy nie mogli twierdzić, że szczęśliwy żywot polega na umyśle wolnym, wspaniałym, nieustraszonem i stałym, dalekim od bojaźni i chciwości! który za jedyne dobro uczciwość, za jedyne zło wielką sprośność poczytuje! Resztę ma prawie za nic, jako to, co pełnemu szczęściu ani ująć niczego nie może, ani dodać, a zaś odchodzi i przychodzi bez uszczerbku żadnego dla najwyższego dobra, jako też i bez przybytku. Kto na tym gruncie buduje szczęśliwy swój żywot, zawsze musi być wesół, nawet gdyby tego nie chciał; musi zażywać głębokiej pociechy, wpływającej z nieprzerwanego źródła, pociechy, która rada przestaje na tem, co ma, i nad to niczego nie pragnie. Miałżeby człowiek frymarzyć tę radość na podłe, niekzemne i nietrwałe ciała uciechy? Z chwilą, w której poddałby się rozkoszy, zarazem uległby i boleści.

V. Ty bowiem dobrze wiesz, w jak haniebną i ciężką niewolę wpada ten, co idzie w poddaństwo rozkoszy i bólu, które są władcami okrutnymi i kłótliwymi. Z jarzma tego trzeba wydobyć się na wolność; inaczej tego nie możemy dokazać, jeno pomia-

tając przynętą zwodnej fortuny. Stąd wyrasta ono bezcenne dobro: prawy spokój zabezpieczonego umysłu i wspaniałość serca; takóŜ i po wypędzeniu trwogi i bojaźni: z poznania prawdy urasta pełna i niewzruszona radość, łagodność i wypogodzenie serca; duch się będzie w tem rozptywał nie jako w najwyższym dobru, lecz jako w skutkach najwyższego dobra. A ponieważŜ już obszerniej się rozwiódl, więc i tak jeszcze rzecz mą wyłóżyć mogę: ten szczęśliwym zwać się moŜe, który za wskazówką rozumu idąc, ani czegokolwiek poŜada, ani się boi. Wprawdzie i nieczułe głązy nie doznają żadnej bojaźni, ani żadnego smętku, takóŜ i nieme bydłeta; nie wypływa z tego jednak, byśmy je mogli nazwać szczęśliwemi, ponieważŜ nie mają w sobie takowego szczęścia poznania. Oto dlatego w jednym rzędzie kłaść moŜemy takich ludzi, których przyrodzona tępość i nieznamość samych siebie z bydłetai przyrównywała; jakoŜ nie ma między nimi róŜnicy, ponieważŜ bydłeta zgoła nie mają rozumu, tacy zaś ludzie niewiele, i to przewrotny, a na zgubę swą wykretnie przezorny. Za szczęśliwego bowiem nie moŜe być poczytywany ten, który daleko odstrzelił się od prawdy. Stąd wypływa, iŜ żywot szczęśliwy jest ten, który na pewnym i niezawodnym rozumie jest ugruntowany i uzasadniony. GdyŜ umysł dopiero wtedy jest wolny i od wszelkiej nieporządności oswobodzony, kiedy nie tylko zgrzyoty, ale teŜ i podrażnienia uniknąć moŜe: kiedy zawsze niezłomnie trwa i z miejsca swego zawistnej nawet i natarczywej fortunie zegnać i poruszyć się nie daje. Albowiem, co się tyczy rozkoszy, to, chociaŜby w niej kto i po uszy brodził, chociaŜby się weń przez wszystkie wrota wlewała, chociaŜby umysł jego nie wiem jakimi przynętami swemi ludziła i jedne po drugich podsuwała — przecie moŜe-li się kto takowy znaleźć między ludźmi, bodaj ślad tylko i wizerunek mający człowieka, któryby we dnie i w nocy chciał dogadzać poŜadliwości? zaniechawszy całkowicie duszę, jedynie ciału słuŜyć?

VI. Ktoś mi powie, Ŝe przecieŜ i dusza w tej rozkoszy uczestniczyć będzie. Dobrze, niech uczestniczy, niech niby na tronie zasiądzie na wszelkiej lubieŜności i rozkoszy; niech się upoi tem wszystkim, co jeno zmysły ludzkie lechce. Nadto niech minione rozkosze przywoła, juŜ zwietrzałe niech wspomina i niemi się uwesela; niech wyprzedzi te złe, które mają nastąpić, i niech się upaja niemi; gdy ciało brodzi w pełnej obecnej rozkoszy, niech myśl do przyszłych biegnie — ale ten człowiek będzie mi się właŝnie najnędniejszym wydawał, albowiem obierać sobie złe zamiast dobrego, toć przecieŜ istne szaleństwo. Bez rozumu nikt szczęśliwy być nie moŜe — a czyŜ jest taki rozum, który sobie Ŝyczylby, niby coŝ szacownego, rzeczy, która mu jest szkodliwa? Więć ten mi jest szczęśliwy, który zdrowy ma rozsądek; ten szczęśliwy, który na własnem, jakiegokolwiek ono jest, rad przestaje, kontent ze swego; ten szczęśliwy, który z gruntu połoŜenie i obrót rzeczy swoich poznaje. Wiedzą nawet ci, co rozkosz największem szczęściem mienili, na jak brzydkim miejscu je osadzili; przeto ku obronie własnej mówią, Ŝe niepodobna rozkosz od cnoty oddzielić, Ŝe nikt nie moŜe Ŝyć cnotliwie, Ŝeby zarazem nie Ŝył rozkosznie; ani teŜ rozkosznie, iŜby oraz i cnotliwie nie Ŝył. Aleć ja nie widzę, jak to moŜna te rzeczy, tak dalekie od siebie i róŜne, związać i spoić w jedno. DlaczegoŜ to, proszę, rozkoszy nie moŜna oddzielić od cnoty? czy dlatego, Ŝe cnota jest nasieniem i początkiem wszelkiego dobra? Ŝe to z tego źródła wypływa i to, co wy miłujecie i poŜadacie? Lecz gdyby to było nierozdzielne, nie bylyby niektóre rzeczy rozkoszne, a zaś nieuczciwe; a zaś inne właŝnie uczciwe, ale gorzkie i z trudemosiagalne.

Thum. D. Pilchowski.

Popraw. M. St. Popławski.

PETRONJUSZ ARBITER

(um. w r. 65 po Chr.)

UCZTA TRYMALCHJONA

(Księgi satyr, Satiricon libri)

Zajęci byliśmy temi wykwiutami, gdy wśród gędŜby instrumentów wniesiono Trymalchjona, leŜącego na malutkich poduszkach, co kilku nieroztropnych pobudziło

do śmiechu; ogoloną bowiem głową sterczał ze szkarłatnego szlafroka, a wokół okutanej szatą szyi miał jeszcze chustę o szerokim czerwonym brzegu, z wiszącymi z lewa i z prawa frendzlami. Na małym palcu lewej ręki miał też wielki, pozłacany pierścień, na ostatnim zaś członie następnego palca mniejszy, jak mi się zdawało, cały złoty, który jednak wysadzony był przylutowanymi żelaznami gwiazdkami. I aby nie tylko te okazać bogactwa, obnażył prawe ramię, ozdobione złotym naramiennikiem i obręczą z kości słoniowej, z lśniącą sprzążką. Podlubawszy w zębach srebrnym wykałaczem, rzekł:

— Przyjaciele, wprowadzie nie chciało mi się jeszcze przyjść do jadalni, lecz aby nie wstrzymywać was swoją nieobecnością, odmówiłem sobie wszelkiej przyjemności. Pozwolicie jednak, że skończę grę.

Wszedł za nim chłopiec z deską do gry z terebentynowego drzewa i kostkami z kryształu, i zauważyłem coś niezwykle wykwintnego: miał białych i czarnych kamieni miał denary złote i srebrne. Tymczasem, gdy wśród gry wyczerpał wszystkie grube żarty, wniesiono nam, bawiącym jeszcze przy zakąskach, tacę z koszem, w którym znajdowała się drewniana kura z rozpostartymi wkoło skrzydłami, jak to zwykły czynić kury, wysiadujące jaja. Przystąpili dwaj niewolnicy, zaczęli przeszukiwać przy huczącej muzyce słomę i rozdawać biesiadnikom wygrzebywane ciągle jaja pawie. Trymalchjon zwrócił spojrzenie na tę scenę i rzekł:

— Przyjaciele, kazałem podłożyć kurze pawie jaja. I zaprawdę boję się, że już są w załęgu, zobaczymy jednak, czy dadzą się jeszcze wycmoktać.

Otrzymujemy więc łyżki, które nie ważyły mniej niż pół funta, i przebijamy z tłustej mąki podrobione jaja. Ja o mało nie wyrzuciłem swej części, gdyż zdawało mi się, że jest tam już pisklę. Gdy jednak usłyszał bywałego biesiadnika: «Tu musi być coś dobrego» — zbadałem skorupę ręką i znalazłem bardzo tłustą figojadkę, otoczoną pieprzowem żółtkiem. Trymalchjon przerwał już grę, kazał sobie również podać wszystkiego, upoważniając nas głośno, jeśliby ktoś chciał, nalać sobie powtórnie miodowego wina, gdy nagle orkiestra daje znak i śpiewający chór porywa szybko zakąski. Gdy w powstałem przez to zamieszaniu upadł na ziemię półmisek, a niewolnik go podniósł, zauważył to Trymalchjon, kazał spoliczkować chłopca i znowu cisnąć półmisek. Potem przyszedł niewolnik od sprzętów domowych i miotłą wymiół srebro z innemi śmieciami. Następnie weszli dwaj długowłosi Etyjopowie, z małemi bukłakami, jak ci, którzy rozsypują piasek w amfiteatrze, i lali wino na ręce, gdyż wody nikt nie podał. Gdyśmy pochwalili pana za ten wykwint, on rzekł:

— Każdemu równe prawo. Przeto poleciłem wskazać każdemu osobny stół. Zarazem wstrętni niewolnicy swą cizbą mniej będą nam sprawiać gorąca.

Natychmiast przyniesiono szklane, gipsem starannie zatkanе amfory, które miały na szyjach przytwierdzone kartki z napisem: «Stuletni Falern, z lat Opimjusza». Gdyśmy badali napisy, klasnął Trymalchjon w ręce i rzekł:

— Ach, więc wino żyje dłużej, niżeli człek. Więc weselmy się. Wino to życie. Podaję prawdziwe opimjańskie. Wczoraj nie postawiłem tak dobrego, choć o wiele przyzwoitsi ludzie wieczerali u mnie.

Gdyśmy więc pili i najdokładniej podziwiali wszystkie wykwinty, niewolnik wniósł srebrny szkielec, tak urządony, że można było jego stawy i kręgi wyginać na wszystkie strony. Gdy rzucił go kilkakrotnie na stół, tak, że ruchome wiązanie przybrało kilka postaw, Trymalchjon dorzucił:

Biada nam nędznym, niczem nie jest człowiek cały.
Wszyscy będziemy tacy, gdy nas Orkus schlonie,
Przeto też żyjmy, czas nam teraz się weselić.

Po ogólnym poklasku nastąpiło danie, któregośmy wprowadzie nie oczekiwali, jednak nowość jego zwróciła na nie oczy wszystkich. Okrągła bowiem taca mieściła dwaście znaków niebieskich, rozłożonych w kolejnym porządku, a wynalazca ułożył na każdym właściwą mu i odpowiednią potrawę: na Baranie barani groch; na Byku kawał wołowiny; na Bliźniętach jądra i nerki; na Raku wieniec; na Lwie figę afrykańską; na Pannie macię młodej maciory; na Wadze rzeczywistą wagę, która na jednej szali

dźwigała ciepły placek, na drugiej inne ciasto; na Niedźwiadku rybkę morską; na Strzelcu zajaca; na Kozioroźcu langustę; na Wodniku gęś; na Rybach dwa bolenie. Na środku zaś była świeżo skoszona murawa, a na niej plaster miodu. Egipski niewolnik podawał wkoło chleb na srebrnej panwi. I on także wykrztuszał z siebie wstrętne skrzeczającym głosem pieśń z widowiska «Asafetyda». Gdyśmy nieco smętni przystąpili do tak lichych potraw, rzekł Trymalchjon:

— Radzę zacząć ucztę.

Gdy to rzekł, czterej słudzy przy wtórce orkiestry przybiegli krokiem tanecznym i zdjęli górną część tacy, poczem ujrzelśmy pod nią tłusty drób i świńskie wymiona, a pośrodku zajaca opatrzonego skrzydłami, tak, że wyglądał jak Pegaz. Spostrzegliśmy też w kątach cztery figury Marsjasza, którym z bukłaków płynęła pieprzona polewka na ryby, pływające w rodzaju okolnego kanału. Klasnęliśmy wszyscy, do czego służba dała znak, i z śmiechem rzucamy się na wyborne rzeczy. Niemniej Trymalchjon, ucieszony udaniem się podejścia, rzekł:

— Kraj!

Natychmiast przystąpił krajczy i dzielił potrawę, wykonywając ruchy w takt muzyki, tak, iż sądziłbyś, że widzisz woźnicę ścigającego się o nagrodę przy wtórce organów. Jednak Trymalchjon powtarzał ciągle przewlekłym głosem:

— Kraj! Kraj!

Przypuszczałem, że w tem tak często powtarzanem słowie kryje się jakiś żart, i ośmieliłem się zapytać o to tego, który leżał powyżej mnie. I ów, który już częściej uczestniczył w podobnych zabawach, rzekł:

— Widzisz tego, który dzieli danic: zwą go Kraj. Więc ilekrotnie mówi «Kraj», tem samem woła go i wydaje mu rozkaz. Nie mogłem już więcej wziąć ani kaska, lecz zwróciłem się do swego sąsiada, by dowiedzieć się możliwie najwięcej; sięgnąłem daleko i spytałem, kto jest owa niewiasta, krzątająca się tam i sam.

— Żona Trymalchjona — rzekł — zwie się Fortunata; mierzy pieniądze korcem. A niedawno jeszcze czemże była? Nie ubliżając ci, nie byłbyś wziął z jej ręki kawałka chleba. Teraz, Bóg wie jak i czemu, żyje niby w niebie i jest prawą ręką Trymalchjona. Słowem, gdy mu w jasne południe powie, że jest noc, on uwierzy. On sam nie wie, co posiada, tak jest bogaty, lecz ta bestja doziera wszystkiego i wszędzie, gdzieby ci na myśl nie przyszło. Jest trzeźwa, wstrzemięźliwa, umie dobrze poradzić, ale ma zły język, gadatliwa sroka. Jeśli kogo lubi, to lubi; kogo nie lubi, to nie lubi. Trymalchjon ma dóbr, ile jastrząb przeleci, i pieniędzy, jak siana. W izbie jego odzwiernego jest srebra więcej, niż inny ma w całym majątku. A cóż dopiero jego niewolnicy! Do licha! Nie wiem, czy dziesiąta ich część zna swego pana! Zresztą tak się go boją, że kryją się przed nim w myślą dziurę. I nie myśl, że musi cokolwiek kupować. Wszystko rodzi się na jego gruncie: wełna, pomarańcze, pieprz i, jeśliś szukał ptasięgo mleka, znajdziesz je. Wogóle wełna, którą wytwarzał, nie była dlań dość dobra: sprowadzał barany z Tarentu i uszlachetniał swą trzodę. By u siebie wytwarzać miód attycki, kazał przywieźć pszczoły z Aten; równocześnie ulepszył tutejsze, mieszając je z greckimi. Oto w tych dniach napisał, by przysłano mu z Indyj nasienie grzybów. Nie posiada żadnego muła, któryby nie pochodził od dzikiego osła. Widzisz te wszystkie poduszki: niema ani jednej, by nie była wypchana purpurową lub szkarłatną wełną. Ma wszystko, czego dusza zapagnie. Także innych jego współwyzwoleńców nie wolno lekceważyć: wszyscy są bogaci. Widzisz tego, który leży najniżej u dołu; ma dziś ośmset tysięcy majątku. Zaczął od niczego. Niedawno jeszcze nosił drwa na plecach. Lecz, jak ludzie mówią — ja nie wiem nic pewnego, tylko słyszałem — ukradł Korboldowic zapkę i znalazł skarb. Nie zazdroszczę nikomu, jeśli mu Bóg co dał. Lecz on jest pyszałkiem i źle sobie nie życzy. Więc niedawno wywiesił ogłoszenie z takim napisem: «Gajus Pompejusz Diogenes odnajmuje od 1 lipca mieszkanie, bo kupił sobie dom». Ow zaś, który leży na miejscu wyzwolenca, ma się także dobrze. Nie ciskam w niego kamieniem. Miał milionik, ale stanął nad przepaścią. Sądzę, że włosy na głowie nie należą do niego, lecz to, dalibóg, nie jego wina; niema lepszego nadeń człowieka; ale lotry wyzwolenicy zagrabilili mu wszystko. Wiedz: gdzie kucharzy sześć, tam niema co iść, i gdy bieda w progi, przyjaciele w nogi. A jakie zacne miał rzemiosło, poto, by

zostać tem, czem go widzisz. Był przedsiębiorcą pogrzebowym. Zwykł być jadać jak król: całe dziki w skórce, pasztety, ptactwo, kucharze, cukiernicy! Pod stołem rozlewano więcej wina, niż inny miał w piwnicy. Książę z bajki, nie człowiek. Gdy mu się noga powinęła i gdy bał się, by wierzyście nie uznali go bankrutem, ogłosił w ten sposób przetarg: «Gajus Juljusz Prokulus wystawia na przetarg rzeczy zbyteczne».

Te miłe gadki przerwał Trymalchjon, bo już uprzątnięto danie, i weseli biesiadnicy zaczęli zabierać się do wina, i ogólna wszczęła się rozmowa.

Tłum. Leopold Staff.

MAREK WALERJUSZ MARCJALIS

(40—98 przed Chr.)

EPIGRAMATY

Do czytelnika (I, 1)

Chcesz się dowiedzieć czegoś o poecie?
— To ja, Marcyal, znany w całym świecie
Z mych fraszek, pełnych soli i pieprzyku,
Któremuś stale życzliw, czytelniku;
Bo jeszcze żyję, a już mam od ciebie,
Co drugi rzadko aż po swym pogrzebie.

Ogłoszenie (I, 2)

Chcesz, li mnie, czytelniku, mieć zawsze przy boku,
Chcesz, bym ci towarzyszył w podróznym tłumoku,
Kup mię, w pergaminową strojnego koszulę:
W dłoni się zmieszczę; wielki niech siedzi w szkatule.
Abyś jednak po Rzymie nie błąkał się marnie,
W której mię możesz dostać, wymienię księgarnię:
Wiesz, gdzie forum Minerwy i Pokoju strony?
Tam księgarz, co go Luceus wyzwolił uczony.

Zagadkowa błądź (I, 77)

Błądź Charyn wygląda, a zdrowy na ciele;
Błądź Charyn wygląda, a pije niewiele;
Błądź Charyn wygląda, a wybornie trawi;
Błądź Charyn wygląda, a rad w słońcu bawi;
Błądź Charyn wygląda, a barwi twarz przecie;
Błądź Charyn wygląda, a liże — co? — wiecie.

Issa (I, 109)

Issa — wróbelek Katulla dziewczycy,
Issa — czyściutka jak dziób gołębicy,
Issa — od dziewiczych smaczniejsza całusów,
Issa — skarb droższy od pereł Hindusów,
Issa Publjusza ukochana psina.
Zaskomli: myślisz, że mówić zaczyna;
Smutek i radość odczuwa jak człowiek.
Z główką podpartą śpi, przymknawszy powiek,
Tak, że głośnego nie słysząc chrapania;
Nawet zmuszona do długu oddania,

Ani kropelką posłania nie maże,
 Lecz, skrobiąc nóżką, znieść z łóżka się każe.
 Jest też wstydliva, wzór niewieściej cnotki,
 Nie wie, co Wenus, i takiej istotki
 Psiak pierwszy lepszy nie godzien, by dostał.
 By i po śmierci ślad z niej jaki został,
 Publjusz konterfekt maluje na drzewie,
 A tak podobny, że nikt dobrze nie wie,
 Psinę i obraz zestawiwszy razem:
 Czy obraz psiny, czy psina obrazem;
 Powiesz, że albo dwie psiny prawdziwe,
 Lub dwa obrazy psiny jakby żywe.

Marzenia poety (II, 90)

Kwintyljanie, mistrzu młodzieży niestalej,
 Chwało rzymskiej palestry i mówco wspaniałej!
 Że śpieszę użyć życia, biedak i niestary,
 Przebacz: nigdy zbyt wcześnie z żywota pić czary.
 Niech zwleka, kto się pragnie fortuny dorobić
 I wspaniale przodkami salony ozdobić:
 Mnie wystarczy ognisko, zakopcone ściany,
 Dość mi trochę murawy i wody źródlanej;
 Sługa syt mi niech będzie, żonka nieuczona,
 Dzień procesem niezmacon, noc dobrze prześniona.

Duch mały (III, 72)

Żeś za dwieście tysięcy kupił niewolnika,
 Że wino z czasów Numy gardło twoje łyka,
 Żeś za sprzęt wcale skromny sto tysięcy stracił,
 Żeś na funkcję sreberka pięć tysięcy płacił,
 Że na powóz złocisty wioska poszła cała,
 Dom za cenę mulicy kupiłbyś bezmała:
 Myślisz, że w tych sprawunkach duch widać wspaniały?
 Mylisz się grubo, Kwincie: duch to nazbyt mały.

Łysek (V, 49)

Gdym cię onegdaj ujrzał, Labienie,
 «Jako, trzech — rzekę — a jedno siedzenie?»
 Liczba twych łysin zwiodła moje oczy.
 Tu i tam włosy masz nakształt warkoczy,
 Coby ozdobą być mogły młokosa,
 A środek goły, że jednego włosa
 Dostrzec na całej nie można łysinie.
 Tej to zapewne zawdzięczasz przyczynie,
 Że kiedy cesarz dał w grudniu śniadanie,
 Tyś trzy koszyczki wziął, mój łysy panie.
 Jest jednak «ale», jest ujemna strona:
 Tak wyglądała postać Geryjona;
 Portyk Filipów straszny twej osobie:
 Niechno cię Herkul dostrzeże — po tobie!

Długi język (V, 52)

Co dałeś, to mi zawsze w pamięci tkwić będzie.
 — Czemu więc milczę? — pytasz. — Bo ty mówisz wszędzie.
 Zacznę mówić o darach, o twem sercu złotem,
 Wnet mi przerwą: «Już wiemy, sam nam mówił o tem».
 Pocóż dwóch? Jeden w każdym wystarczy wypadku;
 Chcesz-li, żebym ja mówił, nie mówże ty, bratku!
 Dary nawet największe, wierzaj mi, Postumie,
 Marnuje, kto języka powściągnąć nie umie.

Pocałunków liczba (VI, 34)

Ile chcę pocałunków? — Zabawne pytanie:
 Fale, Diadumenie, policz w oceanie,
 Policz muszle do jednej egejskich wybrzeży,
 Rój pszczół policz cekropskich, co na okwiat bieży,
 Policz w pełnym teatrze głosy i oklaski,
 Gdy się Cezar ukaże nagle, szafarz łaski.
 Mnie za mało śpiewających Katulla zdobyczy,
 Wymodlonych od Leshji: mało ma, kto liczy.

Antyki (VIII, 6)

Istna plaga — antyki Anкта starowiny;
 Stokroć wolę już czarki z saguntyńskiej gliny.
 Gdy każdego zamierzchłe opowiada dzieje,
 Od gadulstwa tymczasem już wino spleśnieje.
 «Laomedonta stoły te kulki widziały!»
 «Mury wznosił Apollo za ten dar wspaniały!»
 «Tym dzbanem na Lapitów, wiesz, podczas biesiady,
 Ret grzmotnął: patrz, tu jeszcze wyraźne są ślady!»
 «Ten podwójny puharek — dawnych dziejów karta:
 Gołąbka lśni się, palcem Nestora wytarta!»
 «Ten to kielich, z którego Achilla drużyna
 Dużo piła z przychęty ognistego wina!»
 «Z tej czarki do Bitjasa przypijała szczerze
 Nadobna Dydo, dając Frygowi wieczerzę!»
 — Słuchasz zdumion, a gdy ci już wszystko pokaże,
 Wychylasz Astjanaksa w Pryjamowej czarze¹.

Milcząca wymowa (VIII, 7)

To mi, Cynno, obrona! To świetność wymowy!
 W dziesięć godzin dziewięciu popisać się słowy!
 Czterech klepsydr przed chwilą żądałeś upornie:
 Już to, Cynno, co milczeć, to umiesz wybornie!

Niezrównany Cezar (VIII, 26)

Mniej tygrysów za sobą ma jeździec gangecki,
 Gdy wybrał młode z gniazda i zmyka, zdradziecki,
 Niżli teraz ich widział Rzym twój, Germaniku:
 Nawet policzyć nie mógł swych uciech bezliku.

¹ To zn. bardzo młode wino w bardzo starym kubku.

Erytrejskie, Cezarze, zaćmiłeś pochody
I skarby, i bogactwa, jakie miał Bach młody;
Bo kiedy gnał przed sobą zgromionego wroga,
Jedna para tygrysów ciągnęła rydwan boga.

Pałac Cezara (VIII, 36)

Z cudów świata, piramid, Cezarze, kpij śmiecie:
Już Memfis barbarzyńska milczy o swem dziele.
Cóż gmach mareotycki przy parraskim dworze?
Nie wspanialszego dzieńne nie widziały zorze:
Siedm gór, jedna nad drugą, wznosi się na oko;
Nie sięgały Pelijon tak z Ossą wysoko;
Szczyłem gwiazd tyka jasnych, że jeden w lazurze
Gromy słyszy, huczące gdzieś pod sobą w chmurze,
I ukrytą się cieszy twą śmiałością, Febie,
Nim Cyrce twarz ojcowską zobaczy na niebie.
Ten pałac, Anguście, co głową gwiazd tyka,
Z niebem walczy o lepsze, lecz przy tobie — znika.

Do Nerwy (XI, 5)

Słuszność i sprawiedliwość u ciebie rej wiedzy,
Jak u Numy, Cezarze; lecz Numa żył w biedzie.
To sztuka, gdy z bogactwem cnota się nie kuma,
Gdy Krezusów pobiwszy, ciągleś jeszcze Numa.
Gdyby na świat przesławni wrócili przodkowie,
Kamilby cię uwielbiał, wolności obrońca,
Przyjął złoto Fabrycy, choć czystszy od słońca;
Brutusby się pogodził z twemi rządy butny,
Rzymu sterby ci chętnie zdał Sulla okrutny;
Wielkiby cię Cezarem bez władzy czcił szczerze,
Krassus wszystkie swe skarby złożył ci w ofierze;
By Katon nawet wrócił z krainy cienistej,
Szczerszego nie byłoby nadeń monarchisty.

Darowana wioska (XI, 18)

Wioskę mi dałeś podmiejską laskawie:
Więszą ja w oknie mam wieś na wystawie.
I to u ciebie ma być wieś prawdziwa,
Gdzie grzędka ruty gajem się nazywa?
Co głośnej skrzydło cykady przykryje,
Czem mrówka jeden ledwie dzionek żyje?
Gdzie pączek róży za wieniec uchodzi,
A ziół i trawy tyle prawie wschodzi,
Co listków kosma, papryki nieźralej?
Gdzie się ogórek nie pomieści cały,
Gdzie wąż ogonem sięga w łan sąsiada,
A jedna z głodu gasienica pada?
Gdzie wierzbę zjadłszy, komar marnie ginie,
Gdzie kret mi orze i kopie w nowinie?
Gdzie grzyby rozrość, figi się otworzyć,
Fiołki listków nie mogą rozłożyć,
Gdzie z Kalidonu mysz, udając dzika,
Strach na biednego rzuca osadnika?

Gdzie co wysiejesz w polu na zagony,
 Na gniazdo Progny zaniosą wnet szpony,
 Gdzie Pryjap, chociaż bez kosy i koła,
 Ledwie w połowie pomieścić się zdoła,
 Domek ślimaczy — sąsiekiem na zboże,
 Winiarz w orzeszek moszcz wszystek wlać może?
 Chybiłeś, Lupie, w swych darów wyborze;
 Mała literka, a tak wiele znaczy:
 Nie «wiesz» — «jeść», Lupie, dać mi było raczej!

Okrutne lekarstwo (XI, 71)

Powie chłopu staremu żona z miną trusi,
 Że jako histeryczka przespać się z kim musi;
 Doda z płaczem, że tyle jej zdrowie nie znaczy,
 Że więc postanowiła mocno umrzeć raczej.
 Mąż błaga, żeby żyła w młodocianej porze,
 I pozwala, na co sam zdobyć się nie może.
 Zjawiają się lekarze — doktorki z komory —
 Nogi w górę — o, co za okrutne doktory!

Żyd poeta (XI, 94)

Żeś mi oplwał me książki jadem wścieklej piany,
 Wybaczam: tyś nieglupi, wieszczu obrzezany.
 Że mi kradniesz wierszyki, przedmiot swej przygany,
 Nie mam za złe: masz rozum, wieszczu obrzezany.
 To karci, że ty, na świat w Solimach wydany,
 Chłopca mi bałamucisz, wieszczu obrzezany.
 Przeczysz i klniesz się głośno na posąg Grzmiiciela?
 Nie wierzę: klnij się, żydzie, na swego Jankiela!

Mój gust (XI, 100)

Nie dla mnie, Flakku, wiotka na kochanie,
 Co jej ramiączko mój pierścień obstanie,
 Co tyłcem ryje, a kolanem rani,
 W grzbiecie ma piłę, grot u starej pani.
 I centnarowe nie dla mnie rozkosze:
 Mięso rad jadam, lecz sadła nie znoszę.

Nerwa (XII, 6)

Lagodny zasiadł Nerwa, zasiadł na auzońskim tronie,
 I znów błąkać po całym wolno Helikonie;
 Prawość, życzliwa laska i ostrożna władza
 Znów wracają, już strach się długi wyprowadza;
 Państwa proszę i ludy, twoje, Rzymie, sługi,
 By władców miały takich, ten miał żywot długi.
 Szczęśliwyś, duchu, rzadkim stalkiem obdarzony:
 Szczęścioby nim się mogły Numy i Katony.
 Szafować, ręczyć, braci pomagać ubogiej
 I dawać, co szczęśliwe dają ledwie bogi,
 Nie grzech teraz i wolno. — Tyś i pod złym panem
 Miał odwagę cnotliwym być i nieskalanym.

Trajan (XII, 8)

Roma bogini, co ludziom i światu
 Królewskiem włada prawem majestatu,
 Z radością oczy utkwivszy w Trajanie,
 Długie, szczęśliwe wróży panowanie;
 A bacząc postać dziarskiego młodziana,
 Mądrą wielkiego powagę hetmana,
 Chłubi się władzą, wyzywa narody:
 Perskie książęta, serskie wojewody,
 Brylony, Gaty, Traki, Sauromaty,
 Patrzcie: nasz Cezar! — no, bliżej, psubraty!

Tłum. J. Czubek.

KORNELJUSZ TACYT

(ur. w r. 55, um. prawdopodobnie w r. 120 po Chr.)

ROCZNIKI

Śmierć Augusta i początek rządów Tyberjusza (z ks. I)

[Śmierć Augusta i początek panowania Tyberjusza (I 1—11).]

W Rzymie na początku królowie panowali; Brutus wolność i konsulów postanowił; dyktatorów do czasu brano: władza decemwirów po dwóch latach ustala; trybunowie wojskowi przez krótki czas tylko konsulów zastępowali; Cynna i Sulla krótko rządili; los wojenny rychło potęgę Pompejusza i Krassusa do Cezara, a Lepida i Antonjusza do Augusta przeniósł; ten skolataną domowemi wojnami Rzeczpospolitą sam jeden ogarnął pod imieniem Pierwszego Senatora. Lecz starożytnych Rzymian sławę i szwanki wspaniałe pióra następnym przekazały wiekom; nie zbywało też na drobnych talentach do opisania czasów Augustowych, póki wzrastające coraz schlebianie nie nakazało milczeć. Dzieje Tyberjusza i Kaliguli, Klaudjusza i Nerona za życia ich bojaźń pochlebstwem napoiła, po zejściu ze świata świeża nienawiść jadem napelniła. To mi pochop daje, ażebym, dotknąwszy końca panowania Augusta, pisał o Tyberjuszu i następcach jego, bez zółci i bez stronniczości, bo od przyczyn tego całe daleki jestem.

Kiedy po klęsce Kasjusza i Brutusa, a po zgębieniu przy Sycylji Sekstusa Pompejusza, wolność republikańska została bez obrony; kiedy w stronnicztwie Cezara ze śmiercią Antonjusza i wyzuciem z wojsk Lepida władza przeszła na pozostałego z wodzów, na Augusta — na ów czas August, złożywszy godność triumwira, za konsula się tylko i trybuna ludowego podawał, do obrony pospolitego ludu. Wkrótce potem, przy-ludziwszy gminny lud rozdawaniem żywności, a żołnierza pieniędzmi, a wszystkich słodyczą pokoju, począł August pówoli się szerzyć, władzę senatu, urzędów i praw do siebie jednego garnąć, w czem mu się nikt nie oparł, bo najzarliwsi ojczystych swobód obrońcy częścią w bojach, częścią na wygnaniu poginęli. Reszta możniejszych, widząc, że skwapliwie przyjęte jarzmo oplaciło się im dostatkami i dostojnością, wzbogaceni nowego rządu obłowem, woleli spokojnie korzystać z obecnego stanu rzeczy, niżeli z niebezpieczeństwem utraty majątków domagać się dawnych swobód. Same nawet prowincje nie miały za złe odmiany, jaka się odbywała, albowiem zożydziły sobie uciążliwe senatorów i ludu panowanie dla ustawicznych między możniejszymi zawiści i rozterek, dla zdzierstwa urzędników, dla słabej stępiących praw powagi, które naskutek gwałtów i stronnictw, i przekupstwa całkowicie upadały.

Potem August podporę panowania swego, niedorosłego jeszcze siostrzeńca Marcella, uczynił arcykapłanem i edylem kurulnym; Marka Agrypę, człowieka pochodzącego z niskiego rodu, ale wielkiego wojownika i towarzysza zwycięstw, dwakroć wyniósł do godności konsula, a po zmarłym Marcellu za zięcia obrał; Tyberjusza i Druza, pasierbów, obdarzył imperatorską godnością, a to przy życiu jeszcze własnych wnuków; bo Gajusa i Lucjusza, urodzonych z Agrypy, adoptował do rodziny Cezarów, lubo jeszcze

z drobnych lat nie wyszli, a udając niechęć, jak najzarliwiej pragnął widzieć ich na czele młodzieńców rzymskiego i senatorskiego stanu. Po śmierci Agrypy, Lucjusza jadącego do wojsk hiszpańskich, a Gajusa powracającego z Armenji i raną osłabionego, bądź śmierć ukwapliwa, bądź zdrada macosza Liwji sprzątnęła; Druzus dawniej jeszcze zszedł ze świata: a tak na pozostałego z pasierbów Tyberjusza wszystkie się względy obróciły. Uznał go August za syna, za kolegę, za uczestnika w trybunskiej władzy; ukazywał go wszystkim wojskom, nie skrytymi jak dawniej chytrej matki sztukami uludzony, lecz za jawnem naleganiem; albowiem tak starca opętała, że na jej prośbę ostatniego z wnuków, Agrypę Postuma na wyspę Planazję wygnał; prostak był to wprawdzie i tylko z fizycznej siły głupio się pysznił, lecz żadnej zbrodni nie popełnił. Co do Germanika, syna Druzowego, postawił go nad ośmiu legionami stojącymi nad Renem i kazał Tyberjuszowi adoptować go na syna; nie żeby Tyberjusz był bezpotomny, lecz żeby panujący dom liczniejsze miał podpory. Jedną tylko naówczas pozostała wojna z Germanami, dla zmycia raczej hańby narodu rzymskiego z pamiętnego pod Kwintyljuszem Warusem wojsk pogromu, niżeli dla rozszerzenia granic państwa lub dla jakiejś godnej korzyści. Wewnątrz państwa zupełna spokojność panowała; te same urzędy rządzące pozostały; młode pokolenie po zwycięstwie aktyjskiem na świat przyszło, a starszego większa część za domowej się wojny porodziła. Wieleż tych zostało, co nieskrępowane obywatelskie prawa widzieli?

Z wywróconym Rzeczypospolitej rządem żaden starożytny zwyczaj w całości nie został; spodlala równość, każdy się tylko na pańskie skinienia oglądał i mało się frasował, dopóki August w kwitnących latach siebie, dom swój i pokój publiczny dźwigał. Lecz kiedy zwałone wiekiem i słabością siły gasnąć poczynaly, a bliski zgon otwierał pole dla nowych nadziei, wtedy jedni próżne nad stratą dawnej swobody rozwodzili żale, drudzy się lękali wojny, albo też sobie jej życzyli, a najwięcej było tych, co o wiszących nad karkiem władcach różne rozpuszczali pogłoski: że Agrypa, z przyrodzenia dziki, a srożej jeszcze obelgą wysłania rozdąsany, ani wiekiem, ani rzeczy doświadczeniem takiemu ciężarowi nie dorówna; że Tyberjusz ma i lata dostateczne, i serce waleczne, lecz że pełen jest wpojonej zdawna rodzinie Klaudjuszów hardości, pełen okrucieństwa, które przez misterną nawet obłudnej skromności zaslonę jawnemi się znakami przedzierało; że wychowany z pieluszek w domu panującym, nabral większej jeszcze dumy przez objęcie w młodych jeszcze latach konsularnej godności, przez sprawowanie triumfalnych wjazdów; że nawet tego czasu, kiedy pod pozorem uchylenia się od miejskiego zgielku na wyspie Rodus był wygnańcem, nie myślał tam o niczem innym, jeno o zemście, o obłudzie i o pokątnych bezwstydach. Cóż będzie, kiedy do własnego umysłu, który ulega chuciom, niewieści hardej matki przymiesza umysł? Przyjdzie służyć kobiecie i dwom młodzieńcom, którzy Rzeczpospolitą uciskać będą, zanim ją na kawalki rozerwą.

Gdy te i tym podobne rozmowy bawiły stolicę, pogorszyło się Augustowi na zdrowiu; niektórzy zwalali to na zbrodnię żeńską. Słychać albowiem było, że August przed kilku miesiącami wyjeżdżał na wyspę Planazję w towarzystwie Fabjusza Maksyma i kilku sług poufanych, dla widzenia się z Agrypą; że tam wzajemne miłości oświadczenia i wylane z obu stron lzy hojne czyniły otuchę, że ten młodzieniec ma powrócić do domu swego dziadka. Tej tajemnicy zwierzył się Maksym żonie swojej Marcji, Marcja powiedziała Liwji, aż też i do Cezara się doniosło. Wkrótce potem, gdy Maksym życia dokonał (niewiedzieć czy przyrodzoną, czy nienaturalną śmiercią), słyszano na jego pogrzebie narzekania Marcji, że była powodem zguby dla męża. Jakkolwiek to było, ledwo Tyberjusz wszedł do Illiryku, odwołał go do Italji list terminowy od matki Liwji i niewiadomo, czy-li żywego jeszcze Augusta w Noli, czy też umarłego już zastał; bo Liwja osadziła pałac i wszystkie drogi silnemi wartami, rozsiewając niekiedy dobre pogłoski o zdrowiu męża, póki po opatrzeniu wszystkiego, czego czas wymagał, i śmierci Augusta, i następstwa Tyberjusza razem nie ogłoszono.

Pierwszą nowego panowania robotą było zamordowanie Agrypy, którego, lubo o niczem nie wiedział i broni nie miał, ledwo zachęcony do tej zbrodni centurjon z trudnością pokonał. Nic o tem Tyberjusz w senacie nie rzekł, udając wolę ojcowską: jakoby August miał polecić trybunowi wojskowemu, straż nad więźniem mającemu,

aby na pierwszą zejścia jego pogłoskę Agrypę bez zwłoki życia pozbawił. Żalił się wprawdzie nieraz starzec na niesforne młodzieńca tego obyczaje i wyjednał u senatu, że go na wygnanie skazano; nigdy się atoli w gniewie aż do przelania krwi własnej nie zaciekł, i trudno temu dać wiarę, aby dla bezpieczeństwa pasierba własnego wnuka miał życia pozbawić. Podobniejsze jest do prawdy, że Tyberjusz z bojaźni, Liwja z macoszej nienawiści obmierzłemu i podejrzanemu sobie młodzieńcowi śmierć przyspieszyli. Gdy centurjon trybem żołnierskim doniósł o wykonaniu danych jemu rozkazów, nietylko się ich wyparł Tyberjusz, lecz mu jeszcze pogroził, że z zabójstwa tego będzie musiał zdać sprawę przed senatem. O czym gdy się dowiedział Salustjusz, włajemniczony w palacowe tajemnice — on to bowiem do trybuna wojskowego list posłał — bojąc się, żeby go na sztych nie wydano, oraz widząc równe dla siebie niebezpieczeństwo, czy fałsz powie, czy prawdę, ostrzegł Liwję, ażeby sekretów rodzinnych i rad przyjacielskich, i posług żołnierskich nie objawiano; aby Tyberjusz władzy swej nie nadwątlął przez wyjawianie wszystkiego senatowi; że na tem jedynie treść panowania stoi, aby ten kto rządzi z samym się sobą tylko rachował.

Tymczasem w Rzymie konsulowie, senatorowie i ekwici ochoczo wpadali do niewoli; im kto był znaczniejszy, tem większą obłudę i skwapliwość okazywał, a przybierając na siebie zmyśloną postać, żeby się z niej ani radość ze śmierci Augusta, ani smutek z powodu następcy jego nie wydawały, lży z weselem, narzekania z pochlebstwami mieszałi. Sekstus Pompejusz i Sekstus Apulejusz, konsulowie, pierwsi przysięgę na wierność wykonawszy, przyjęli następnie takową od Strabona, prefekta pretorjan, i od Turanjusza, prefekta żywnościowego, potem od senatu, od wojska i od ludu; albowiem Tyberjusz wszystko przez konsulów zaczynał, jakby za dawnej jeszcze Rzeczypospolitej, i tak, jakby niepewny panowania; nawet wydając edykt, którym senat na radę wzywał, oświadczył, iż to czyni mocą trybuńską władzy, od ojca sobie poruczonej. Treść edyktu krótka i skromna: że się chce naradzić o obchodzie pogrzebowym; że ciała ojcowskiego strzeże i przywłaszcza sobie z publicznych obowiązków jedynie tylko to. Atoli zaraz po zejściu Augusta dał hasło kohortom pretorjanów jako imperator; w palacu stanęły warty, widać było zbrojnych ludzi i inne objawy majestatu tylko należnej okazałości; rozesał do legionów rozkazy, właśnie jakby już najwyższej władzy dostąpił, nigdy nie namyślając się, chyba gdy mu w senacie mówić przychodziło. Przyczyną tej ostrożności była nieufność do Germanika; obawiał się, aby on, mając tyle legionów w rękę i niezliczone od podwładnych plemion posiłki, i niepomierne przywiązanie ludu, aby nie wołał raczej zaraz mieć, niżeli czekać panowania. Puszczał też między ludzi wiadomości, aby wydawało się, że został wezwany i obrany przez Rzeczpospolitą, niżeli, że zagarnął władzę przez żeńskie fortele i przez opęłanie niedołęznego starca. Ustalono potem, że ta obłudna skromność chytrze była udana przezeń dla wybadania senatorskich nastrojów; albowiem i słowa, i sam wyraz twarzy brał im za złe, ale zemstę za urazę na czas dłuższy w sercu przechowywał.

Na pierwszym senatu posiedzeniu nic czynić nie dopuścił, krom rozporządzenia pogrzebu Augusta. Czytano testament, przyniesiony przez dziewicę Westy, w którym Tyberjusza z Liwją dziedzicami swoimi nazaczył, Liwję do rodu Juljuszów przybrał i imię Augusty jej nadał. W drugim rządzie dziedziców wyznaczył wnuków i prawnuków, w trzecim wybitniejsze w Rzeczypospolitej osoby, po większej części osobiście mu niemiłe, a to dla sławy i dla chluby u potomnych. Pieniężne zapisy nie przechodziły stanu równości, w tem tylko chyba, że na publiczne potrzeby 100.000 czerwonych złotych, na gmin 84.500, każdemu z pretorjanów po tysiącu, a zwykłym legjonowym żołnierzom i straży miejskiej po 300 groszy na głowę wyliczyć rozkazał. Naradzano się potem o honorach pogrzebowych, a najwłaściwsze te wydały się: aby zwłoki niesiono przez bramę triumfalną, aby przed zwłokami niesiono napisy praw przez nieboszczyka ustanowionych, oraz nazwy zwyciężonych przez niego narodów. Pierwszą radę dał Gallus Azynjusz, drugą Lucjusz Auruncjusz; dodał Walerjusz Messala: aby corocznie przysięgę na wierność Tyberjuszowi składano; a zapytany przez Tyberjusza: «Czy to z mego rozkazu proponujesz?» — odrzekł, że to z własnej myśli uczynił, i że we wszystkim, co publicznego dobra tyczy, pójdzie za własnym zdaniem, bez względu na czyjąkolwiek urazę. Takiego oto jeszcze gatunku pochlebstwa brako-

walo! Senat okrzyknął, aby senatorowie nieśli zwłoki do stosu na ramionach. Dał się rzekomo nakłonić hardy Tyberjusz i wydał edykt do ludu, aby jako dawniej przez zbytnie przywiązanie do Juljusza Cezara rozruchy na jego pogrzebie uczynił, tak teraz niech nie napiera się palić ciała Augusta na Forum raczej niżeli na polu Marsowem, miejscu przez samego Augusta do tego wyznaczonem. Gdy dzień pogrzebu nadszedł, stanęli żołnierze nihy na straży, z czego się wielu natrzęsało, którzy albo od rodziców słyszeli, albo sami patrzyli na ów dzień niestrawionej jeszcze niewoli, kiedy zamordowanie dyktatora Juljusza Cezara jednym się najchwalebniejszym, drugim najbeżobniejszym dziełem być zdało; jakoby osiwały na tronie starzec, ukrzepiwszy długiem panowaniem swą potęgę i opatrzwszy silnych Rzeczypospolitej dziedziców, zbrojnej teraz potrzebował ręki, aby spokojnie zejść do grobu!

Różne przytem o samym Auguście opowiadano rzeczy; wielu płocze czyniło podziwienia, że tegoż samego dnia umarł, którego niegdyś panować zaczął; że umarł w Noli, w tym samym domu i pokoju, gdzie i ojciec jego Oktawjusz życia dokonał; że jeden tylko dorównał liczbą konsulatów Walerjuszowi Korwinowi i Marjuszowi; że przez trzydzieści siedm lat bez przerwy piastował trybunską władzę; że go imperatorem dwadzieścia i jeden razy wojska obwołały — cóż mówić o innych, bądź nowo wynalezionych, bądź tylekroć powtórzonych honorach! Lecz roztropniejsi inaczej pochwały lub wady życia jego wytykali. Jedni mówili, że przez miłość dla ojca, Juljusza Cezara, oraz przez nieuchronną Rzeczypospolitej potrzebę, kiedy już prawa zostały pogwałcone, że wtedy został zniewolony do prowadzenia wojny domowej, do której ani się mógł prawnie przysposobić, ani jej toczyć; że dla ukarania morderców ojcowskich musiał wiele Antonjuszowi i Lepidowi pozwolić; lecz kiedy Lepid w gnuśności osiwał, kiedy Antonjusz rozpustą wycieńczony zginał, już nie było zgola innego środka do ratowania rozerwanej ojczyzny, jak tylko, żeby się jednemu pod rząd dostała. Z tem wszystkiem nie pod imieniem króla ani dyktatora rządził, lecz pod swobodniejszym tytułem Pierwszego Senatora sprawowanie Rzeczypospolitej przyjął. On państwo do oceanu i do najdalszych rzek rozprzestrzenił; on prowincje, on siły lądowe i morskie z sobą złączywszy, do jednego celu przywiódł; on podźwiął upadłą sprawiedliwość, utrzymał na wodzy pograniczne narody, stolicę przyozdobił wspaniałemi gmachami, rzadko nader gwałtu zażywał i to chyba dla ubezpieczenia powszechnej spokoju.

Drudzy powiadali przeciwnie: że miłość ku ojcu i nierząd w Rzeczypospolitej były tylko płonny pozorem nieuskromionej żądzy panowania, którą pałając, przywabił pieniędzmi weteranów, zaciągnął lud zbrojny, nie mając ani lat, ani prawa po temu, zbuntował legjony konsula, udając chytrze, że trzyma stronę Pompejusza; że dopadłszy za dekretem senatu pretorskiej godności i orszaku liktorów, zaraz po klęsce Hircjusza i Pansy (bądź obaj od nieprzyjacielskiej ręki polegli, bądź on sam sprzątnął z życia Pansę przez zatrucie trucizną rany jego, a Hircjusza przez nasłanych zdradziecko własnych żołnierzów), że wojska ich zagarnął, że, wymusiwszy na senacie godność konsula, poruczone sobie przeciwko Antonjuszowi siły na Rzeczpospolitą skierował. Cóż dopiero mówić o tyłu proskrybowanych obywatelach, o podziałach gruntu, czego mu ci sami nawet, co z tego skorzystali, nie chwalili; że mógł wprawdzie Bruta i Kasjusza ojcowskiej poświęcić zemście — luboby dla dobra powszechnego prywatne urazy należało w niepamięć puścić — lecz poco Sekstusa Pompejusza oszukał pozorami pokoju, poco Lepida obłudną przyjaźnią? że jego chytrą Antonjusz zawarł w Tarencie i w Brundyzjum przymierzem, małżeństwem z Oktawją uludzony, podstępny związek głową przypłacił; że stanął wprawdzie pokój, lecz okrutny: nazewnątrz sposoczony klęskami Loljusza i Warusa, w Rzymie morderstwem Warronów, Egnacjuszów i Julusów skrwawiony. Wyrzucano Augustowi nawet prywatne życie: odebrał Klaudjuszowi Neronowi żonę; cynicznie radził się kapłanów, czy może z brzemieną się ożenić; zarzucano niesłychane Atydjusza i Wedjusza Poljona zbytki; srogą Liwji nad Rzeczpospolitą opiekę, macoszą jej ku domowi Cezarów nienawiść; zhańbienie bogów przez budowanie sobie świątyń, przez stawianie sobie posągów, przez wymuszanie czci boskiej na kapłanach; nakoniec wybranie Tyberjusza na następcę nie z miłości ku ojczyźnie lub troski o jej dobro, lecz dlatego, że, upatrzwszy w nim

dumę i okrucieństwo, sławy sobie u potomności z najzłośliwszego zestawienia z następcą szukał. Jakoż w rzeczy samej, gdy August kilka lat przedtem miał w senacie mowę, prosząc powtórnie o trybuńską władzę dla Tyberjusza, lubo go wielce wychwalał, wytknął mu przecież niektóre wady postaci, stroju, obyczajów, niby to je usprawiedliwiając.

Po odprawionym pogrzebie uchwalono zmarłemu świątynię i cześć boską. Następnie skierowano do Tyberjusza prośbę, lecz on, to nieudolność swoją, to wielkość Imperjum wysuwając, odpowiedział, że sam tylko wzniosły Augusta rozum mógł tak ogromnemu ciężarowi sprostać; że powołany przez ojca do uczestnictwa w państwowych pracach, z doświadczenia się przekonał, jak trudną jest rzeczą władanie całym państwem, jak rozlicznym przypadkom i losom podlega; że w Rzeczypospolitej, mającej tylu znakomitych ludzi, nie należy wszystkiego jednej poruczać osobie, ponieważ połączone siły powszechnym ojczyzny potrzebom łatwiej wydolać potrafią. Więcej w tej mowie wykrętów było niżeli prawdy; bo Tyberjusz tam nawet, gdzie otwarcie mówił, czy to z przyrodzenia, czyli ze zwyczaju, zawikłanych zawsze i dwuznacznych używał wyrazów; ale na ów czas, umyślnie na to się siłąc, aby swe myśli jak najgłębiej ukryć, tem bardziej je przeplatał ciemniejszymi i dwuznacznymi wyrazami. Przeto senatorowie, którzy jedynie się lękali, aby nie zauważył, że obłudę jego znają, rzucili się do próśb i płaczu, przypadali mu do nóg i wyciągali ręce do posągu Augusta, mianowicie kiedy podać sobie księgę kazał i z tej księgi czytał. W tej księdze zawierał się spis dochodów Rzeczypospolitej, liczba obywateli i lenników zbrojnych, wodne siły i królestwa, i prowincje, cła, pobory i przygodne wydatki; wszystko to August własną ręką spisał, a nakoniec przydał radę, aby nie przekraczać ustalonych granic państwa — nie wiedzieć, czy z bojaźni, czy z zazdrości.

Gdy się tak senat najnikczemniejszymi ukłonami haubił, wymówił się niechący Tyberjusz, że, nie mając sił zdolnych do władania całą Rzeczpospolitą, przyjmie na siebie tę część pracy, jaka mu poruczona będzie. — «A jaką to część, cesarze — zapytał go Azynjusz Gallus — żądasz, by była ci powierzona?» Zmieszany tak niespodzianiem pytaniem, zamilkł Tyberjusz nieco; potem, zebrawszy myśli, odpowiedział, że nie przystoi ani wymieniać, ani obierać szczegółów temu, który zupełnie od wszystkiego wyłączone być woli. Gallus, postrzegłszy na twarzy jego urazę: «Nie dlatego się pytał — rzecze — abym chciał to rozłączyć, co być rozdzielonem nie może, lecz żebyś własnymi słowami został przekonany, iż Rzeczpospolita, będąc jednym ciałem, przez jedną głowę rządzona być powinna». Wychwalał potem Augusta, wyliczał samego Tyberjusza znakomite w pokoju i na wojnie w przeciągu wielu lat dzieła; jednak tem nie ukoił gniewu, gdyż zdawna wpadł Tyberjuszowi w podejrzenie, jakoby, pojąwszy za żonę Wipsanję, córkę Agrypy, która wprzód była Tyberjusza żoną, wysokiego coś w głowie budował i hardością w ojca się swego Azynjusza Poljona wrodził.

[Mordy i zgony za rządów Tyberjusza (z ks. VI)]

Ocuciły się znowu uszione na chwilę trwogi, z przyczyny oskarżonego o znieważenie majestatu Konfidjusza Prokula, który, gdy swe urodziny wesóło obchodził, porwany został z domu na sąd, skazany na śmierć i zaraz zabity; siostrę jego Sancję posłano na wygnanie, za sprawą Kwintusa Pomponjusza, wielkiego warchoła, który na usprawiedliwienie tej i innych podobnych zbrodni powiadał, iż nie mógł inaczej łaski cesarskiej pozyskać, ażeby brata swego Sekunda z niebezpieczeństwa wydźwignąć. Wygnano także Pompeję Makrynę, której męża Argolika i teścia Lakona, obu szlachetnych Greków, Tyberjusz stracić kazał. Ojciec jej, człowiek znaczny w stanie ekwitów, oraz brat, dawny pretor, widząc, że śmierci nie ujdą, sami się pozabijali. Poczytywano im za występpek, że pochodzili z krwi Teofana z Mityleny, przyjaciela Pompejusza Magnusa, i że go po śmierci greckie pochlebstwo między bogi policzyło. Skazany po nich na strącenie ze skały Tarpejskiej Sekstus Marjusz, największy w Hiszpanji bogacz, za to, że jakoby córkę własną zgwałcił; nikt atoli nie wątpił, że go wielkie bogactwa o zgubę przypawiły, kiedy Tyberjusz skonfiskowane na skarb publiczny złote w dobrach jego kruszce do swoich dochodów przyłączył. Rozjuszony

potem tyłu popelnionemi mordami, kazał wszystkich więźniów, ile ich za przyjaźń z Sejanem w więzieniach trzymano, pozabijać. Leżały wszędy różnego stanu, różnej płci martwe ciała, jedne w stosach, drugie tam i ówdzie rozmiotane. Żadnemu z przyjaciół, z powinowatych, nietylko płakać, ale się zbliżyć i patrzeć nie wolno było; bo rozstawione żołnierstwo szpiegowało wszędzie, póki nawpół zropiałych trupów w Tyber nie wrzucono. Żaden się nawet nie ważył pływających lub wyrzuconych na brzeg pogrzebem uczcić. Okropna bojaźń przerwała wzajemność samej natury ludzkiej obowiązków, a im się bardziej siliło okrucieństwo, tem srożej tłumiono litość.

...W tymże czasie ogłoszono śmierć Azynjusza Galla, o którym pewna, że się głodem zamorzył, niewiadomo, czy z przymusu, czy z dobrej woli. Tyberjusz, zapytany, czy mu pozwoli na pogrzeb, nie wstydził się pozwolić i zarazem żalić się na przypadek, że winowajcę zabrał ze świata pierwej, niżeli go o występki przekonano — jakby przez całe trzy lata nie było czasu zapoznać konsularnego starca i tyłu mężów konsularnych rodzica! Wkrótce potem zmarł Druzus, pożarłszy z głodu wysłanie materaca i tym nędznym pokarmem życie przez dziewięć dni przewłókszy. Powiadali niektórzy, że Tyberjusz dał rozkaz Makronowi, aby go z więzienia pałacowego, gdzie był pod strażą trzymany, wywiódłszy, postawił na czele ludu; jeśli Sejan do broni się porwał. Atoli gdy wkrótce doszły go rozsiane wieści, jakoby się chciał z nim i z Agrypiną pojednać, wołał się okrutnym pokazać, niżeli tego, co raz uczynił, żalować. Nie przepuścił nawet zmarłemu, wyrzucając bezecną rozpustę, szkodliwe przeciwko Rzeczypospolitej i własnej rodzinie zamysły; kazał prócz tego odczytać w senacie wszystkie jego powiedzenia, postęпки, dzień po dniu starannie w rejestrach spisane. Niesłychany zaiste tak zaciętej nienawiści przykład, że przez tyle lat chował szpiegów, którzy nawet wzdychania i gesty, i najtajniejsze skargi na karb jego pilnie zbierali; i że będąc dziadkiem jego, mógł słuchać, czytać, najaw wyprowadzać takowe szkarady; zostały na to dowodem listy Akcjusza centurjona i Dydyma wyzwolęńca, gdzie wszyscy służalcy, którzy i kiedy wychodzącego Druzusa obili, kto go słowami zwymyślał, po imieniu zostali zapisani. Sam centurjon chlubił się nieraz, by nie wiem z czego, z okrutnych łajañ i urągowsk; rozsiewał słowa jego przy zgonie wyrzeczone, które, zmyślając czasem zawrót głowy, na Tyberjusza wypowiedział, oraz jakie — straciwszy wszelką nadzieję na życie — miotał nań przy zdrowym rozumie przekleństwa, życząc, ażeby ten «okrutny świekry, synowca i wnuków morderca, który cały dom swój krwią napoił, żeby sprawiedliwie własną głową za tyle rozbojów przodkom ich i następcom dług wypłacił». Przerywali wprawdzie senatorowie odczytywanie tego, niby to wzdrygając się na bezbożność wnuka, lecz pochodziło to raczej z trwogi i ze zdumienia, że ten chytry, a w utajeniu swoich zbrodni niezbadany obłudnik do takiego już doszedł spoufalenia się, że, jakby rozwaliliwszy więzienną ścianę, daje wszystkim na widok wnuka swego, który pod kańczugiem centurjona i smagających go służalców próżno żebrze ze łzami niekzemnego kęsa dla zachowania życia!

Jeszcze ten żal nie ustal, a już o śmierci Agrypiny gruchnęło. Rozumiem, iż ta pani po straceniu Sejana, karmiąc się lepszą nadzieją, przewłokła nieco życie; widząc jednak, że Tyberjusz nie daje się zmiękczyć, wolala dobrowolnie umrzeć; być też i to może, że, zamorzywszy ją głodem, puszczone pogłoskę, że sama ten zamiar powzięła. Albowiem Tyberjusz szarpał jej sławę najsromotniejszymi potwarzami, zadając bezwstyd z Azynjuszem Gallem, i że z tęsknoty po zmarłym cudzołożniku śmierć sobie zadała. Lecz Agrypina, chciwa panowania i równości niecierpiąca, wyzuwszy się z kobiecych przywar, w męski się umysł przyoblokła; dodał przytem okoliczność — i kazał to w księgi wpisać — że unarła tegoż samego dnia, którego Sejan przed dwoma laty zdrady przypłacił; chlubił się z łaskawości, że ją nie kazał powrozem udusić i trupa wywlec na zwyczajne winowajców miejsce. Uczynił mu za to senat dziękczynienie i ogłosił wyrokiem, aby corocznie składano dary Jowiszowi dnia osiemnastego października, którego oboje zginęli. Wkrótce potem Kokcej Nerwa, nieodłączony Tyberjusza towarzyszy, człowiek biegły w nauce prawa, czerstwego zdrowia i w zupełnem szczęściu, śmierć sobie zadać umyślił. Gdy Tyberjusz dowiedział się o tem, nie przestawał go odwiedzać i wypytywał o przyczynę, i nalegał prośbami, a wreszcie przyznał

się mu, że wielki ciężar będzie miał na sumieniu, że popadłby w niesławę, gdyby najbliższemu przyjacielowi bez żadnych przyczyn umierać pozwolił. Lecz Nerwa, głuchy na wszystko, głodem się zamorzył. Twierdzą świadomi zamysłów jego, że, patrząc na bliskie Rzeczypospolitej nieszczęścia, zdjęty gniewem i bojaźnią, wolał uczciwą śmiercią wiszącej uniknąć burzy, póki jeszcze miał kredyt u dworu a sławę nieskażonej u ludu cnoty. Upadek Agrypiny, co jest prawie nie do wiary, przywalił nakoniec i Plancyne, która niegdyś żyjąc z Gnejuszem Pizonem a ze śmierci Germanika jawną okazując radość, przyszlaby zapewne na równy mężowi koniec, gdyby jej prośby Augusty, a nienawiść Agrypiny w przygodzie nie ratowała. Lecz kiedy i przyjaźń, i łaska zniknęły, nastąpiła sprawiedliwość: obwiniona o wiele jawnych zbrodni, z własnej ręki zasłużoną, choć późną karę odebrała.

Tłum. Adam Stanisław Naruszewicz.

Popraw. M. St. Poptawski

PLINJUSZ MŁODSZY (GAIUS PLINIUS CAECILIUS SECUNDUS)

(62—113 po Chr.)

LISTY

Gajus Plinjusz do cesarza Trajana [X 96]

Czcigodny Panie! Uważam za swój święty obowiązek zwracać się do Ciebie w każdej cokolwiek trudnej do załatwienia sprawie, gdyż wiem, że Ty najlepiej potrafisz pokierować mną i pouczyć mnie. Nigdy do tego czasu nie brałem udziału w procesach wytaczanych chrześcijanom; więc i teraz niebardzo wiem, w jakim stopniu i za co należy ich karać, a w jakich wypadkach zadowolić się tylko śledztwem; a już wcale nie wiem, czy należy mieć wzgląd na wiek oskarżonych, czy traktować jednakowo i młodych, i dojrzałych; czy należy przebaczać skruszonym, czy raczej, skoro kto już był chrześcijaninem, to już nic mu nie pomoże wyrzeczenie się tego; czy należy wreszcie karać za samo miano chrześcijanina i to w takich nawet wypadkach, kiedy oskarżony nie popełnił żadnego występku; czy też mam karać tylko za występki, związane z przynależnością do chrześcijańskiego wyznania. Jak dotychczas, z ludźmi, których przede mną oskarżono jako chrześcijan, postępowałem w następujący sposób. Najpierw pytałem ich, czy naprawdę są chrześcijanami; jeżeli przyznawali się do tego, pytałem o to samo po raz drugi, po raz trzeci, grożąc im karą śmierci; dopiero zatwardziały wyznawców kazałem wtrącić do więzienia. Wychodziłem z tego założenia, że, jakkolwiek błaha może być to przewinienie, przy którym obstają, to przecież sam ich upór, sama nieugięta zatwardziałość musi być ukarana. Niektórzy oskarżeni byli tak jakby szalem ogarnięci, a że zarazem posiadali pełnię obywatelskich praw, więc kazałem ich wysłać do stolicy. Po krótkim czasie, wraz z biegiem śledztwa, jak to zazwyczaj bywa, ilość zamieszanych w sprawę powiększyła się, powiększyła się i różnorodność przewinień.

Otrzymałem anonimowy list, podający bardzo dużo nazwisk rzekomych chrześcijan; jedni z nich stanowczo zaprzeczyli, że dawniej byli lub teraz są chrześcijanami; na żądanie moje wygłosili modlitwę do bogów i zapalili kadzidło, i złożyli płynną ofiarę z wina przed Twoim posągiem — specjalnie w tym celu kazałem ten posąg ustawić wśród posągów bogów; o samym zaś Chrystusie ci ludzie odzywali się źle; kazałem ich puścić wolno, gdyż prawdziwi chrześcijanie nic podobnego nie zrobiliby. Inni oskarżeni, owszem, przyznali się do chrystjanizmu, ale wnet wyrzekli się; zapewniali mnie o tem, że byli wprawdzie, ale dawniej, a teraz już nie są chrześcijanami; że przed trzema laty byli, inni jeszcze dawniej, a ktoś taki się znalazł, co był chrześcijaninem przed dwudziestu jeszcze laty. Ci wszyscy również modlili się do bogów i złożyli ofiarę przed Twoim posągiem, i źle mówili o Chrystusie; zapewniali mnie oni, że najcięższą ich winą i największym błędem było to, że w ustalonym dniu zazwyczaj zgromadzali się o świcie i śpiewali hymny do Chrystusa, niczem do boga, że nawzajem sobie przysięgali, nie że jakąś zbrodnię wspólnie popełnią, lecz że nie

będą kraść, ani łajdaczyć się, ani rabować, że nie zawiodą niczyjgo zaufania i nie przywłaszczą sobie, cokolwiek im zostanie powierzone; zapewniłi mnie oskarżeni, że po tem wszystkiem ustalali termin nowego zgromadzenia i wspólnego spożycia pokarmu, skromnego zresztą i prostego, i rozehodzili się. Te wszystkie praktyki zostały przez oskarżonych poniechane wtedy, gdy, stosując się do Twoich zleceń, wydałem zarządzenie, wzbraniające wszelkich zgromadzeń i klubów.

Wydało mi się rzeczą niezbędną sprawdzić to wszystko drogą tortur, które zastosowałem do dwóch dziewczyn, podających siebie za służebne. Przekonałem się, że wszystko to jest tylko głupim i niemądrym zabobonem; powstrzymałem śledztwo i zwracam się do Ciebie o wskazówkę; cała ta sprawa zasługuje na pilną uwagę przede wszystkim wskutek wielkiej liczby zapozwanych; mnóstwo ludzi uległo wpływowi tego zabobonu, no i nadal będą ulegali: starzy i młodzi, bogaci i biedni, mężczyźni i kobiety; tak samo po miastach, jak i po wsiach, i po zagrodach; zabobon rozpowszechnia się, rozszerza się — sądzę jednak, że można go opanować i stłumić. Jest bowiem rzeczą pewną, że ludzie znów zaczęli uczęszczać do świątyni, prawie już opustoszałych, zaczęli wznawiać i składać zapomniane dawniej ofiary; zwierzęta ofiarne, na które oddawna już prawie nie było kupców, znów są poszukiwane i znajdują zbyt. Łatwo z tego możemy wywnioskować, że większość mieszkańców można skierować na drogę poprawy, ale należy zastosować do nich łagodność i przebaczenie.

Trajan do Plinjusza

W procesie oskarżonych przed Tobą o przynależność do chrystjanizmu zachowałeś się, mój Plinjuszu, w sposób zupełnie właściwy. Trudno bowiem ogólnie zaopiniować o tem, co jeszcze jest niecałkiem ukształtowane. Nie należy wyszukiwać chrześcijan; jeżeli ktoś ich oskarży i poda nazwiska, wtedy owszem, należy tych ludzi ukarać, ale oględnie: o ile oskarżony wyrzeknie się chrystjanizmu i udowodni to, i złoży ofiarę naszym bogom, i pomodli się do nich, to taki oskarżony, aczkolwiek o podejrzaney przeszłości, zasługuje jednak na względy i na przebaczenie. Anonimowe listy w żadnym razie nie mogą uchodzić za dostateczne oskarżenie; są obrzydliwe i nie mogą mieć znaczenia wtedy, kiedy ja rządzę.

Plinusz życzliwe pozdrowienie Tacytowi (List 20 z księgi VII)

Książkę Twoją przeczytałem i skrzętnie odnotowałem miejsca, o których myślę, że trzeba je zmienić, albo całkiem usunąć; mam zwyczaj zawsze mówić szczerą prawdę, podobnie jak Ty zazwyczaj chętnie jej słuchasz; nikt zresztą tak cierpliwie nie wysłuchuje zarzutów, jak właśnie ci, co najbardziej godni są pochwały. Ze swojej strony i ja czekam na to, że przyszlesz mi moją książkę z adnotacjami i uwagami; sądzę, że ta nasza obopólna wymiana zdań powinna być uważana za przepiękny objaw koleżeństwa. Cieszę się, że w przyszłości, o ile nadal będziemy żyli w ludzkiej pamięci, będą ludzie dużo mówić o naszej wzajemnej życzliwości i o naszym wzajemnem zaufaniu. Jest to wypadek rzadki i niezwykły, że dwaj ludzie, w jednym mniej więcej wieku, w zakresie literackiej pracy cieszący się uznaniem, nawzajem siebie wspierają w tej właśnie pracy; powiedziałem o Tobie mniej niż należy, że cieszmy się uznaniem, gdyż jednocześnie i o sobie mówię, więc inaczej powiedzieć nie mogłem. Jeszcze w młodzieńczym wieku gorąco pragnąłem iść w Twoje ślady; Ty wtedy już zdobyłeś sobie niepospolite uznanie — postanowiłem tedy, że jakkolwiek nigdy nie dorównam tobie, to przecież pierwszeństwo tylko Ty będziesz miał przede mną. Było wtedy pełno nienajgorszych talentów w zakresie literatury, a przecież łączyło nas jakieś wewnętrzne podobieństwo; a przecież sądziłem, że najbardziej do Ciebie jestem zbliżony, najbardziej na Tobie muszę wzorować się! Teraz natomiast przede wszystkim z tego się cieszę, że, ile razy ludzie wszczynają rozmowę o literackich zasługach, zawsze wymieniają naraz i Ciebie, i mnie; że każdy, kto o Tobie mówi, natychmiast i mnie wspomina. Istnieją zresztą i tacy literaci, których czasem stawiają

wyżej od Ciebie i ode mnie, ale to już mnie mniej obchodzi, na jakim szczeblu sławiają nas razem; najbardziej cenię sobie takiego literata, który najbliżej Ciebie stoi. Zwróciłeś chyba uwagę na to, że nawet w testamentach przeznaczają ludzie jednakowe zapisy dla Ciebie i dla mnie; chyba że testator jest indywidualnie zaprzyjaźniony z Tobą albo ze mną. Wszystko to mówię potę, żebyśmy jeszcze bardziej nawzajem byli przywiązani do siebie; łączą nas przecież i wspólne zamiłowania literackie, i warunki życiowe, i sława, a w końcu również i przedśmiertna wola tylu ludzi. Bądź zdrow!

Gajus Plinjusz kochanemu Tacytowi pozdrowienie

(Ks. VI, listy 16 i 20: Wybuch Wezuwjusza)

Prosisz mnie, bym opisał Ci zgon mego wuja Plinjusza¹, byś mógł tem lepiej opowiadanie o tem przekazać potomnym; jestem Ci za to bardzo wdzięczny; nie wątpię, że zgon mego wuja, opisany przez Ciebie w Twojem dziele, po wszystkie wieki będzie sławny. Zginął coprawda podczas niezwyklej katastrofy, jaka spadła na precudny kraj; zginął — podobnie jak miasta i ludność tego kraju — potę, by śmiercią swoją wiecznie żyć w ludzkiej pamięci; za życia, coprawda, wydał długi szereg dzieł, które i same przez się nie pójdą w zapomnienie; niemniej wiekopomna wartość Twoich utworów jeszcze bardziej przyczyni się do utrwalenia chwały mego wuja. Ja ze swej strony głęboko, jestem przekonany o tem, że te jednostki, którym z bożej woli dane było wykonać czyny godne opisanja, albo napisać dzieła godne czytania, że ludzie ci są naprawdę szczęśliwi; a już najbardziej ci, którym wypadło i jedno, i drugie. Właśnie takim człowiekiem był mój wuj, tak przez własne swoje naukowe dzieła, jak i przez Twoje historyczne. Śmierć jego opiszę Ci tem chętniej, że i sam pragnąłem tego, o co Ty mnie teraz poprosiłeś.

Wuj mój Plinjusz znajdował się się w Mizenum i osobiście sprawował dowództwo nad flotą. Dnia dwudziestego trzeciego sierpnia², w południe, około godziny pierwszej, matka moja powiedziała mu, że na niebie ukazała się niezwykle chmura, ogromna i o dziwnym kształcie — podówczas wuj mój, po wygrzaniu się na słońcu i po wykapaniu się w zimnej kąpieli, właśnie był zjadł, leżąc, obiad i zabrał się do pracy; kazał więc podać trzewiki i usiadł w miejscu, skąd cudowną chmurę najlepiej można było widzieć. Chmura ta wznosiła się i rosła, ale zdaleka nie można było określić, z jakiej góry; potem już dowiedzieliśmy się, że z Wezuwjusza; z kształtu swego całkiem była podobna do sosny, bo, wznosząc się od dołu tak jakby na bardzo wysokim pnju, u góry rozdzielała się na gałęzie. Przypuszczam, że działo się to wskutek osłabienia potężnego wichru, jaki tę chmurę wyrzucił wgórej; osiągnąwszy najwyższy swój punkt i wyżej nie pędzona wichrem, natomiast przygniatana własnym ciężarem, chmura rozplaszczala się wszerej; raz była biała, raz brudna i ciemna, stosownie do tego, czy niosła z sobą ziemię, czy popiół. Wuj, jako uczonej, w najwyższym stopniu zainteresował się tem zjawiskiem; żeby zbliżka je obejrzeć, kazał przysposobić łódź i mnie również zaproponował, czybym nie chciał z nim pojechać; wołałem jednak nie odrywać się od pracy, tem bardziej, że właśnie dla wuja coś przepisywałem. Właśnie gdy wychodził z domu, otrzymał list od Rektyny, przerażonej i przestraszonej, gdyż willa jej leżała tuż u stoków góry, a ucieczka była niemożliwa, chyba że na okręcie; błagała Rektyna na wszystko, żeby uratować ją.

Przeczytałwszy list, wuj zmienił zamiar. Co chciał zrobić przez naukowe zainteresowanie, wykonał teraz z największą gorliwością: kazał przysposobić wielkie galery i wyruszył, nie dla samej Rektyny tylko, lecz dla niesienia pomocy tym wszystkim, którzy tak licznie zamieszkiwali cudny ten zakątek; śpieszył tam, skąd wszyscy uciekali, i skierował okręty wprost w stronę niebezpieczeństwa — a tak był wolny od strachu, że kazał notować i zarysowywać każdy szczegół i każdą zmianę okropnego zjawiska. Popiół zasypywał galery, a im bliżej podjeżdżali, tem gęściej padał i bardziej był gorący; już na okręty spadały kamienie wulkaniczne, purchase, czarne, popękane w ogniu; już na głębokiem miejscu niespodziewanie wyłoniła się groźna mielizna

¹ Plinjusz Starszy, autor «Historji naturalnej», której fragment wyżej został przytoczony.

² R. 79 p. C. n.

a brzeg walącej się góry zgoła był niedostępny... Komendant galery namawiał wuja, żeby czem prędzej zawrócił — ten jednak po krótkim namyśle odrzekł mu, że odważny przebrnie przez nieszczęście, i kazał skierować okręt do willi Pomponjana; znajdowała się ona w Stabjach i zewsząd otoczona była zatoką, gdyż morskie wybrzeże, wijące się i pełne krzywizn, wszędzie dawało morzu głęboko wchodzić w ląd. Pomponjan, aczkolwiek niebezpieczeństwo dopiero się zbliżało, że jednak powoli stawało się groźnym, kazał urządzenie mieszkaniowe poznosić na okręty i postanowił uciekać, jak tylko pozwoli mu przeciwny wiatr. Wuj szczęśliwie trafił na niego w tym właśnie momencie i pocieszył go w tem przerażeniu, i dodał mu otuchy i, żeby jeszcze bardziej uspokoić go własnym poczuciem bezpieczeństwa, kazał się zaprowadzić do ciepłej kąpieli; przyjąwszy kąpiel, położył się, zjadł kolację i był w bardzo dobrym humorze, albo udawał dobry humor — a to już było przecież bohaterstwem.

Tymczasem na stokach Wezuwjusza w wielu miejscach buchaly okropne płomienie i ognie wysoko tryskające i rozniecały blask i przeraźliwą jasność, a grozę tego powiększał otaczający je zewsząd mrok nocy. Wuj, żeby uspokoić przestraszonych towarzyszy, opowiadał, że są to tylko pałace się wsie i wille, opuszczone przez przerażonych wieśniaków i mieszkańców i pozostawione na pastwę ognia. Następnie położył się spać — i istotnie mocno zasnął, gdyż, tęgi i silnie zbudowany, we śnie głośno chrapał; słyszeli go wszyscy już w sąsiednim pokoju. Podwórzec, z którego było wejście do mieszkania, w tym czasie tak został zasypany deszczem popiołu i pumeksu, że wyjście z domu, o ileby zwlekali dłużej, stawało się powoli wprost niemożliwe. Wuj, obudziwszy się ze snu, wyszedł i przyłączył się do Pomponjana i tych, co razem z nim czuwali; zaczęli wspólnie naradzać się, czy lepiej pozostać w domu, czy może wyjść na otwarte miejsce. Od nieustającego i gwałtownego trzęsienia ziemi ściany domu ciągle się chwiały i, jakby wyszedłszy z posad, przechylały się raz w jedną, raz w drugą stronę; natomiast pod gołym niebem zagrażałyby im wciąż spadające kawałki pumeksu, lekkie zresztą i spalone w ogniu; te wydały się mniej niebezpieczne niż walące się ściany domu. Dla wuja była to sprawa rozumowego ujęcia niebezpieczeństwa — dla innych natomiast było inaczej: większy strach poprowadził ich tam, gdzie strach był mniejszy. Pokładli sobie na głowy poduszki, poprzywiązywali je, i miały one chronić przed niebezpieczeństwem spadających kawałków pumeksu. Już była pora pełnego dnia, tam jednak noc panowała, ciemniejsza i okropniejsza od każdej innej nocy; jej mrok rozprasały pochodnie i różne inne światła. Wuj postanowił udać się do morza i zobaczyć, czy przypadkiem nie jest już możliwe do żeglugi; było jednak i to w najokropniejszy sposób wzburzone. Na wybrzeżu wuj położył się na rozestłonym kocu i kazał sobie podać zimnej wody do picia; napił się dwukrotnie. Potem płomienie, a raczej zaduch siarczany, poprzedzający nadejście płomieni, popchnął innych do ucieczki: pobudził do odejścia także i mojego wuja. Wsparł się na dwóch niewolnikach, powstał, ale wnet znowu upadł; przypuszczam, że potworny zaduch odebrał mu możność oddychania i zatkał mu przewody; i bez tego miał je nieco zwężone i często ulegał napadom duszności. Gdy wkońcu nastął dzień — a był to trzeci już po owym dniu, który wuj ostatni raz oglądał — odnaleziono ciało jego nietknięte i nienaruszone, okryte tak, jak był ubrany w ostatniej chwili; wyglądał w śmierci raczej na śpiącego niż na umarłego.

Matka moja i ja byliśmy przez ten czas w Mizenum, ale to nie ma nic wspólnego z śmiercią mojego wuja — pytałeś mnie tylko o to, więc kończę. To jedno dodam: opisałem wiernie wszystko, co widziałem na własne oczy i co posłyszałem od innych wnet po wypadku, kiedy ludzie pamiętają najwierniej jeszcze i najciszej. Ty wybierz z tego to, co najważniejsze: co innego list napisać, co innego spisywać powszechnie dzieje; co innego opowiedzieć przyjacielowi, a znowu co innego podać do ogólnej wiadomości. Bądź zdrow!

Gajus Plinjusz kochanemu Tacytowi pozdrowienie

Piszesz, że list, w którym na Twoje żądanie opisałem Ci ostatnie chwile mojego wuja, że list ten obudził w Tobie chęć posłyszenia także i o tem, czego doznałem i co przeżyłem również i ja, pozostając w Mizenum, bowiem opis swój przerwałem

właśnie tam, gdzie doszedłem do tego. «Choć dusza na samo się wzdyga wspomnienie — zaczynam»¹.

Po odjeździe wuja resztę dnia pracowałem, bo zresztą w tym celu pozostałem w domu; potem nastąpiła kąpiel, kolacja, wreszcie nocny spoczynek, niespokojny i krótki. Już od dłuższego czasu wciąż nam dokuczalo trzęsienie ziemi, nie wzbudzając zresztą w nas zbyt wielkiego niepokoju, bo w Kampanji jest ono rzeczą zwykłą; tej nocy jednak trzęsienie tak wzmoгло się, że wszystko już nie tylko poruszało się, lecz niemal wirowało. W nocy wpadła do sypialni moja matka; właśnie i ja wstałem z łóżka i miałem zamiar ją obudzić; usiedliśmy na podwórku, które oddzielało nasze zabudowania od morza. Nie wiem, czy mam się uważać za bohatera, czy za głupca — miałem podówczas dopiero osiemnasty rok — kazałem bowiem przynieść sobie «Rzymską historję» Tytusa Liwjusza i zacząłem ją czytać i robić notatki, jakby to był spokojny czas! Podczas tego przyszedł do nas przyjaciel wuja — przyjechał doń niedawno z Hiszpanji — i zaczął wyrzucać mojej matce zbyt wielką cierpliwość, że beczynnym siedzi, a mnie głupotę, że w takiej chwili czytam. Uparłem się i pilnie czytałem dalej. Już był ranek, godzina siódma, a światło było mroczne i ponure, niczem zmrok. Już wszystkie zabudowania dookoła nas trzęsły się w posadach i, chociaż byliśmy na dziedzińcu, to przecież był on bardzo mały i, gdyby tak ściany runęły, groziło nam pewne niebezpieczeństwo; wtedy dopiero postanowiliśmy wyjść z miasta, a za nami przerażony tłum. Ludzie, jak to zazwyczaj w popłochu i trwodze, która zastępuje w nich rozważę, słuchali rad innych, a sami nie myśleli nic; uciekinierzy, zbiwszy się w tłum, cisnęli się tylko i beztładnie tłoczyli się.

Wyszedszy z pomiędzy zabudowań miasta, przystanęliśmy; można tu było widzieć wiele dziwnych rzeczy i dużo najedliśmy się strachu. Naprzykład wozy, które kazaliśmy wyprawić naprzód: stały na równym miejscu, a przecież same jeździły na wszystkie strony, a nawet zakładając pod koła kamienie, nie można było utrzymać je na miejscu; także i o morzu można było pomyśleć, że samo siebie chce pochłoniąć, że trzęsienie ziemi odpędza je od lądu... Pas wybrzeża morskiego rozszerzył się i na piasku pozostało mnóstwo morskich zwierząt. Z drugiej natomiast strony chmura ponura i okropna nieustannie ziała ogniem i wirującym wichrem i rozwierała nagle swoją głębię, i zamieniała się w potwornie wielkie języki płomieni; były one podobne do błyskawic, ale większe... Wtedy dopiero ten nasz przyjaciel z Hiszpanji zaczął gwałtownie nalegać: «Jeżeli brat twój, jeżeli twój wuj — do matki rzecz i do mnie — jeżeli żyje jeszcze, z pewnością pragnie, żeby i wam nic nie stało się; jeżeli zginął, z pewnością chciał, żebyście wy ocalili; uciekajcie jak najprędzej!» Odrzekliśmy, że niemożliwe jest, byśmy, nie wiedząc nic o jego losie, zaczęli troszczyć się o swój. Przyjaciel nie zwlekał dłużej i co tchu zaczął uciekać przed niebezpieczeństwem. Wkrótce potem chmura owa zaczęła opadać na ziemię, zakryła morze, spowiła sobą i usunęła z przed naszych oczu Kapreję i wysunięty w morze przylądek Mizenum. Matka zaczęła mnie błagać i zaklinać, żebym koniecznie uchodził przed tem; że młody jestem i będę miał siły do ucieczki, a ona, stara już, sterana wiekiem, woli sama zginąć, niż być przyczyną mojej śmierci; ja zapewniłem ją, że wcale nie chcę szukać ratunku zdala od niej; wziąłem ją pod rękę i zmuszałem do przyspieszenia kroku; matka szła z trudem i wciąż narzekała na siebie, że przez nią i ja wolniej idę.

Zaczął padać na nas popiół, narazie rzadki; spoglądam poza siebie — tuż za nami sunie gęsta mgławica, rozlewając się po ziemi niczem górski potok, i jest już coraz bliżej nas... Powiadam do matki: «Zboczmy z drogi, zanim widno, bo w ciemności i w tej ciżbie uciekających będziemy powaleni i podeptani»; ledwośmy usiedli na uboczu, zapadła noc, ale nie taka bezksiężycowa i pochmurna, lecz jak w zamkniętym pokoju, kiedy pogasną wszystkie światła. Słychać było płacz kobiet, szlochanie dzieci i wrzaski mężczyzn; dzieci wołały rodziców swoich, rodzice dzieci, mężowie nawoływali żony swoje i tylko po głosach poznawali siebie... Jedni zawodzili nad własnym losem, inni użalali się nad losem bliskich, tamci, przerażeni widmem śmierci, błagali o śmierć... Wszędzie słychać było wołania do bogów — inni krzyczeli, że i bo-

¹ Wiersz dwunasty z drugiej pieśni «Eneidy» Wergiljusza.

gów już niema, że noc opadła już na wieczne czasy, że już jest ostatnia... Byli i tacy, co w szale, w historycznym strachu jeszcze bardziej powiększali i bez tego okropną grozę chwili; byli i tacy, co opowiadali zgoła fantastyczne strachy: że całe Mizenum już runęło, że całe w ogniu stoi... wierzone im. Powoli zaczęło się rozjaśniać; nie był to jednak świt dnia i wyglądało, jak zbliżająca się luna pożaru; istotnie był to pożar, ale zatrzymał się zdala — i znów zapadł mrok, i popiół zaczął padać, gęsty i dławiący. Powstawaliśmy raz po raz i otrząsaliśmy z siebie ten popiół, bo inaczej zasypałby nas i przygniótł swoją masą. Muszę się pochwalić, że nie wydałem żadnej skargi, żadnego trwożnego słowa w tej okropnej chwili. Jedyłą, acz dużą otuchą w tem umieraniu, była dla mnie świadomość, że ginę wraz ze wszystkimi, a wszyscy wraz ze mną.

Wkońcu proch zaczął przerzedzać się, zamieniać się w dym i w mgłę, a potem wienne światło, a potem i słońce zabłysło nad nami, blade i mgliste, niczem jak w zaćmieniu. Prerażone spojrzenia nasze przesuwały się po zmienionej okolicy, głęboko zasypanej popiołem, tak jak śniegiem. Powróciwszy do Mizenum, posiliwszy się byle czem, spędziliśmy jeszcze jedną noc w strachu i w niepewności; bardziej w strachu: huczały podziemne wstrząsy, a ludzie, oszaleli od zgrozy, natrzęsali się z niechęcią swoich i cudzych i przepowiadali jeszcze gorsze. My jednak, przetrwawszy tak okropne chwile, nie widzieliśmy im końca, a jednak nie chcieliśmy wyjechać z Mizenum, zanim nie nadeszłaby jakaś pewna wiadomość o wuju.

Oto masz moją opowieść. Nie jest ona godna umieszczenia w dziele traktującym o powszechnych dziejach, a może i wogóle, nawet jako list jest nieciekawa... Jeżeli taką właśnie wyda ci się, miej o to raczej do samego siebie żal, boś sam mnie o to pytał. Bądź zdrow!

Tłum. M. St. Popławski.

JUWENALIS

(druga połowa I i początek II st. po Chr.)

SATYRA DZIESIĄTA [PŁONNE ZACHCIANKI]

Jak świat szeroki, we mgłach ludzie błądzą,
 Od szkody dobro rzadko kto odróżnia:
 Rzekłbyś, że w głowach naszych dziwna próżnia
 Władza zarówno wstrętem, jak i żądzą!
 Jakichże działań, w ich pożytek szczerze
 Wierząc, a oraz gorącemi modły
 Bogom się przykrząc, człek nie przedsięwzię —
 Które w ziszczeniu wielce go zawiodły?
 Runął nie jeden ród z odwieczną chwałą,
 Że go zbyt skrzętnie niebo wysłuchało.
 Nietylko w boju, lecz i w sennej ciszy,
 Zguba na Ciebie w twych pragnieniach dyszy.
 Ten i ów mówca, w grzmiących słów zapędzie,
 Na własną głowę swą spiskować będzie.
 Milon z Krotony, choć mu zazdroszczono,
 Nadmiaru własnej siły stał się pastwą.
 Weźmy szkodliwsze jeszcze żądz plugastwo:
 Oto, drapieżnie wchodząc w mir z mamoną,
 Radbyś, by skrzynia, gdzie masz skarby twoje,
 Tyle nad inne mogła być pękata,
 Ile wieloryb mdłych delfinów roje
 W morzu ogromem swego cielska zgniata.
 A przecież — pomnij — w owe dni przekłete,
 Gdy Neron władał — wielką dłań przynęte

Miał Longinowy pałac niedaleki,
 Zbyt porośłego w pierze sad Seneki,
 Wreszcie wyniosły portyk Lateranów —
 Przero, z pomocą kohort swych czeladki
 Wziął je jak swoje. Ty się zaś zastanów,
 Że w chatach lichych żołnierz — gość to rzadki!
 Zważ także: — gdybyś nocą był w podróży —
 Niechbyś i mieszek z sobą miał nieduży —
 To, co krok z guzem albo z życia stratą
 Spotkać się mogąc, drżysz na lada drzewa
 Ciebie po miesiącu. Człek zaś goły zato
 Swobodnie w uszy złodziejowi śpiewa.
 Cóż stąd, gdy wszyscy, jakby się zmówili,
 Codzień się modlą: «Ach, niech w każdej chwili
 Mam coraz więcej! Niechbym był jedyny
 Bogacz, któremu dziwią się ludziska!»
 Głupi! Truciznę czyż ci w kubku z gliny
 Podadzą? Raczej mniejszą miej ochotę
 Na ucztach spełniać czary szczerozłote,
 W których setyńskie wino szumiąc pryskał
 ...Iluż wielkościom ich dostojeństw błogi
 Ciężar przedwcześnie zdrowe podciął nogi!
 — Precz już z waszemi rozgłośniami dzieli! —
 Więc ich posągi dzielnie mlót w łeb wali,
 Ich rydwan w drzazgi padł pod ostrzem stali,
 Niewinnym nawet, które go ciągnęły,
 Nie przebaczone szkapom!... A tam wdali
 Ten piec ogromny, co płomieńmi dymi —
 Czemuż to w niego miech dmie tak olbrzymi?
 Cóż w nim topnieje? To nic, to bronzowy
 Sejana kolos. Ludu! z jego głowy,
 Którąś czcił jako drugą w całym świecie
 Tuż po Cezarze boskim — wnet będziecie
 Mieć na pamiątkę, wśród radości dzikiej,
 Patelnie, garnki, rondle i nocniki.
 Więc dalej! drzwi twe co tchu wieńcz w wawrzyny!
 Do Kapitolu byka pędź w ofierze!
 Jedzie na haku trup Sejana siny
 Wprost na Gemonie! Cóż za pysk odęty,
 Cóż za paskudna mordal powiem szczerze:
 Zawszem ku niemu czuł przedziwne wstręty.
 O ty hałastro! zawsze jest jednaka.
 Przed powodzeniem gnie się twoja szyja —
 A zwałonego walisz w kark biedaka.
 Więc gdyby bóstwo, co Etrurji sprzyja,
 Wyznawcę swego dzielniej było wsparło,
 I on Cezara chwycić mógł za gardło,
 Do stóp go swoich zgiąwszy — to w tej dobie,
 Tegoż Sejana, co na pastwę tobie
 Wydany został, w uniesieniu pustem
 Błogosławionym czciłbyś go Augustem...
 Ha, lecz cóż robić ma ten gmin pstrokaty,
 Gdy mu zyskowność głosowań odjęto?
 Dawniej rozdawał w głosowaniu święto:
 Kwestury, legje, rządziwa, konsulaty,

Dziś, gdy się nudzi i jest głodny przytem,
Dwóch tylko rzeczy żąda z groźnym zgrzytem:
Chleba i igrzysk!
..Stąd przyznaj: Sejan nic się nie znał na tem,
Co jest prawdziwe dobro. Ludzie gonią
Za złotem, sławą, władzy majestatem,
A to jest tylko w sposób najgorętszy
Gmach stawiać, który, im się wyżej piętrzy,
Tem jest szczyt jego od padółu dalej;
Stąd i upadek z nim, gdy on się zwali,
Mniej albo więcej niebezpieczny bywa.
A Krasus? Pompej? Wreszcie ten, niesyty
Zwycięstw, co pierwszy w jarzmo wprzął Kwiryty:
Cóż ich zgubiło? Władzy chuć łapczywa,
Którą, by zdobyć, mniejsza tam o środki!
Stąd strzeż się chciwym być w modlitwie słodkiej,
Bowiem, słuchając twego pożądanja,
Złośliwe bóstwo zguby ci nie wzbrania!
Mało kto z królów bez śmiertelnej rany,
Lub choć bez guza, poszedł w kraj Plutona;
Nikt zaś z ciemiężców w łożu swem nie skona.
...Wkońcu rozważmy rzecz następną jeszcze:
Byle Wenery gdzieś na szczycie wzgórką
Posąg ujrzała przywiązana matka,
Wnet modlitewne w niej się budzą dreszcze,
By syn jej piękny był, lecz zwłaszcza córka
Oby być mogła jak bogini gładka!
I czyż ją nawet gromić można za to?
Toćże Latona czuła się bogatą
Wdziękami swojej Diany. Lecz znów sądzę,
Że jest zbyt płochym ten, co żywi żądzę.
By miał Lukrecji twarz i kształty ciała.
Także Wirginja z przyjemnością może
Za garb Rutylji dziśby wymieniła
Powabną postać swą i lice hoże!
Co zaś do syna, to ten, jeśli bywa
Dorodny, wtedy jest dla rodzicieli
Opieka nad nim wiele uciążliwa.
Gdyż gładkość rzadko królowanie dzieli
Z czystością uczuć. Dobrze to, jeżeli
W domu obyczaj dawny mu starannie
Wpajacie — zwłaszcza, jeśli go zaszczyca
Umysł niewinny i jak w skromnej pannie
Wstyd, łatwo kraśne rumieniący lica.
Rzecz to niemiała. Tego nie jest w stanie
Dać najtroskliwsze bliskich stróżowanie,
W co wyposaża hojna dłoń przyrody.
Lecz czy do końca wytrwa ten pan młody?
Bowiem rozpusty powab tak jest słodki
I ma w swej ręce tak rozrzutne środki,
Że dla niej kupić choćby krewnych — fraszka.
Czyż to brzydkiego kiedy młodzieniaszka
Rzezańcem uczyniono? Lub czy kiedy
Neron z dostojnych paniąt gdzie czeredy
Garbusa porwał, ryza lub charłaka,
Lub kuternogę? Więc gdy rzecz jest taka,

To ty się modląc, oby syn twój luby
 Był pięknym, pragniesz jego własnej zguby!
 I on sam z siebie stać się jeszcze może
 Bezwstydnym wszetecznikiem, cudze łoże
 Plamiącym chętnie. Wtedy niech się lęka,
 Że go zdradzonych mężów dotknie ręka.
 Choćby pod Marsa rodził się planeta,
 Zręcznych tu sideł nie uniknie przeto,
 A różnie bywa. Ludzie zemstę krwawą
 Ponad odwetu lubią wznosić prawo.
 Ten od sztyletu zniknął tajemniczo,
 Tego pletniami głośno na śmierć świczą,
 Temu takiego zrobią coś, co lepiej
 Zamilczeć. Widzę, myśl cię błoga krzepi,
 Że twój Endymjon wiecznie wierny będzie
 Tej tylko, którą kocha. Lecz w tym względzie
 Któż wie: do siebie czy go nie przytuli
 Serwilja, która kabzę ma pękata?
 A on jej wcale nie kochając, zato
 Obedrze miłą babę do koszuli,
 Gdyż wie, że taka, gdy w objęciu wzdycha,
 Czy to jest Opja, czy Katulla licha,
 Gachowi duszę oddać jest gotowa!
 Lecz od zepsucia jeśli się uchowa,
 Czyż może piękność szkodzić młodzieńcowi?
 Weź Hipolita i Bellerofonta:
 Pierwszego Fedra w brudny uścisk łowi,
 A Stenobeja ku drugiemu kona
 Z miłości kazirodnej. Cóż ci powiem?
 I ten, i tamten źle skończyli! Bowiem
 Czeluścią piekiel dusza jest kobieca,
 Do nienawiści gdy ją wstyd podnieca.
 A cóż takiemu czynić pozostawa,
 Jak Syljusz, gdy mu padła kreska krwawa,
 Że Cezarowej żonie się podoba
 Wziąć go za męża w swe małżeńskie łoże?
 Panicz to całą gębą i ozdoba
 Swojego rodu! Cóż mu to pomoże?
 Porwany, zgrozą i przestraczem siny,
 Drży pod palącym wzrokiem Mesaliny.
 A ta, w wezglowiach, z których szkarłat płonie,
 Siedząc, w dziewiczej mając skroń zasłonie,
 Wśród gajów, kędy widać ją zdaleka,
 Jawnie, w dzień biały, oblubieńca czeka.
 Przy niej świadkowie, augur — aż i oto,
 Jak zwyczaj każę, posagowe złoto
 Na misach wnoszą. A tyś myślał pono:
 Że się to stanie w sposób ukradkowy?
 Nie, ona prawnie chce się stać twą żoną!
 Masz wóz i przewóz. W razie twej odmowy
 Zginiesz, nim słońca zgaśnie blask zachodni.
 Jeśli zaś zechcesz być współnikiem zbrodni,
 Potrwasz dopóty, aż ta wszystkim znana
 Rzecz dojdzie wreszcie aż do uszu pana,
 Który ostatni swej się hańby dowie —
 To zaś nie może czleku wyjść na zdrowie.

A wreszcie, jak sam zechcesz, króluj sobie
 W tej panowania twego krótkiej dobie;
 Czy tak, czy owak, zawsze skończysz na tem,
 Że się twój piękny ugnie kark przed katem.
 Jakże? więc o nic błagać nie należy?
 Tak sądzę. Dobrze zrobisz, gdy najszczerzej
 Zaufasz bogom w rzeczy tej wyborze,
 Która ci trwale szczęście przynieść może.
 Oni nam, z darów, co pod ich są władzą,
 Zamiast przyjemnych pożyteczne dadzą,
 Gdyż przekonanie silne mam, że w niebie
 Lepiej kochają człowieka, niż on siebie.
 I tak: popędem ślepych żądz wiedziony,
 Człek najmądrzejszy życzy sobie żony,
 By pożądaną z niej się cieszył dziatwą,
 Lecz tylko bogom jednym wiedzieć łatwo:
 Co będzie warta żona ta i jakiej
 Wartości także będą twe dzieciaki?
 Jednak, jeżeli w sobie już ponętę
 Konieczną czujesz błagać Niebios łaski,
 Nato, byś flaki zwierząt im, lub święte
 Z białego wieprzka dawać mógł kielbaski,
 To proś, by godną ofiar twych wymianą
 Zdrową ci duszę w zdrowem ciele dano.
 Więc umysł mężny, więc i bez obawy
 Śmierci, za którą owszem, człowiek prawy
 Przyrodzie wdzięczność winien mieć; więc siłę,
 Co przeciwnościom twardo dotrwać zdoła;
 Więc iżbyś nie znał, co jest gniew, i zgoła
 Niczego nie chciał, co z pozorów miłe,
 I niż w pierzynie Sardanapalowej
 Gnić wpośród kobiet oraz uczt sromoty,
 Wolał, wysiłkiem serca tudzież głowy
 Spełniać wielkiego Herkula roboty.
 To wszystko sobie sam dasz z własnej chęci,
 Gdyż tylko w cnocie szczęście się tu święci.
 Więc ty, Fortuno, któraś jest głupota
 Ludzką wszechmądra, chciej posłuchać oto:
 Ani byś istnieć mogła z siebie samej!
 Bo my jedynie własną cię pomocą
 Bóstwem robimy i nie wiedzieć poco
 Ni stąd, ni zowąd w niebie umieszczamy!

Tłum. Felicjan.

APULEJUSZ PLATOŃCZYK Z MADAURY

(żył w połowie II w. po Chr.)

KSIĘGI PRZEMIAN (POWIEŚĆ O ZŁOTYM OŚLE)

Z księgi pierwszej

Co rzekłszy, ulatniam się i pędzę do mojej sypialni, gdzie natykam się na ucztę, weale jak się patrzy przygotowaną. I czeladzi bowiem posłano jak najdalej od mych drzwi—juści poto, by była daleko od naszych nocnych rozmówek—i przy łóżku mojem stał stolik zastawiony uczciwemi resztkami całego obiadu, i kielichy zacne do

połowy już wina pełne i czekające ino na domieszkę ciepłej wody, i butla z szerokim gardzielem — szyjkę jej bowiem obtłuczono, by łatwiej było nalewać — wszystko przystawki do tej uczty, gdzie włada Wenus wojownicza a nieustępliwa. Ledwo legnąłem, a oto Fotis moja, ułożywszy już swą panią, wbiegła radosna w wieńcu z róż i z obsypaną ich płatkami bujną piersią. Wśród pocałunków szybkich w wieńcu mnie stroiła i kwieciami osypała, zaczęłam chwyciwszy kielich, dołała doń ciepłej wody i podała mi do picia. Ale wcześniej jeszcze, nim zdołałem wypić cały, sięgnęła poń miękką dłonią i resztę powoluteniko, strzyżąc ku mnie oczyma, rozkosznie w drobnych łyżkach wychleptała. Tak krążył między nami i drugi kielich, i trzeci, i dalsze. Wtedy ja, już podchmielony i nawet nietyle sercem, co ciałem rozkoszy żądny, choć znowu i swawolą rozochocony, i prawie zgorączkowany, obsunąłem Fotis szatę na biodrach, by jej niecierpliwość mej żądry okazać.

— Zlituj-że się — prosiłem — i co prędzej mi ulżyj! Bo, jak widzisz, wyteżyłem wszystkie siły w sobie, gdy się tylko zbliżała ta wojna, coś mi ją wypowiedziała bez pośrednictwa fecjała; a kiedym poczuł, że już mi ugrzęzła na dnie serca pierwsza strzała okrutnego Kupidyna, sam tak potężnie luk mój napiąłem, że wielce się boję, by cięciwa tak przeciągnięta nie pękła. A żebyś mi jeszcze była łaskawsza, rozpuść włosy i w ich powodzi zatop nasze miłosne uściski!

Ona tedy bez zwłoki już w mgnieniu całą zastawę stołu usunąwszy, z sukien obnażona, ukazała się w grzywie włosów, do hucznej swawoli miłosnej rozpuszczonych — pięknymi kształtami Wenerze wynurzającej się z morskich fal podobna. I nieco tylko różową łapką wdzięki niewieście, raczej z rozmyślnej zalotności, przysłaniając, niż zakrywając je ze wstydu:

— A no — powiada — do walki! A mężnie walcz, bo na krok ci nie ustąpię i tyłu nie podam. Dalej naprzód, jakeś chłop, bij, co sił, wręcz i sam zabijany morduj! Dzisiejsza bitwa będzie bez pardonu!

To mówiąc, do łóżka weszła i, tuląc się do mnie i odrywając, chutnymi ruchy potrzásająca dygocąciami lędźwiami, syciła mnie miłosnym owocem, aż bez ducha, z omdlałymi członki, obojeśmy legli w uścisku wzajemnym dyszący. Takeśmy się aż do świtu bezsenne zmagali, pułharami niekiedy zmęczenie odganiając a podcinając żądzę i rozkosz wznawiając. Na podobieństwo tej nocy zgotowaliśmy sobie takich więcej. Zdarzyło się przypadkiem, że dnia pewnego Byrzena (zupełnie inna niewiasta; przyp. wyd.) okrutnie na mnie nastawała, bym do niej na jakąś odświętną biesiadę przybył, a gdym się co sił wypraszał, powiedziała, że mych usprawiedliwień nie przyjmuje. Trza mi się tedy było udać do Fotis i wedle jej woli, bo była mi jak wyrocznia, powziąć postanowienie. Ona tedy, choć niechętnie na to patrzyła, bym się od niej bodaj na krok ruszał, jednak mi udzieliła pobłażliwie krótkiego urlopu z owej miłosnej wojaczki.

— Ino — powiedziała mi — uważajże ty, byś z przyjęcia odszedł wcześniej, bo zuchwała kupa różnych złotych młodzików dobrze na szwank naraża spokój publiczny; na środku ulic widzieć możesz tu i ówdzie pomordowanych, a zbrojne oddziały wielkorządcy są daleko i nie mogą obywatelstwa uwolnić od tej ciężkiej plagi. A na ciebie dopiero czyhaćby mogły zasadzki dla świetnego twego stanu i mienia, tem bardziej, że z obcym i podróżnym nikt się nie liczy.

— Bądźże bez troski, Fotis moja — odrzekłem. — Bo i bez tego, że przenoszę moje rozkosze z tobą nad biesiadowanie z innymi, nie sprawię ci tego niepokoju, ile że wczas wrócę. A nie pójdę także sam, bo z moim mieczykiem, towarzyszem stałym, to jakoś całości skóry mej upilnuję.

Tak się ubezpieczywszy, idę na tę ucztę. Mnogo tam już było biesiadników i — jako że u damy z wielkiego świata — sam kwiat obywatelstwa. Stoły bogate z drzewa cytrynowego, inkrustacjami połyskujące z kości sloniowej, łoże biesiadne zasłane złotogłowiem, pułhary wspaniałe, na rozmaitą modłę piękne, ale jednakowo cenne. Tutaj widziałeś szkła misternie pisane, tam kryształowy nieskazitelny, ówdzie jeszcze przezyste srebro i złoto aż bijące blaskiem, i naczynia do picia z bursztynu i kamieni kunsztownie rzezanych, i rzeczy wogóle do wiary niepodobne. Chmara stolników, wspaniale odzianych, sprawnie i gładko obnosiła stopy potraw, a chłopcy o wło-

sach trefionych, w pięknych szatkach, raz po raz nalewali stare wino do waz z cennego kamienia. Skoro wniesiono już światła, rozwiązała się gawęda biesiadna, popłynął już śmiech i żarty swobodniejsze i dowcip zabłysnął. Wtedy powiada do mnie Byrzena:

— No jakże się czujesz w naszym kraju? O ile wiem, to żadne nam miasto nie dorówna świątyniami, łaźniami i innymi gmachami, a i wszelkich wygod żywota mamy do sytności. I to pewne, że znajdzie tu wszelką swobodę przybysz, czy szuka czasów, czy interesów — bo ruch tu jak w Rzymie — a skromny znowu gość znaleźć może spokój zgoła wiejski. Słowem, dla każdego z prowincji pobyt u nas bardzo miły.

Na to ja:

— Szczerą mówisz prawdę, bo ja się nigdzie na świecie nie czułem tak swobodnie, jak tu. Sporego tylko mam stracha przed temi niewidocznymi i nie do uniknięcia zasadzkami sztuk czarnoksięskich. Wszakże tu pono nawet groby zmarłych nie są bezpieczne, bo jeszcze ze stosów pogrzebowych porywa ktoś szczątki zmarłych i kawały ciał, by ich użyć na zgubę żywych! Stare więdźmy już w chwili przygotowań do pogrzebu unoszą ciała, uderzając z błyskawiczną szybkością innych w odbyciu pogrzebu.

Na to ktoś dodaje:

— Ba, co gorsza, to to, że tu nawet żywych nie oszczędzają. Już nie wiem komu to, ale komuś tu się taka rzecz przydarzyła. Gębę mu całą porzezano, że go docna odmieniono.

Na to całe zebranie wybuchnęło pustym śmiechem i wszystkich twarze i oczy skierowały się na pewnego jegomościa, który leżał sobie z boku, w kącie. Ów, zmieszany temi upartymi spojrzeniami wszystkich, zaczął coś pomrukiwać o niegodziwości i chciał się już wynosić.

— Ależ mój Telyfronie — zawołała doń Byrzena — zostańże jeszcze trochę i — wiem przecież jakiś jest uprzejmy — powtórz tę twoją historję, aby i to chłopczysko moje, ten Lucjusz ubawił się dowcipem twego opowiadania.

Na to ów:

— Twoja, pani, dobroć, zawsze jest taka sama, ale trudno już znieść zuchwałość niektórych ludzi.

Powiedział to do żywego obruszony. Jak Byrzena jednak zaczęła prosić, a zaklinać na jego szczęście i zdrowie, a nakłaniać, by opowiedział — bo nie chciał — tak sprawiła, że się zgodził. Naskładał tedy na kupkę kobierce, wsparł się na nich na łokciu i, uniósłszy się na łożu, wyciągnął prawicę, której palce jakby jaki mówca ułożył, bo dwa ostatnie przymknął, inne wyprostował, a wielki palec, groźnie wytknięty, lekko zgiał — i tak rozpoczął:

— Jeszczem był chłopakiem nieletnim, kiedy wybrałem się z Miletu na igrzyska olimpijskie. Zachciało mi się wtedy zwiedzić i te strony tego rozgłośnego kraju, więc przewędrowawszy całą Tesalję, przybyłem — w złą godzinę — do Larisy. Kiedy się tu włóczę, tak tedy i owędy, i rozmyślam, czemu tu nakarmić znowu mój mieszek podróżny, który był już bardzo schudł, spostrzegam na rynku jakiegoś starucha, wysokiego jak tyka. Stał na kamieniu i głośno wykrzykiwał, że, jeśli kto chciałby iść pilnować umrzyka, to niech się o zapłatę umawia. Zaczepiam tedy jakiegoś przechodnia i pytam go, co to ma znaczyć i czy tu może umrzyki uciekają, jak się ich nie pilnuje?

«Milczalbyś — odpowie mi tamten na to — boś jeszcze wielki dzieciuch a zresztą obcy tu, to pewnie i nie wiesz, żeś w Tesalji, gdzie czarownice odgryzają umrzykowi kawałki twarzy, których potrzebują do swoich praktyk czarnoksięskich». «Powiedz-że mi, jeśli łaska — mówię na to — na czemże to polega takie strażowanie przy umrzyku?» — «Przedewszystkiem — powiada — całutką noc okrutnie czuwać trzeba a ślepiów nawet nie zmrużyć, ino wytrzeszczać co sił na trupa. Głowy nie można odeń odwrócić, ba, nawet jej schylić nie można, bo te ohydne odmieniece zaraz ci się przemienią w byle jakie stworzenie i tak zakradnąć potrafią, że oszukałyby chyba bez trudu oczy samego słońca: samej Sprawiedliwości. Bo taka, to ci się przetrzuci i w ptaka i znowu w psa, i w mysz, ba, nawet i w muchę, a potem temi swemi

okropnemi zakłęciami uspi stróża. Nawetby nikt nie zgadł, co ci takie bezecne jędze nie potrafią wyśpekulować, żeby ino dogodzić swoim obmierzłym chuciom. A za taką psią służbę nawet ci nie dadzą więcej jak cztery, albo najwięcej sześć złotych. Aha, i cobym ci był jeszcze zapomniał powiedzieć: jak taki stróż nie odda rano umrzyka nienaruszonego, to to, co umrzykowi odcięto i zabrano, musi z własnej gęby dać se wyrznąć, żeby tamtemu załatać». — Usłyszawszy to, dodają sobie ducha i z miejsca walę do owego, co wykrzykiwał.

«Już nie krzycz — powiadam mu — jest tu stróż: zapłatę możesz sam oznaczyć». — «Dostaniesz — zawołał — tysiąc złotych. Ale chłopczel mówię ci, miej ty się na bacności i strzeż uczciwie ciała od tych wścickłych Harpij! Bo to syn jednego z dostojników w mieście!» — «Ale — powiadam — głupstwo! To są fraszki dla mnie. Masz przed sobą człowieka z żelaza, co nie potrzebuje snu, przenikliwszego z pewnością od samego Lynceusa i Argusa! A co do oczu — ja mam oczy wszędzie». — Inom skończył, wiedzie on mnie z miejsca do jakiegoś domu, do którego główne wejście było zamknięte, wpuszcza do środka przez jakąś małą furtkę, wprowadza do izby ciemnej — bo okna były zasłonięte — i wskazuje jakąś matronę zapłakaną w żałobnej sukni. Zaraz się przysiadł do niej i rzekł:

«Przyszedł tu zuch, co się najął do strzeżenia ciała twego małżonka». — A ona odgarnęła na obie strony włosy opadłe na policzki i, okazując twarz nawet w tej żałości piękną, spojrzała na mnie i rzekła: — «Błagam cię, dolóż starania i wypełń jak najczujniej ten obowiązek». — «Nie troskaj się — odpowiedziałem — tylko przygotuj mi jeszcze jaki sprawidliwy upominek na przydatek». — Ugodziłyśmy się co do tego, poczem ona powstała i zaprowadziła mnie do drugiej izby. Tam, przywiódłszy jeszcze siedmiu jakichś świadków, odsłoniła ciało, przykryte śnieżnemi całunami. Wybuchnęła nad niem znowu płaczem, poczem, do rzetelności obecnych się odwołując, z lękiem zaczęła sprawdzać wszystko, a ktoś z obecnych skrzętnie zapisywał to na tabliczkach. — «Widzicie — mówiła — że nos cały, oczy nienaruszone, uszy nietknięte, wargi całkowite, brodzie nic nie brak. Zaświadczone to waszem świadectwem, zacni obywatele». — To powiedziawszy, gdy ów protokół podpisano, chciała odejść. Ale ja ją zatrzymałem.

«Każ — rzekłem — pani, aby mi dostarczono wszystkiego, co mi potrzeba». — «A cóż to — odpowie — takiego?» — «No — mówię — latarnia i to jak największa i oleju do świecenia tyle, by starczyło do świtu, i ciepła woda z kilku butlami wina i puharkiem, i jaki półmisek napełniony resztkami obiadu». — Ale ona na to potrzęsła ino głową: — «A idź-że, idź, ty chlysłku jakiś — powiada — co wężysz za ucztami i korzyściami w domu pełnym żałoby, gdzie od całusieńkich dni nawet dymu z komina nie widziano! Co tobie się zdaje, żeś tu na wyżerki przyszedł? Żebyś ty lepiej tu zapłakał i posmucił się, jak przystało na tem miejsca!» — I to mówiąc, rzuciła ino spojrzenie na służkę i rzekła do niej: — «Myrzeno, przynieśno tu latarnię i olej, zamknij tu tego stróża i zaraz się kładź sama». — Tak pozostawiony dla uprzyjemnienia towarzystwa umrzykowi, przecierałem oczy, aby je uzbroić do czuwania, i zabawiałem się podśpiewywaniem sobie. A tu zapadł już zmierzch i noc, i ciemna noc, i głęboka noc, a nawet i niemila północ. Mnie zaś strach zaczynał brać coraz mocniejszy, kiedy nagle patrzę, a tu łasiczka, która się skądś wślizgnęła, staje naprzeciw mnie i wpija we mnie tak przeszywające ślepka, że mnie to zuchwalstwo takiego małego stworzonka aż niepomale zmieszało. Wreszcie, otrząsnąwszy się z tego przykrego wrażenia, odzywam się do niej: — «A pójdziesz ty sobie, nieczyste bydlę, do takich, jak ty sama, szczurów? Chcesz, żebym na twojej skórze próbował mojej siły? Pójdziesz!»

Odwróciła się i natychmiast znikła z izby. I w tej chwili zapadłem w sen głęboki, jak w bezdenną czeluść, że nawet sam bóg delficki niełatwoby zgadł, który z nas dwu tu leżących był bardziej bez życia. Taki nieprzytomny i sam znowu innego stróża potrzebujący tam leżałem, że tak to było, jakby mnie tam wcale i nie było. Już wołanie koguciej rzeszy oznajmiało schyłek nocy. Budzę się wreszcie i, nieprzytomny, ze strachu, lecę do umrzyka i, odkrywwszy jego głowę, przysuwam światło i badam każdy szczegół, czy jest, jak był przedtem, w porządku. A tu już i żona biedactwo wpada z wczorajszymi świadkami, z lękiem i ze łzami, rzuca się na ciało

i długo je pocalunkami okrywa, zaczem przy świetle wszystko sprawdza. Potem, obróciwszy się, woła włodarza swego Filodespotusa i poleca, aby sumiennemu stróżowi bez zwłoki wyplacił nagrodę. Gdy się to zaraz stało, zwraca się do mnie: — «Bardzo ci — powiada — chłopcze dziękujemy, a za tę skrzętną służbę toż to, dalibóg, za domownika cię odtąd swego będę uważać». — Na to ja, ucieszony coniemiarą zarobkiem, na który już straciłem nadzieję, i oszołomiony temi złocistemi monetami, które raz po raz w palcach przesuwalem, powiadam: — «Pani moja, uważaj mnie za jednego ze swych sług i, ile razy zechcesz, abym ci tak usłużył jak dziś, to tylko śmiało rozkazuj». — Ledwom to wyrzekł, kiedy natychmiast domownicy, klnąc mnie za złą wróżbę, rzucają się na mnie, z czem kto miał pod ręką: ten mi pięściami dobiera się do szczęki, tamten łokciami obrabia łopatki, ów kulakami wierci mi boki; kopia mnie, wydzierają włosy, targają suknie. Wreszcie wyrzucają mnie z domu pokiereszowanego i poszarpanego, jak pyszny młodzieniec Adonis albo pieśniarz piplejski. Kiedy w najbliższej ulicy zdołałem złapać oddech i zdałem sobie sprawę — coprawda, trochę za późno — z niebaczenia i nieszczęsnego mego powiedzenia, musiałem uznać, że zasłużyłem na gorsze jeszcze cięgi. Ale właśnie wyniesiono już nieboszczyka, po raz ostatni oplakanego, i — wedle rodzinnego zwyczaju — niesiono go, jako jednego z możnych i dostojnych, w uroczystym, publicznym orszaku pogrzebowym przez rynek. Wtem nadbiega jakiś starzec w żalobie i z rozpaczliwemi łzami, rwąc sobie piękny siwy włos, rzuca się ku marom i chwyta je obiema rękami, i krzyczy głosem wprawdzie donośnym, lecz przerywanym ciągłym łkaniem: — «Na waszą cześć, obywatela, stańcie w obronie ziomka zamordowanego i pomścijcie surowo ten potworny czyn na tej tu niegodziwej i zbrodniczej niewieście. Ona to bowiem, a nie kto inny zamordowała trucizną tego biednego młodziaka, siostrzeńca mego — a uczyniła to, aby zagarnąć po nim spadek i aby zrobić miejsce swemu gachowi».

Takie to ów staruch żalodne skargi kładł w uszy każdemu zosobna. Tłum tedy zaczął się burzyć, bo prawdopodobieństwo rzeczy sprawiało, iż poczęto dawać wiarę w zbrodnię. Rozlegają się wołania o ogień na nią, tłum szuka kamieni, szczuje psy na jej zgubę. Ona zaś z płaczami — przygotowanemi na taki wypadek — zaklina się, jak może najuroczyściej, na wszystkie świętości i wypiera się tak ohydneho czynu. Więc ów starzec powiada na to: — «Zdajmyż dowód prawdy na opatrzność boską! Jest tu znakomity prorok, Zatchlas Egipczyk, który się ze mną już dawno za nie-malą nagrodę ugodził, że na chwilę ducha z podziemia wywoła, a i to ciało już na zaproszenie śmierci ożywi». To mówiąc, wyprowadza na środek jakiegoś młodzieńca w lnianych szatach i w sandałach z liści palmowych, z głową do skóry wygoloną. Tego ręce długo całował i za kolana go obłapiał. — «Zlituj się, kapłanie — błagał — na gwiazdy niebieskie, na bóstwa piekielne, na żywioły przyrodzone, na milczenie nocy i na koptyjskie miejsca najświętsze, i na podnoszącą się w zalewie wodę Nilową, i na tajemnice memfijskie, i na grzechotniki święcone w Faros — zlituj się! Pozwól mu na chwilę ujrzeć jasność słońca i w tych źrenicach zamkniętych na zawsze skrzyszaj iskry światła! Wszakże się nie wzbraniamy i nie odmawiamy ziemi tego, co jej, a tylko błagamy o mały strzęp życia, by pomstą się pocieszyć!» — Ujęty tem błaganiem, prorok dotknął ust zmarłego jakąś roślinką a inszą znowu położył mu na piersi. Zaczem ku wschodowi zwrócony, cichą posłał modlitwę ku wyjeżdżającemu na niebieskie sklepienie rydwanowi słońca. Ta scena przedziwna tak przejęła serca obecnych, że stali bez tchu, czekający na cud niesłychany.

Wśliznąłem się w tłum i tuż za samemi marami wylazłszy na jakiś większy kamień, patrzyłem na wszystko zachłannemi oczyma. Patrzę tedy, a tu pierś owego podnosić się już poczyną, i w żyłach życie tętnić, a zezwłok duchem się napelnia: i powstaje on człowiek umarły, i przemawia młodzieniec: — «Przez-że mnie, którym letejskiej już zażył wody, którym w styksowych rozlewiskach już się zanurzył, przez-że mnie przywołujecie do życia przez błysk chwili? Ostawcie mnie, tak błagam, ostawcie i do mego ukoju wrócić pozwólcie». — Takie słowa z ciała owego się dobyły. Lecz prorok, podniósłszy nieco głos, rzekł: — «Czemuż nie chcesz ludowi wyjawić tajemnicy twej śmierci? Czy nie wiesz, że zaklęciami memi mogę Furje przywołać, mogą ci ciało znużone katować?» — Przemówił tedy ów z mar i tak się z jękiem do

ludu zwrócił: — «Zabił mnie zły podstęp nowej małżonki: śmiertelny napój śmierci mnie przysądził, a łożo ciepłe jeszcze gachowi zostawiłem». — Na to godna małżonka uzbraja się w zuchwałą przytomność umysłu i, bezbożnie przecząc oskarżeniom męża, kłótnię z nim wszczyną. Tłum burzy się, miotany sprzecznymi uczuciami; jedni chcieli, by tę straszną zbrodniarkę natychmiast żywą zakopać z ciałem męża, inni nie chcą wierzyć bajaniom umrzyka. Lecz nowe słowa młodzieńca rozciąły tę wątpliwość; z ponownym bowiem i boleśniejszym jeszcze jękiem rzekł: — «Dam wam dowody, że prawdę nieskazoną mówię: wyjawię jasno, jak na dłoni to, czego nikt nie może wiedzieć». — Tu pokazując palcem na mnie, mówił dalej: — «Oto, kiedy ten czujny bardzo stróż ciała mojego straż przy mnie sprawował walną, więdźmy czarnoksiężskie, które chciały dostać w swe szpony mój zezwłok i dlatego wielokrotnie — a zawsze na próżno — w różne postacie się przerzuciły, nie mogąc podejść wytrwalej onego czujności, wkońcu otoczyły go mrokiem snu i pograżyły w głębokim bezwładzie. Wtedy tak długo mnie po imieniu wabily, aż zimne członki i obumarłe stawy — po ciężkich wysiłkach — zakłębom sztuki czarnoksiężskiej posłuszne się stały. Ten zaś oto, co mu na imię, jak i mnie, wstał na dźwięk swego imienia, ile że żywy, bo ino obezwładniony głuchym snem i, choć i nie wiedząc o tem, dobrowolnie, jakby sam był już cieniem, poszedł do drzwi izby. A choć one mocno były zamknięte, to przecież przez szparę w nich jakoś urznięto mu naprzód nos a potem uszy. Tak w mojem zastępstwie wycierpiał takie jatki. Aby zaś upozorować swoje szalbierstwo, przylepiają mu uszy z wosku całkiem naksztalt dawnych i akuratnie przyprowadzają nos, podobny do jego własnego. A teraz stoi tu biedak, co nie dostał nagrody za swą czujność, ale pokalczenie za nagrodę». — Przerażony temi słowami, co prędzej chcę wypróbować kształty tych moich członków. Łapię ręką za nos — zostaje mi w palcach; pociągam za uszy — odrywają się. A kiedy wszyscy obecni palcami mnie wytykają i na mnie pokazują, kiedy śmiech huczeć zaczyna dokoła, zlany zimnym potem wymykam się między nogami ciżby. Nie mogłem też potem tak okaleczony i ośmieszony powrócić do rodzinnych kątów, lecz poszlachtowane uszy zataiłem pod włosami, zaczesywanemi na oba boki, a haniebny brak nosa przystojnie zakryłem tym nosem płóciennym, dokładnie przyklepionym.

Skoro tylko Telefron skończył tę opowieść, wśród biesiadników, podpitych, znowu prześmiejchy wybuchnęły...

Tłum. E. Jędrkiewicz.

Wybór tekstów i układ M. St. Popławskiego.